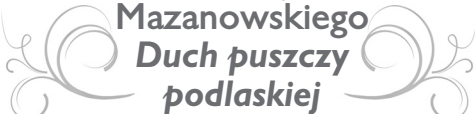


Mikołaja
Mazanowskiego
*Duch puszczy
podlaskiej*

A decorative flourish consisting of two symmetrical, swirling scroll-like elements that frame the text on either side.

Naukowa Seria Wydawnicza
Literackie Skarby Dzieciństwa

Redakcja Serii

Anna Nosek (redaktor naczelna)

Paweł Wojciechowski

Anetta Bogumiła Strawińska

Anna Sidorczuk

Małgorzata Wosnitzka-Kowalska

W serii Literackie Skarby Dzieciństwa publikujemy zarówno prace naukowe, badawcze poświęcone dziecku, dzieciństwu, piśmiennictwu dla niedorosłych w szerokim kontekście literackim i kulturowym, jak również teksty literackie, zwłaszcza dawne, zapomniane „skarby” literatury dziecięcej i młodzieżowej, w nowych opracowaniach edytorskich i interpretacyjnych.

Anna Nosek

Mikołaja
Mazanowskiego
*Duch puszczy
podlaskiej*

Krytyczna edycja. Konteksty interpretacyjne



Białystok 2019

Recenzent:
prof. nadzw. dr hab. Teresa Zaniewska

Opracowanie graficzne, ilustracje i projekt okładki:
Piotr Siedlecki

Redakcja i korekty:
Janina Demianowicz

Opracowanie graficzno-typograficzne, skład i łamanie tekstu:
Teresa Muszyńska

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku,
Białystok 2019

ISBN 978-83-7431-568-5

Książka wydana w ramach projektu
finansowanego z programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego
pod nazwą „Regionalna Inicjatywy Doskonałości” na lata 2019-2022,
nr projektu 009/RID/2018/19, kwota finansowania: 8 791 222,00 zł



**Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego**

Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku
15-328 Białystok, ul. Świerkowa 20 B, tel. /85/ 745 71 20
www: <http://wydawnictwo.uwb.edu.pl>,
e-mail: ac-dw@uwb.edu.pl

Druk i oprawa: Volumina.pl Daniel Krzanowski

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

- I. Mikołaj Mazanowski i jego twórczość 9
- II. Nota edytorska 15

CZĘŚĆ DRUGA

- Mikołaj Mazanowski *Duch puszczy podlaskiej. Powieść z niedawnej przeszłości dla młodzieży* 19
- I. Oczekiwanie 23
 - II. Wywiady i wyjazd 29
 - III. Słowiki – potopy roślin – jarzębki – dysputa o drzewach 35
 - IV. Dalsza podróż – burza – nocne życie w puszczy – cietrzewie – puchacz i ptaki – sokół i łasica – słodka przygoda Franka 45
 - V. Łoś – modlitwa nad Tonią – wywiady i plany 57
 - VI. Karczunek – o poziomce – rybak i ryba – życie owadów w jeziorze – pierwszy siew – obfity plon łowów 63
 - VII. O czuciu roślin – sanitariusze przyrody – bunt mrówek 79
 - VIII. Nawał prac gospodarskich 85
 - IX. O pleśni, mchach, grzybach, wątrobowcach, widłakach, skrzypach, paprociach, liściach i kwiatach – ukąszenie żmii 93
 - X. Pierwszy sen Zygmunta 101
 - XI. Przebudzenie – garncarstwo – sad warzywny – łowy na jelenie – na grzybach 117

XII. Czaple – zwierzyniec – uwagi doktora o stosunku ludzi do zwierząt – jesień – nocna wycieczka – widok nieba	133
XIII. Zbiory jesienne – tok, stępa i żarna – len i przędziwo – orzechy – palisady – mydło i świece – wyroje ptaków – rozmowa o naturze – jesień i tęsknota	149
XIV. Jesienna słota – wieczory przy ognisku – rozmowa o czystości – ziemniaki	159
XV. Kolonia bobrów – walka ze zbójcami – gdzie Zygmus?	163
XVI. Karmienie ptaków – dyskusja	171
XVII. Zygmus i zbójce – drugie nawiedzenie ducha puszczy	179
XVIII. Ocalenie – mieszkanie w norze – pogrom wilków	199
XIX. Powrót – kisiel – postanieniec – Boże Narodzenie – prośba Zygmunia – ofiara herszta zbójców	211
XX. Zakończenie	223

CZEŚĆ TRZECIA

Konteksty interpretacyjne	225
I. W kręgu pisarstwa dla dzieci i młodzieży z motywem Puszczy Białowieskiej. <i>Duch puszczy podlaskiej</i> Mikołaja Mazanowskiego	227
II. Motyw Puszczy Białowieskiej w literaturze dziecięcej przełomu XX i XXI wieku – proza, poezja, komiks. Rekonesans	253
Bibliografia	271



**CZĘŚĆ
PIERWSZA**





I. Mikołaj Mazanowski i jego twórczość

Wzmianki o Mikołaju Mazanowskim, jako autorze powieści *Duch puszczy podlaskiej* z 1924 roku oraz kilkunastu opowiadań i szkiców pedagogicznych z dorastającymi bohaterami w rolach głównych, obrazujących szereg problemów młodzieńczego wieku, darmo szukać w słownikach literatury dziecięcej i młodzieżowej¹. Informacje biograficzne oraz dotyczące twórczości literackiej tego autora znaleźć można przede wszystkim w *Polskim słowniku biograficznym*², w kompendium *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*³ oraz w artykule Franciszka Bielaka *Mikołaj Mazanowski*⁴.

Mikołaj Mazanowski urodził się 21 stycznia 1861 roku w Witorożu (pod Białą na Podlasiu), zmarł 26 stycznia 1944 roku w Krakowie, gdzie został pochowany na Cmentarzu Rakowickim.

Jak podaje biograf Mazanowskiego, Rościśław Skręt, był on jednym z pięciorga dzieci Jana, księdza greckokatolickiego i Anny

¹ Por. *Słownik literatury dziecięcej i młodzieżowej*, red. B. Tylicka i G. Leszczyński, Wrocław 2002 oraz S. Frycie, M. Ziółkowska-Sobecka, W. Bojda, *Leksykon literatury dla dzieci i młodzieży*, Piotrków Trybunalski 2007.

² R. Skręt, *Mazanowski Mikołaj*, w: *Polski słownik biograficzny*, t. 20, z. 2, red. W. Konopczyński, Kraków-Wrocław 1975; przedr. w: *Internetowy Polski Słownik Biograficzny*, tryb dostępu: <http://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/mikolaj-mazanowski> (23.01.2019).

³ Hasło *Mazanowski Mikołaj*, w: *Literatura Polska. Przewodnik encyklopedyczny*, t. 1, red. J. Krzyżanowski, Warszawa 1984, s. 646.

⁴ F. Bielak, *Mikołaj Mazanowski*, „Pamiętnik Literacki” 1946, nr 3-4, s. 261-263. Skróconą wersję biogramu i zarysu twórczości Mazanowskiego złożyłam też w czasopiśmie „Sylwan” 2019, w postaci artykułu *Puszcza Białowieska w powieści Mikołaja Mazanowskiego „Duch puszczy podlaskiej”*.

z Szymańskich, bratem Antoniego (pedagoga, historyka i popularyzatora literatury polskiej). Uczęszczał prawdopodobnie do gimnazjów w Białej, Siedlcach i Radomiu, a od roku 1876 do lwowskiego Gimnazjum im. Franciszka Józefa, gdzie w roku 1881 złożył egzamin dojrzałości⁵.

Franciszek Bielak w swym artykule *Mikołaj Mazanowski* tak pisał o dzieciństwie i młodzięczych latach autora *Ducha puszczy podlaskiej*:

Po ojcu X. Janie i matce z domu Szymańskiej związani z klerem unickim, wychowywali się Mazanowscy na Podlasiu. Młodszy od Antoniego Mikołaj (...) w gromadzie liczego rodzeństwa spędził dzieciństwo „sielskie, anielskie”. Rodzice mieli prywatny mająteczek w Burwinie, a choć stopa życiowa nie była wysoka, życie płynęło bardzo mile i pogodnie. W pamięci chłopca mocno utkwiał drobny wypadek, kiedy to ojciec, w dniu egzaminu do rosyjskiego gimnazjum, zaprowadził go przed trumnę św. Jozafata Koncewicza. Nie przypuszczał zapewne zacny paroch, że wnet sam będzie cierpiał za unię. Wezwany do przejścia na prawosławie, bezwzględnie temu żądaniu odmówił, toteż musiał natychmiast, bez zawiadomienia parafian, opuścić Witoroż i sprzedać Burwin. Wygnanemu księdzu wyznaczono na miejsce osiedlenia Radom, gdzie od razu miał trudności z przyjęciem synów do państwowego gimnazjum. Troskliwa opieka policji dokuczyła Mazanowskiemu dostatecznie, wobec tego też po półtorarocznym pobycie w Radomiu rodzice postanowili przekraść się przez zieloną granicę do Galicji. Szesnastoletni chłopiec żywo zachował w pamięci tę niezwykłą przygodę, jak również wzruszenie rodziców i własne, gdy stanęli na „wolnej” ziemi galicyjskiej.

Gdy Mazanowscy znaleźli się we Lwowie, okazały się tam nowe, a nieoczekiwane trudności. W konsystorzu świętojurskim

⁵ R. Skręt, dz. cyt.

bardzo niechętnie przyjęto spolaczałego unitę, który miał jeszcze robić „konkurencję“ dawnym kolegom Popiela. Wobec tego X. Jan musiał pomyśleć o posadzie w sądzie.

Niezatarte wspomnienia przeżyć młodzieńczych kształtowały dusze dwóch przyszłych nauczycieli języka polskiego, dwóch przyszłych badaczy i popularyzatorów historii literatury polskiej.

Po skończeniu gimnazjum zapisał się Mikołaj Mazanowski na Uniwersytet Lwowski i został uczniem Romana Pilata, uczniem, jak się później okazało, pojętnym⁶.

Polonistykę (u wspomnianego wyżej) profesora Romana Pilata i filologię klasyczną (u profesora Ludwika Ćwiklińskiego) studiował Mazanowski na Uniwersytecie Lwowskim do 1885 roku.

W kolejnych latach był nauczycielem domowym u Stanisława Badeniego, zastępcą nauczyciela w IV Gimnazjum we Lwowie, uczył też w gimnazjum bocheńskim, a od roku 1893 w Gimnazjum św. Jacka w Krakowie. Od 1910 kierował jego filią, zmienioną w roku 1919 na Gimnazjum VII – był jego dyrektorem aż do przejścia na emeryturę w 1927 roku⁷.

Z małżeństwa (w roku 1893) z Emmą z Fischerów (zm. w 1958) miał pięcioro dzieci – synów: Jerzego i Romana oraz córki: Janinę, Zofię i Wandę.

Jak podkreślał Franciszek Bielak „żywołność i sprawność zachował do końca życia. Przykrości ostatniej wojny znosił spokojnie i odszedł w roku 1944, prawie nagle w parę dni po tak rzadkiej uroczystości rodzinnej złotego wesela z wierną towarzyszką życia, Emmą z Fiszerów”⁸.

⁶ F. Bielak, dz. cyt., s. 261-262.

⁷ Zob. R. Skręt, dz. cyt. F. Bielak podaje rok 1931 jako moment przejścia Mazanowskiego na emeryturę, zob. F. Bielak, dz. cyt., s. 262.

⁸ F. Bielak, dz. cyt., s. 262.

Mikołaj Mazanowski zapisał się na kartach historii nie tylko jako pedagog i nauczyciel, ale też historyk i popularyzator literatury polskiej, krytyk literacki, autor beletrystyki dla młodzieży. Popularyzował wiedzę na temat życia i twórczości polskich romantyków. Opublikował kilkadziesiąt prac z zakresu literatury romantycznej, między innymi: *Żywot i utwory Antoniego Malczewskiego* (Lwów 1890)⁹; *Seweryna Goszczyńskiego „Król zamczyska” i „Sobótka”* (seria Biblioteka dla Młodzieży, Lwów 1896), *Zygmunta Krasińskiego młodociane przekłady* (Kraków 1912). W serii Biblioteka Powszechna ogłosił charakterystyki literackie: *Juliusz Słowacki* (Złoczów 1896), *Zygmunt Krasiński* (Złoczów 1897), *Adam Mickiewicz* (Złoczów 1897), *Antoni Malczewski* (Złoczów 1897), *Aleksander Fredro* (Złoczów 1900), *Józef Ignacy Kraszewski* (Złoczów 1905), *Seweryn Goszczyński* (Złoczów 1908). W serii Życiorysy Sławnych Polaków wydał zaś popularną monografię *Józef Bohdan Zaleski: życie i dzieła. Zarys biograficzny* (Petersburg 1901). Rozprawki o literaturze romantycznej publikował też na łamach czasopism (między innymi *Bohdan Zaleski w stosunku z Adamem Mickiewiczem*, „Biblioteka Warszawska” 1898, t. 4).

Wspólnie z bratem Antonim napisał *Podręcznik do dziejów literatury polskiej* (Kraków 1901), który sukcesywnie uzupełniał i poprawiał (wyd. 7 Kraków 1928). Wznowiono go w 1947 roku w dwóch tomach *Obraz literatury polskiej*. Bardzo popularne były

⁹ Zdaniem F. Bielaka „Mazanowski debiutował bardzo dobrą monografią o Antonim Malczewskim. Dziś każdy szanujący się polonista sięga przede wszystkim do dzieła Ujejskiego, jednakowoż pominąć pracy jego poprzednika nie można. Mazanowski nie tylko, że sumiennie przestudiował materiały biograficzne, ale przede wszystkim odczuwał bardzo żywo samą poezję *Marii*. Ze wspomnień Mazanowskiego, jak również z książki dla młodzieży *Duch puszczy podlaskiej* widzimy jasno, że miał on żywe odczucie i umiłowanie przyrody. Choć więc nie był tak pesymistycznie nastrojony, jak autor *Marii*, jednak przeszedł w latach młodzieńczego przełomu bardzo gwałtowny wstrząs, dowiedział się coś nieośmieszającego i posępnym lesie uczuć ludzkich, co razem predysponowało go wcale dobrze na monografię Malczewskiego. Dlatego i dziś jeszcze przyjemnie czyta się jego książkę o niepospolitym poecie”. F. Bielak, dz. cyt., s. 262.

w międzywojniu podręczniki języka polskiego dla szkół średnich, autorstwa Mikołaja i Antoniego Mazanowskich (wspomniany wyżej *Podręcznik do dziejów literatury polskiej*) oraz szkół gimnazjalnych (między innymi *Wypisy polskie na siódmą klasę gimnazjalną*; *Wypisy polskie na ósmą klasę gimnazjalną*).

Zainteresowania pedagogiczne, a zwłaszcza sytuacją ówczesnej szkoły i problemami młodzieży, zaowocowały artykułami Mazanowskiego, publikowanymi na łamach „Muzeum” (między innymi artykuły: *W sprawie biednej młodzieży szkół średnich*, 1894; *O godności i moralnej powadze stanu nauczycielskiego w naszej szkole średniej*, 1904; *Kilka uwag w sprawie nauki języka polskiego*, 1910) oraz w innych czasopismach i wydawnictwach zbiorowych (np. *Jak należałoby zapobiegać zgubnym wpływom lektury, działającej demoralizująco na młodzież?*, Lwów 1913). Z doświadczeń pedagogicznych powstały również dwie serie *Szkiców pedagogicznych* (Kraków 1912, 1917) – opowiadań, obrazków, przemówień, podejmujących takie zagadnienia, jak: znalezienie odpowiednich metod wychowania i edukacji dzieci z wyższych sfer (*Wyrodny*) oraz zapewnienie im równowagi między pracą a zabawą (*Atawizm*); tragizm losów dzieci chorych (*Gwiazda*), dzieci upośledzonych, będących często ofiarami przemocy domowej w rodzinach wiejskich (*Hanka*); płciowość i dojrzewanie (*Uświadomienie*); emancypacja i edukacja dziewcząt (*Córki na wydaniu*); zepsucie i nałogi młodzieży, będące konsekwencją przywar i złego przykładu ze strony rodziców, wychowawców, szkoły (*Strajk*); przestępczość wśród młodocianych, kary cielesne w wychowaniu (*Kto winien?*); nieszczęśliwa miłość oraz co za tym idzie – samobójstwa wśród młodzieży szkolnej (*Perpetka*). Jak stwierdził Rościsław Skręt, Mazanowski okazał w swych *Szkicach* „doskonałe zrozumienie młodzieży, w której widział często ofiarę zakłamania i obłudy dorosłych”¹⁰.

¹⁰ R. Skręt, dz. cyt.

Walory wychowawcze *Szkiców* dostrzegał też Franciszek Bielak, podkreślając, że „dziś czyta się je z zaciekawieniem, mimo że powstały przed pierwszą wojną światową. Mazanowski w miłej formie ukazuje nam życie młodzieży, jej ciężkie przeżycia i konflikty (*Z pamiętnika abiturienta, Uświadomienie*), zajmując stanowisko bardzo odważne, oparte na doskonałym zrozumieniu i odczuciu młodzieży”¹¹.

Uwagę zwraca w drugim tomie *Szkiców* pamiętnik *Z notatek nauczycielki* – będący wnikliwym psychologicznym studium problemów, z jakimi borykała się młoda nauczycielka. Powołanie, pasja zderzają się tu z rzeczywistością szkolną – gnuśnością, ruchliwością uczniów, powodując wewnętrzne dylematy, poczucie winy, ale też poszukiwania nowych dróg docierania do serc i umysłów młodzieży. W osobistych wyznaniach można wyczuć dojmującą samotność, połączoną z ogromną troską o swoich uczniów, a także znajdowanie pocieszenia w wierze (w pamiętniku ciekawe są partie modlitwy na bazie *Ojcze nasz*). Równie interesujący jest wątek historyczny związany z I wojną światową oraz z istnieniem obozu w Choceniu dla wychodźców z Galicji¹².

W swoim dorobku miał też Mikołaj Mazanowski powieść przygodową dla starszych dzieci i młodzieży *Duch puszczy podlaskiej* (1924). Z szeregu zagadnień i problemów, na pierwszy plan wysuwa się w tym utworze kulturotwórcza i inicjacyjna rola przyrody w życiu młodego człowieka, który dopiero w kontakcie z dziką, pierwotną naturą odkrywa, kształtuje i umacnia swe umiejętności, talenty, człowieczeństwo. Przechodząc po myślnie swoistą „próbę natury”, w konsekwencji dojrzewa do życia w rodzinie i społeczeństwie.

¹¹ F. Bielak, dz. cyt., s. 263.

¹² Por. *Księga pamiątkowa i adresowa wygnańców wojennych z Galicji i Bukowiny 1914-1915*, cz. 3, *Prowincja i Bukowina*, Wiedeń 1915, tryb dostępu: http://www.olejow.pl/readarticle.php?article_id=12 (08.02.2019).

II. Nota edytorska

Niniejsza edycja powieści Mikołaja Mazanowskiego *Duch puszczy podlaskiej. Powieść z niedawnej przeszłości dla młodzieży* została oparta na pierwszym i jedynym obecnie wydaniu z 1924 roku (nakładem Księgarni J. Czerneckiego, Warszawa-Kraków).


Tekst został uwspółcześniony pod kątem pisowni, ortografii, w zakresie łącznej i rozdzielnej pisowni wyrazów, pisowni wielką literą; odmiany i rodzaju niektórych wyrazów: na przykład słowo „dziupel” zastąpiono wyrazem „dziupła”, „każdą razą” – „każdym razem”, „lian” – „liana”. W niniejszym wydaniu przyjęto zasadę zastępowania końcówek fleksyjnych w narzędniku i miejscowniku liczby pojedynczej rodzaju nijakiego oraz w narzędniku liczby mnogiej odmiany niemęskoosobowej „-em”, „-emi” współczesnymi końcówkami, na przykład „memi”, „dzikiemi” zmieniono na „mymi”, „dzikimi”. Zmodernizowano także pisownię „i” oraz „y” w pozycji joty i nie zachowano oryginalnej pisowni w takich formach, jak na przykład: „bakterje”, „dyabła”, „wegetarjanin”; pisownię spółgłosek dźwięcznych i bezdźwięcznych, na przykład „paznogie” zastąpiono formą „paznokcie”. Uwspółcześnione zostały niektóre formy wyrazowe, na przykład „śród” zmieniono na „wśród”; „mię” – „mnie”; „jeno” – „tylko”, „jedynie”; „kędy” – „gdzie”, „którędy”; „wierzaj” – „wierz”; „cośkolwiek” – „cokolwiek”; „bodajes” – „bodaj byś”; „wruszona” – „wzruszona”; „wonczas” – „wówczas”; „aż” – „aż”, „inszych” – „innych”.

Modernizacji wymagała też, w niektórych przypadkach, interpunkcja. Szanując styl Autora, w większości przypadków zachowano długie zdania, z wyraźnym nadmiarem średników

i dwukropków (tylko niekiedy, w celu większej czytelności tekstu, zastąpiono je kropkami). W tekście głównym skróty zostały zastąpione pełnymi wyrazami: „t. j.” – „to jest”, „tzw.” – „tak zwanych”.

Przypisy autora *Ducha puszczy podlaskiej* zostały oznaczone inicjałami (M. M.), pozostałe zaś pochodzą od redaktorki niniejszej edycji. W przypisach uwzględniono trudne oraz dawne formy wyrazowe (skrót *dawn.*), regionalizmy (skrót *reg.*), wyrażenia gwarowe (skrót *gw.*), wraz z objaśnieniami.

Anna Nosek



**CZĘŚĆ
DRUGA**





Mikołaj Mazanowski

Duch puszczy podlaskiej

Powieść z niedawnej przeszłości
dla młodzieży

„Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze...”

A. Mickiewicz, *Powrót taty*

I OCZEKIWANIE

We wsi Gnójnie¹, nad Bugiem, po deszczach majowych wczesnie tego roku okłosiły się żyta, ule zapełniły miodem, co więcej, nawet lipy tu i ówdzie już jęły² zakwitać. Pod czarną ścianą borów, zasłaniających półkolem horyzont, na soczystych łąkach nadbużańskich od świtu do zmroku pobrzękiwały kosy Podlasiaków; Bugiem gęsto szły berlinki³ i tratwy.

Zapałał wieczór; z rzadka zrazu⁴ dochodziły z błot kumkania żab, to klekot bociana, to znowu beczący tremol kszyka, który, spłoszony ze swego gniazda, zygzakami uwijał się w powietrzu, by wnet wrócić do własnej siedziby. Na skłonie widnokregu, nad czarnym dachem puszczy płonął coraz silniejszy pożar zachodzącego słońca.

Ale na przyzbach dworku, pod lipami, wśród cudu kwitnących jabłoni, wiodąc rozmowę, siedziało dwóch, starszego wieku, panów. Jeden barczysty, w tuszy, gładził podgoloną czuprynę i niecierpliwie odpędzał komary, uporczywie siadające mu na czole; drugi miał rysy twarzy ostre, skórę na niej brunatną, mocno słońcem opaloną, szpakowate wąsy i brodę ze szwedzka przyciętą. Ten mówił:

— Jak kamień w wodzie, zginął w tej puszczy i już blisko miesiąc tak siedzimy u ciebie, bracie Janie, z założonymi rękami, czekając jego powrotu, aż niecierpliwość bierze.

¹ Mowa o nadbużańskiej wsi Gnojno, na Lubelszczyźnie.

² *Jęły* – książk. od *jąć*: zacząć.

³ *Berlinka* – statek rzeczny.

⁴ *Zrazu* – dawn.: początkowo.

— Do podróżowania przywykłeś, przeto⁵ ciężko ci czekać.

— Mógłbym i tu uzupełniać swoje zbiory i robić notatki. Lecz rozwijać toboły, gdy lada dzień przyjdzie ruszać w bory i znów się pakować? Do tego sama niepewność dręczy. Rad bym już wiedzieć, co i jak się postanowi.

— Zważ, mój uczony doktorze, że Jerzy poszedł w puszcę bez przewodnika: to tak samo, jak kulą na wiatry. Bo cóż wiedział? Wedle opowiadań smolarzy, Dolna Toń ma być wielkie jezioro, zwane także Łuzańskim, stąd o jakie 20 mil drogi w zaszytej kniei. Być ci ono zapewne musi, skoro tak wykaligrafowali na pergaminie danej wam królewskiej i wycisnęli pod pismem pieczęć. Lecz trafić tam niełatwo. Ani dróg, ani znaku, po gwiazdach chyba kierować się, jak po morzu. Do tego zwierz dziki, wykroty⁶, moczaryska, zbójnicy! Na to, wierz mi, nie za dużo choćby i miesiąca nawet dla takiego, jak Jerzy, junaka. Czekajmy cierpliwie, może lada dzień powróci. Zresztą, mój drogi, nie mogę ja zgoła⁷ zrozumieć tych waszych projektów, co jeszcze raz powtarzam. Królewszczyzna, szmat lasu! Diabli mi po takim darze! Nie wiecie, co to trzebić puszcę i z dala od całego świata, tylko w towarzystwie dębów i dzikich zwierząt, siedlisko zakładać! Czas i zdrowie zmarnujecie! Do tego Hankę i Zygmunia w dzicz głuchą brać! Jezus, Maria! Nigdy nie pojmem, jak ty, Adamie, coś po świecie tyle zebrał doświadczenia, nie chcesz zrozumieć, na co się ważycie!

— Mój kochany, nie lekceważę ja twoich przestroż. Wierz mi jednak, dobrze wszystko rozważyłem i mam nadzieję, że nam nie najgorzej się powiedzie. Co do królewskiej, że lada jaka, prawda. Inni za mniejsze zasługi pobrali orne pola z pałacami; nam – szmat dzikiego boru. Trudno! Darowanemu koniowi nie

⁵ *Przeto* – książk.: zatem, toteż, więc, w takim razie.

⁶ *Wykroty* – drzewa wyrwane przez wiatr lub dziury po tych drzewach.

⁷ *Zgoła* – książk.: wprost, wręcz.

zaglądaj w zęby. Nigdyśmy nie zwieszali się u dworskich klamek. Niechże będzie bór! Ma tam podobno być nad jeziorem zdrowe położenie i urodzajna ziemia, a przed laty wielka kolonia smolarzy domy nawet mieszkalne i jakieś szopy stawiała, bór trzebiąc, smołę topiąc i dziegieć⁸. Wiadomo, na gotowe dostatki nie pójdziemy, tylko na trudy, na walkę z borem i niedźwiedziem. Ktoś pierwszy i na to ważyć się musi. Powiadasz: daleko od ludzi! Tak! Ale ja znów powiadam: bliżej Boga i przyrody! Dla moich badań – nowe światy. Hankę i Zygmunia nie takie znów szaleństwo brać w dziką puszcze, jak się wydaje. Kości im, co prawda, nie pomdleją tam, ani rączki nie zbieleją. O to też nie stoimy. Nauczą się na kawał razowego chleba ciężko pracować, w czym grunt wszystkiego w życiu dobrego. Hanka nigdy nie była z tych, co z francuskim romanssem na dywanach marzą o amorach i strojach. Kobieta, jak rydz, zdrowa, zawsze się rwała do sierpa, do strzelby, do konnej jazdy. A Zygmunt, z niemocy, w którą popadł w konwikcie pijarów, ozdrowieje i zahartuje się, nauką zaś jego zajmę się sam, w czym matka mi w wolnej chwili pomoże. Zresztą, co tu dużo mówić! Wiadomo! Prócz moich książek i zbiorów, a Jerzego trzосу zdobyczego – goli jesteśmy, jak tureccy święci. Po śmierci mojej niebogi⁹, matki Jerzego, przez te wojny, trochę przez moje włóczęgi... Żyć nam na twoim dorobku...

Nasrożył się pan Jan:

— Cóż znowu? Na moim dorobku? Czy nie ja z twojej mam wszystko łaski? Czy nie nasze wspólne wszystko? Nie dla Jerzego, Hanki i Zygmunia? Niestworzone rzeczy, aż złości biorą! Mnie bezennemu po co to? Do grobu zabiorę ze sobą grunt i dobytek?

— Co zrobisz, twoja wola. Wiem, że pocziwe masz serce dla nas. Ale my możemy i powinniśmy dorabiać się na swoim sami.

⁸ *Dziegieć*, od: *dziegieć* – gęsta substancja otrzymywana w wyniku destylacji drewna.

⁹ *Niebogi* – od *nieboga*, dawn.: nieszczęśliwa.

Zdrowiej tak, lepiej, milej, pożyteczniej, co wszystko nie jest rzecz mała. Powiem ci nawet, że się z tej królewsczyzny cieszę. Nie to, że duży jednak szmat ziemi, ale właśnie, że w tak zapadłej puszczy, że go trzeba uznoić i zdobyć, że wreszcie tak daleko od mrowiska ludzi. Bo com widział między ludźmi? Przykro mówić, ale po różnych doświadczeniach, zaprawdę, do bolesnych dochodzę wniosków. Przyroda jest dzika, materialna, surowością praw i pomyłek swoich nieraz człowiekowi dolegliwa, ale nigdy nie kłamie, ni sama da się podstępnie okłamywać. Jak zaś żywotna, bujna, jak ustawicznie się odradzająca, jak niezgłębiona w rozmaitości zjawisk i przeczysta w swojej nagości! A człowiek? Ogółem biorąc... No, nie mówimy o tym!... To jedynie wiem, że dość mam ludzi i świata. Uciec mi bodaj¹⁰ na jakiś czas od tego wszystkiego w dziką puszczy i wykąpać się w zdrowej naturze, krzepiąc siły fizyczne pracą, a płuca oddechem ziół leśnych. Jerzy zgadza się w tym ze mną, dosyć już mając wojaczki. Zakaszemy rękawy i zaczniemy wojować z odłogami.

— Jednak cóż warte życie bez ludzkiego towarzystwa i bez pracy dla wspólnego dobra? A ojczyzna? czyż ta nas nie potrzebuje? Mówisz, że źli są ludzie. Może prawda; jakież jednak wniosek z tego? Uciec od złych łatwo... i wygodnie. O wiele trudniej i piękniej byłoby dla nich pracować, bodajby dobrym przykładem służąc. Zakopać siebie i dzieci na odludziu, zerwać wszystkie związki z towarzystwem, jak można, nigdy nie zrozumiem.

— Na zawsze zakopywać siebie i dzieci nie zamierzam. Co do pożytecznej pracy dla ojczyzny, dla nauki — tej nam nie zabraknie. Wyrzębimy i zagospodarujemy szmat odłogiem leżącej ziemi rolnej, założymy nową osadę na rubieży, blisko handlowego szlaku. Czy mała w tym zasługa? A zresztą zahartujemy się w niedostatku, w niewygodach, w znoju, z czego może kiedyś jeszcze większy pożytek mieć będzie ojczyzna, potrzebująca ludzi twardej ręki.

¹⁰ *Bodaj* – dawn.: chociaż; na przykład.

— Róbcieź, jak chcecie. W poprzek waszym zamiarom nie stanę, owszem, dopomogę z gospodarstwa.

— O tym pomówimy po powrocie Jerzego. Dobrze trzeba będzie rozważyć, co brać, czego zaniechać, bo ze zbyt dużym taborem przedzierać się przez bezdroża leśne nie można. No, mil 20, nie za świątami! Na upartego co roku możemy się wzajemnie odwiedzać.

Tak gwarzyli. A już słońce nad ścianami boru zgąsło; już coraz głośniej i szerzej z łąk rozbrzmiewała żab orkiestra; już jaśkółki z wesołym gwizdem ostatnie koła zakreślały wysoko, co podobno piękną i stałą zapowiadało pogodę, lecz i te wreszcie jedna po drugiej powlatywały w poddasza do gniazdek swoich, z błota i gliny wylepionych. W miarę zapadającego mroku zastępowały je cichym, miękkim, skrytym lotem – nietoperze. Już z biczów trzaskając i głośno nawołując, zganiali pastuchy do stajen i obór swoje trzody; już pobłyskiwały kosy z łąk wracających kosiarzy, a wozy sianem naładowane skrzypiały.

Zmierzch ciepły, cichy, wonny obejmował wszystko niewysłowionym czarem kwitnących bzów, jaśminów, lip i czeremchy.

Wreszcie i wózek, oczekiwany widno¹¹, ukazał się w bramie wjazdowej i wnet wyskoczyli zeń Hanka i Zygmus; oboje opaleni i zmęczeni, ale weseli, szczęśliwi.

— Jerzego nie ma? — pytała ojca, zeskakując.

— Nie ma. Jakże się wam grabiło?

— Pysznie! Mówię stryjowi, siano, jak ruta! Kopica przy kopicu!

— A cóż Zygmus, jak się spisywał? Czy bardzo zmęczony?

— Grabił, grabił, tylko za często spoglądał na bociany, jaśkółki i bąki.

— Nieźle, widno uczonym będzie, przyrodnikiem. A jeść podobno zgoła nie chcesz?

¹¹ *Widno* – tu w znaczeniu: widocznie.

— Przeciwnie, dziaduniu, zjadłbym wilka.

— Przesadzasz, mój kochany. No, ale chodźmy, bo już Magda pewno niecierpliwie czeka z kolacją.

Odeszli do środka, wesoło rozmawiając.

W godzinę zaś później ukazał się na gościńcu jeździec na mocno zdrożonym¹² koniu. Skręcił w bramę, podjechał do stajni, ciężko zsiadł i parobkowi poleciwszy rozkulbaczyć, wytrzeć i nakarmić konia, zmęczonym krokiem przez ganek wszedł do dworku.

Wrócił dawno oczekiwany Jerzy.

¹² *Zdrożonym* – od *zdrożony*: zmęczony podróżą.

II WYWIADY I WYJAZD

Wrócił tak zmęczony, że tylko łąpczywie zjadłszy wieszczę i mruknąwszy:

— Wszystko dobrze, opowiem, gdy się wyśpię — rzucił się na łożo i spał snem kamiennym całą noc i duży kawał dnia następnego. Po czym zerwał się, zimną wodą oblał, bieliznę wdział i do czysta wypróżniwszy pełne misy nagotowanej strawy, opowiadał:

— Trafiłem w końcu do tej Dolnej Toni. Jezioro szerokie, jak morze, trudno okrążyć. Od południa moczary, szuwały i trzcina, dzikich kaczek i różnego ptactwa roje takie, że kijem natłukłby wedle woli. Ryb w jeziorze moc, warto brać węćierze¹³ i sieci. Od północy i wschodu brzeg lekko pagórkowaty, dobra tu glina, jest i piasek, i wapień do budowy. Wszędzie lasy bez końca tak gęste, że z koniem przedrzeć się trudno: dęby i buki, sosny, modrzewie i jodły, jesiony, lipy i brzozy, zresztą wszelkie drzew rodzaje liśćmi i konarami tak pożenione ze sobą i zrosnięte, że trudno rozpoznać; u dołu drugi las wszelakiej krzewiny, a na ziemi po kolana koń brodzi w mchach, paprociach i jagodniku. Co krok wykroty, omszone zwały gnijącej i spróchniałej padliny leśnej; porasta to brodami grzybowiska i roi się od owadów i mrówek. Dobrze choć, że rzadkie wądoły, rozpadliny i garby; za to sporo wszędzie owrzodziały oparzelisk z wodą rdzawą i kępami grzywiastych traw, mchów, skrzypu, paproci.

— Jak żeś trafił, jak przebrnął, czym się żywił? — pytali wszyscy z ciekawością.

¹³ *Węćierze* – pułapki na ryby.

— Nie trzeba było wyźła, żeby tropił kota; spod nóg śmigają jak głupie; rogów także koźlich wedle potrzeby, ile wlezie. Jeleń, nawet łośi i żubrów widywałem z daleka całe stada. Głowa o jadło nie bolała. Pełna teraz puszcza jadła. Tylko chleba szczędziłem, jak skarbu, i do ostatka chowałem kruszynę. O czystą wodę także nie wszędzie łatwo, nieraz doskwierało pragnienie, bo tej leśnej strach pić przed gnilcem i febrą. Tom w kociołku warzył leśną z odwarem rumianku, macierzanki lub poziomkowych liści dla smaku i tak pił. Barcie też pszczoł widywałem po dziupliskach. Co zaś do przebrnięcia, myślę tak, że tą drogą, którą ja po ścieżkach zwierzęcych człapałem konno, nie przejedzie się z furami. Powiadali smolarze, na których natknąłem w puszczy, że do Dolnej Toni przebrnę na przelaj konno, choć z biedą, ale kołami tędy nie dojedzie. Okrążyć trzeba spory kawał rzadszym borem, bardziej wzniesionym i suchszym od północy, gdzie i strugi wody częstsze, potem mil parę jechać handlowym szlakiem, wreszcie dobry kęs siekierami rąbać drogę. Tak tylko furami dojedzie się do Dolnej Toni i to krok za krokiem, jako ze smołą, że dwie niedziele jadąc. Tą właśnie drogą wracałem, czyniąc na drzewach karby¹⁴, po których myślę kierować fury.

— Nicze¹⁵ nad Tonią, tylko las? Bo w pergaminie mowa o jakichś smolarniach i budynkach?

— Oglądałem dwie duże smolarnie, tuż przy jeziorze sterczące, jak smoła czarne i okopcone, ale z tych budowli, choć są z cegły, żaden dla nas pożytek. Obok ślady tam szerokiego wokoło karczunku i wielkie z drzewa zabudowanie. Lecz dachy tej budowli pozrywane, drzwi powywalane, niedźwiedzie i żubry w zimie noclegi, a w lecie weseliska widno tam mieszały. Co z tego dla nas się przyda, zobaczymy na miejscu. Bez dużej przebudowy nie obejdzie się.

¹⁴ *Karby* – nacięcia, rejestrujące liczbę czegoś.

¹⁵ *Nicze* – dawn.: czy nic.

Tedy¹⁶ myślę, póki jeszcze suche lato, bez dłuższego zwlekania rozwiązać trzosa zdobyczy i zaraz jutro do miasta jechać po zakupy. Chyba, że ojciec i Hanka rozmyślili się zaniechać tej wyprawy.

— Ja miałabym zaniechać? Żartujesz chyba. Aż mi serce rwie do owej puszczy! A jak sobie dom wybudujemy, jak role i ogrody wytrzebimy, ile sprzętów własnymi rękami naciosamy, jakie nagromadzimy zapasy futer, mięsiwa, miodu, jagód, grzybów! Cieszę się, cieszę, chociażby mi przyszło przez całe lata w wilcze tylko przyodziewać się skóry!

— Podobno nie na co innego wam przyjdzie – mówił Jan. Ale trudno, sami chcecie. Co do zakupów, nie może inaczej być, tylko musicie wziąć ode mnie, co mam i dać mogę. Ziarna różnego kilka worów, o ile jeszcze pora – na zasiew, resztę na przezimowanie do przyszłego zbioru; dwie dojne krowy, nie tylko mleko, ale i przychówek z nich będzie w zimie; i wóz pociągną i orać pomogą; wóz zaś jeden dać mogę drabiniasty, mocny, na żelaznych osiach; kasztanki do drugiego dam, drobne, ale wytrzymałe i byle trawą wyżują. Przytwierdzi się na wozach obręcze, okryje zgrzebnym, nawoskowanym płótnem, to będzie w podróży schronienie na deszcz i noclegi; narzędzi też, jak pługów, pił, kos, bron i siekier oraz różnych rzemieni znajdziecie u mnie dostatek; rdzewieje to i pleśnieje bez pożytku, wam zaś się przyda. Lecz i kupić musicie niejedno: parę baryłek prochu, parę soli, sieci, skrzynkę gwoździ, żelaziwa różnego do budowy, jak skobli, strugów, świdrów; nie zawadzi koców z wełny, płótna i sukna, bo to, co macie, po paru latach pójdzie w strzępy, skórami zaś okrywać się, choć można, ale niezgrabnie. Strzelbiska i pistolety, widziałem, dobre u was, zwłaszcza owe zdobyczne Jerzego, szwedzkiej roboty, lecz i tych dokupić nie zawadzi, gdy możecie być w opresji wilków i zbójów. Nie zapomnijcie też o ołowiu na kulki i o śrucie.

¹⁶ Tedy – książk.: więc, zatem, w takim razie.

— Czy tylko pomieścimy wszystko to na dwóch wozach — zakłopotana się Hanka — boć¹⁷ trzeba przecie¹⁸ wziąć sporo jeszcze gotowego jadła na drogę i trochę rozsady, trochę kuchennych sprzętów, trochę drobiu w kotuchu¹⁹.

— Dobraś²⁰ — zawołał doktor — może jeszcze parę pierzyn i szafę z sukniami? Drób i domowe zwierzęta oswoimy, złapawszy w puszczy. Nie powlecjemy się, jak pludry²¹, z pieluchami, kotami i statkami. I tak wziąć muszę zbiory swoje, książki i chemikalia.

— Radziłbym — dodał Jan — mojego Franka zabrać. Hultaj sprytny do wszystkiego, czy piec wymurować, czy piec naprawić, czy kosz z wikliny lub postoły z brzoźowego łyka upleść, czy zwierzyne podejść. A już cieśla z niego naprawdę zawołany.

— Jakże, jako niewolnego najmitę? Zawsze sromałem się²² korzystać z takiej wysługi.

— Wyzwolony. Będzie wam chętnym towarzyszem, bo łąkomy odmiany i przygód. A drugiego wziąć wam radzę Grzegorza. Mrukliwy to, ponury i twardy Rusin, lecz wierny i uczciwy. Chętnie pójdzie, bo lubi samotność i przepada za łowami.

— Jeżeli zechcą, weźmiemy.

Przywołano Franka. Chłopakowi oczy z radości zabłyśły. Zgodził się natychmiast i bez wahania, zwłaszcza gdy usłyszał, że każdego czasu wolno mu będzie wedle chęci pozostać lub odejść. Nie było także żadnej trudności z Grzegorzem.

— Jak każut, pijdu! Mni puszcza maty ridna!²³.

¹⁷ *Boć* – dawn.: bo.

¹⁸ *Przecie* – dawn.: przecież.

¹⁹ *Kotuch* – dawn. pomieszczenie dla drobiu, kojec.

²⁰ *Dobraś* – dawn.: jesteś dobra.

²¹ *Pludry* – pogardliwy synonim Niemców.

²² *Sromałem się* – dawn.: wstydziłem się.

²³ *Jak każut, pijdu! Mni puszcza maty ridna* – tu w zn.: Jeśli każą, pójdę. Puszcza jest dla mnie rodzoną matką.

Więc z zapałem zabrano się do przygotowań, każdy coś przypominał, dokładał, doradzał. Poczciwy Jan rozstał się nawet, acz z bólem serca i po długich pieszczotach, z dwoma psami: Chanem i Bejem.

— Przyjaciół wam daję — mówił — tropią nie gorzej od wodnych wyźłów, tak doskonały wiatr mają — mówił — do aportowania tak przyuczone, że każdego wypracują wam postrzałka. Patrzcie na ich pierś głęboko rozwiniętą, na te muskularne lędźwie i silne kupry, na te inteligentnie i bystro wpatrzone oczy. Poznacie, jaką pasję i ciętość mają na każdego drapieznika. Psy takie nie zmęczą się najdłuższym galopem, rzucą się, jak kundle, na dzika, wilka i niedźwiedzia, jak bernardy²⁴, łagodne są i wierne. Psy takie starczą w potrzebie za dziesięciu ludzi.

Po kilku dniach przygotowań o wczesnym brzasku, po cichej mszy w kościele parafialnym, poczciwy Jan za bramę odprowadził odjeżdżający tabor: trzy mocno wyładowane wozy, płótnem pokryte; na jednym siedziała Hanka z Zygmysiem. Obok w letnich płótniakach, opasani i uzbrojeni, ale w postołach²⁵, do długiego po lesie chodu wygodniejszych od skórzanego buta, szli: doktor Adam, Jerzy, Franek i Grzegorz. W awangardzie ogromne psiska, Bej i Chan, wesoło poszczekując, w mniemaniu, że idą na polowanie, myszkowały na wszystkie strony.

²⁴ *Bernardy* – chodzi o bernardyny.

²⁵ *Postoły* – obuwie plecione ze skóry lub łyka.



III

SŁOWIKI – POTOPY ROŚLIN – JARZĄBKI – DYSPUTA O DRZEWACH

Jechali utartym zrazu szlakiem wzdłuż borów, między polami i łąkami, ciągle ku północy, rzeźwiąc się wonią kłosów i kwiatów, zwilżonych ranną rosą. Zamiast namiętnego wrzasku żarłocznych wróbli, towarzyszącego im w pobliżu wioski, szło teraz od zbóż coraz głośniejsze i częstsze w miarę rozkwitu dnia brzęczenie koników polnych i pietpielenie młodych przepiórek, a spod obłoków monotonne, dźwięczne zawrodożenie szarych skowronków, które kiedy niekiedy opadały z wyżyn do swych gniazdek na roli.

Potem promami przepłynęli przez szeroką wstęgę Bugu, kierując się polnymi drogami ku borom przez bujne łąki, pełne ptasiej wrzawy, pełne kwiatów, muszek i motyli, barwnych w pośrodku słońca, jak kwiaty, pełne hucznych nawoływań, kosiarzy i brzęku kos, raz w raz przy ostrzeniu poklepywanych. Wrzała tam praca na zdrowie i pożytek, gdyż parobkowie z rozmachem ścinali na pokosy gęstą trawę, a dziewczęta barwne z dala, jak motyle i kwiaty, z radością, śmiechami i przyśpiewkami zgrabiały do kopic lub przewracały grabiami ku słońcu, lub nakładały na wozy wonne, suche siano.

Oni zaś ciągle posuwali się ku pagórkowatemu kąтови ścian boru, nie zważając ani na stada wron, krzyczące po przydrożnych drzewach, ani na boćki po łągach z dala żerujące, ani nawet na jastrzębia, który poszybował nad łąkami, wniósł się wysoko i zapadł gdzieś w kniejach. Na krótko tylko dla wypoczynku i południowego posiłku stanęli w cieniu drzew, by wnet pojechać dalej.

Dopiero dobrze pod wieczór zatrzymali się na małym wzniesieniu, już w widłach gęstego lasu, na nocleg.

Naznosić suchych łomaków²⁶ i liści, rozniecić przy pomocy hubki²⁷ i krzesiwa ogień, zagotować w kociołku wodę, jakaż w tym radość dla Zygmunia. Nie odpoczywali także inni: wyprężono, wytarto i popętano konie i krowy, puszczając je na pastwisko, Hanka zaś z zapasów, wziętych na drogę, przygotowała posiłek. Wreszcie wśród urywanego ćwierkania leśnych ptasząt, zmęczeni drogą, wnet twardym snem zasnęli.

Jednak już przed północą zbudziła się najpierw Hanka, potem Zygmunt, wreszcie inni. Ze skraju borów, z głębi lasu, ze wszystkich krzewin płynęły oto zrazu oderwane i nieśmiałe, coraz jednak częstsze i silniejsze gwizdy, trele, szczeglenia, jakby jakieś tkliwe łkania, rzewne kłaskania, aż nareszcie cały las, wszystkie konary, wszystkie liście na drzewach i krzakach zabrzmiały szeroką kaskadą tonów, niby z tysięcy brzmiących strun złożona czarodziejska lutnia rozbrzęczała, rozstrzegliła się trelami, zalewając las wonnym czarem wiosny i miłości, zmysłowego upojenia i lubością słowiczych pieszczot.

W zachwycie i ciszy słuchali, by nie uronić ani akordu z dziwnego koncertu, w którym nic sztucznego nie było, tylko czar niewyszukanej prawdy, tylko raj krótkiej, wiosennej rozkoszy.

— Słowiki, mamó — szepnął Zygmunt.

— Duch puszczy gra dzióbkami²⁸ rozkochanych ptasząt — szeptała matka Zygmunia.

— Cicho mateczko, nie spłoszmy ducha puszczy, gra jego jakby nie z tego płynie świata.

— Dobrze mówisz, jakby nie z tego świata...

²⁶ *Łomaków* – od *łomak*, dawn.: sucha gałąź.

²⁷ *Hubki* – od *hubka*, dawn.: wysuszony kawałek huby.

²⁸ *Dzióbkami* – od *dzióbek*, reg.: dziobek.

— Osobliwość — szeptał doktor Adam — tylko Alhambra lub Sierra Morena zna takie roje słowików; w naszym kraju czegoś podobnego nie oczekiwałem. Widocznie w największym są teraz rozkochaniu. Śpiewają samce, aby się przypodobać słuchającym w pobliżu oblubienicom. Słyszycie łopoty skrzydeł? Wśród koncertu staczają ze sobą walki rywale. Gdy powiążą się w pary, gdy kołyski dla spodziewanego potomstwa wybudują, gdy zaczną się odsiadywanie: umilkną koncerty. Teraz jeszcze czas upojenia, szału, śpiewu.

Z wolna przygasały kaskady trelów i wszyscy usnęli, prócz Zygmunta i jego matki.

— Czy mama naprawdę wierzy w jakiegoś ducha puszczy, o którym niańki dzieciom opowiadają?

— Nie bądźże tak naiwny, mój drogi. Cóż ci opowiadała niańka o duchu puszczy?

— Że mu posłuszne są wszystkie zwierzęta; że w lecie rozsypuje po puszczy kwiaty, a w zimie drży skulony od zimna, jak chusta biały, z głodu przymierając; że ulubieńców swych obdarza wiankiem czarodziejskiej mocy; człowiek, włożywszy sobie na głowę ów wianek, zmienia się w dowolne istoty: wiewiórki, mrówki, motyle, w cokolwiek zapagnie, albo nawet niewidzialnym stać się może. Takie bajki!

— Ładne, chociaż dalekie od rzeczywistości, która zna tylko znój i ciężkie walki, cierpienia różne i radości, ale żadnych czarów.

— Więc na świecie żadnych cudów nie ma?

— Cały świat, mój drogi, jest jednym wielkim, niezbadanym cudem; cudem są te małe, a tak liczne tu światełka w liściach, którymi świecą świętojańskie gąsieniczki; cudem jagody, drzewa, grzyby; cudem ty sam i ja i owe gwiazdy nad nami i puszcza cała i całe życie, rządzące się stałymi prawami. Wszystko to podziwiać, badać i poszanować trzeba. Lecz zgoła niedorzeczne są i nieprawdziwe fantazje ludzi leniwych i głupich, że cokolwiek pożytecznego stać się nam może bez trudu i zasługi, jedynie mocą

urojonych czarów. Prawa przyrody niewzruszone są, niezienne i wszystko od trawy ździebła do człowieka im podlega.

— A prawa ducha?

— Stawiasz pytanie, na które niełatwo jednym słowem odpowiedzieć. Są uczeni, którzy twierdzą, że wszystko stopniowo rozwija się i wyłania z pierwocin praw naturalnych. Inni nie zgadzają się z nimi, twierdząc, że Bóg bezpośrednio objawił człowiekowi zasady prawa ducha, przykazania praw moralnych. Do tych i my należymy, lubo²⁹ niektórzy nie znajdują istotnych różnic w obu zapatrywaniach. Wszystkich tych zawłości roztrząsać, a tym mniej rozstrzygać nie będziemy, zwłaszcza, że spóźniona noc do snu skłania, tak nam do jutrzejszych mozołów potrzebnego.

Nazajutrz o świcie po sutym posiłku ruszono w dalszą drogę. Kompas Adama, a jeszcze lepiej karby Jerzego wskazywały kierunek. Grunt był suchy, las wysokopienny, rzadki, z małym podszyciem, więc posuwali się bez większej mitręgi. Tylko korzeniska, jak przeguby olbrzymich węzów, skłębionych w ziemi pomiędzy pniami, niemało utrudniały jazdę. Niekiedy zanurzały się wozy w jagodnik, obsypany dojrzewającymi, częściej jednak zielonkawymi jeszcze borówkami. Spotykano wiewiórki, nie tylko rude, ale także czarne. Tanecznice lasu nie miały jeszcze ani orzechów, ani bukwy³⁰, więc, jak piłki, z konarów skakały na konary, to w górę zadzierając puszystą kity, to stulając ją pod siebie, skakały coraz wyżej, aż na sam sosen wierzchołek, gdzie najczęściej szyszek. Oto znów na dolne zbiegają konary, na tylnych stają łapkach, przednimi trzymają szyszkę i spokojnie gryzą słodkie ziarna, bez lęku strzelając wzrokiem na szczekających Chana i Beja. Uszka im sterczą, żywe oczęta czujnie przypatrują się to srokom skaczącym po konarach, to czubkowi i błękitnej plamce na skrzydle sójki, to

²⁹ *Lubo* – przest., tu w znaczeniu.: chociaż, mimo iż.

³⁰ *Bukwy* – od *bukiew*: owoc buku.

przelatującym muszkom, to metodycznej pracy dzięcioła, który podparł się na silnym ogonku i lezie cierpliwie w spiralnej linii po pniu drzewnym coraz wyżej, kując i kując za lizkami korników tak pracowicie, aż mu główka od znoju poczerwieniała.

Psy, wietrzące na czele taboru, stawały czasem nagle, jak w ziemię wrosłe, kufy³¹ z klapami wyprężywszy i stuliwszy strychulec³². Franek wówczas zrywał się na łowy. Doktor zabraniał.

— Na dziś — mówił — starczy żywności. Nie bronię, gdy trzeba. Lecz zabijać zwierzynę dla pofolgowania myśliwskiej chuci – wstyd, grzech i niepotrzebna mitrega³³.

Więc psy odwoływano lub na smycze brano, gdy niespokojniejsze były, a wytropione zwierzę zmykało na swobodę. Zresztą zabito już dnia tego kozła i dwa spore ptaki z rdzawo i czarno nakrapianym upierzeniem, białe od spodu, z czubem na głowie.

— Jarząbki to — poznał doktor — samce, bo mają czuby; teraz ich mięso nie tak smaczne, jak pod jesień, gdy się czarnym bzem, jarzębiną lub jałowcem utuczają, lecz i teraz ujdzie.

Wjechali potem w rozłogi, porośłe rozmaitą pienną drzewiną, a tak mocno podszyte, że raz po raz trzeba było daleko okrążyć niezbrodzoney gąszcz różnych krzewów; jak głógów z białym lub różowym kwieciami; jeżyny, róż polnych, zwanych także szypszyną; jak leszczyn, jak maliniska, ustrojonego w białe gwiazdki, zalanego powodzią powojów, pokrzyw, jemioluchu, łopuchu i paproci; jak wreszcie krzewiastych kalin, których żółte baldachy pozwijały się z kiściami wonnej czeremchy, z gałęziami dzikiej porzeczki i z fioletowym bukietem słodkogórze³⁴.

Bezpieczną tam kryjówkę miała wszelka zwierzyna, a przebrnąć z furami owe potopy roślinności żadnego nie było sposobu.

³¹ *Kufy* – tu: pyski.

³² *Strychulec* – tu: ogon.

³³ *Mitrega* – tu: przeszkoda, utrudnienie.

³⁴ Chodzi o roślinę zwaną *psianka słodkogórze* (przyp. M. M.).

— Tłusta tu i rodzajna ziemia — mówił doktor — buja wszelka roślina, jak na drożdżach; gdyby taka nad Tonia...

— Taka sama, może nawet jeszcze bujniejsza z jednej strony jeziora — odpowiedział Jerzy — bo z drugiej moczarzyska. I stąd za jakie trzy dni zjedziemy na młakowate ługi³⁵, które ciągną się milami.

Podczas południowego wypoczynku przywołał doktor wnuczka i wymieniając po nazwisku różne drzew rodzaje, pytał, jak mu się one podobają.

— W ciepłych krajach — odpowiedział Zygmunt — są podobno drzewa znacznie większe i piękniejsze od naszych.

— W podróżach po świecie istotnie podziwiałem kolosy drzew zdumiewające. Osobliwością świata są na przykład w Kalifornii lasy mamutowców (*Sequoia gigantea*). Szyszkowe te olbrzymy, okryte korą barwy cynamonowej, pnem, dopiero na wysokości kilkudziesięciu metrów rozwijającym się w konary, wyżej strzelają w niebo, niż wieża kolońskiej katedry (160 m). Niektóre z nich już 8 000 lat żyją, a w wypalonym wnętrzu ich pnia, 15 osób może wygodnie zasiąść do stołu. Australijskie gumowce, zwane eukaliptusami, damarowe sosny w Nowej Zelandii, smokowce na Wyspach Kanaryjskich, wzrostem i ogromem dorównują tamtym. Pomimo to wolę ja nasze dęby lub sosny. Choć mniejsze wzrostem i mniej długowieczne, wydają mi się powściągliwsze i jakby więcej uduchowione.

— Szczególnie brzmi ten wyraz, gdy mowa o drzewach — zauważyła Hania.

— A jednak uczeni nie wahają się dysputować nawet o moralności roślin. Z tego też punktu widzenia użyłem wyrażenia „uduchowione”. Drzewa i rośliny naszego kraju mniej są od południowych żarłoczne. Tam widywałem w puszczech rzeczy

³⁵ *Młakowate ługi* – podmokłe łąki; od *młaka*: woda powierzchniowa i *łęg*, dawn.: podmokła łąka lub las liściasty.

straszne; jedno owija się około³⁶ drugiego w węzowych splotach, wysysając żywotne soki, prężąc się ku słońcu, szalejąc rozrzutnością kwiatów, kalecząc i dławiąc kolcami, wąsami, trującym lepem, byle wyżej, byle przeciwnika zadławić. W tej bezlitosnej, samolubnej, żarłocznej o byt walce czołgają się i płaszczą, gdy są w mrokach dolnych, lecz skoro tylko się dźwigną do góry, depcą, miażdżą, duszą i mordują słabszych od siebie bez żadnego względu. Jedyne tam prawo: „Každy sobie” lub: „Nie rób sam, gdy za ciebie inny zrobić może”. Tak potwornej o byt walki nasze drzewa nie znają. Pasożyty naszych roślin, jak jemioła lub wiciokrzew, jak mchy, paprotka lub porosty, poprzestają na skromnym zbieraniu jakby podatku z cudzej pracy. Sosna nasza zwycięża w walce z rywalami nie mordem, tylko raczej podstępem, gdy ostre swe i krzemieniste igły sypie dookoła, które przygłuszają porost mchów i trawy. Oparła się mrozom, żywicą swą zmogła owady, jedynie człowiekowi podołać nie może.

— Bo człowiek panem jest roślin i zwierząt.

— Panem? Mój chłopcze, to egoistyczne, dumne i niemoralne zdanie zasadniczo winienes³⁷ zmienić.

— Niemoralne? — zapytała Hania.

— Nie inaczej, gdyż do tyranii i niszczytelstwa prowadzi, jak każda pycha, każdy egoizm, każda przemoc silniejszego, nieuwzględniająca interesu słabszych. Czyż ziemia ze wszystkimi roślinami i zwierzętami nie jest przede wszystkim własnością Stwórcy? Czy ludzie z mroków pierwotnej natury swojej zwierzęcej nie mają dźwigać się duchem w godność synów i dziedziców Bożych, gdzie nie egoizm, nie tyrania, nie ślepa o byt walka, nie ciemny instynkt z popędami władają i rządzą, lecz prawa ducha, zniewalające do dobrotliwej nad dziedzictwem opieki? Nie panami jesteśmy, lecz czynszownikami własności Bożej. Włoda-

³⁶ Około – tu: wokół.

³⁷ Winienes – winien jesteś.

rzyć tedy winniśmy owym dziedzictwem roztropnie, umiarkowanie i godziwie, aby nie niszczyć, nie znęcać się, lecz pomnażać i uszlachetniać, czego się domaga nie tylko sama zasada, ale także własny nasz interes. Pomijając bowiem zwierzęta i różne rośliny, ileż to pożytku ma człowiek już z samych drzew tylko. U nas z iglastych ma budulec, opał, terpentynę, potaż³⁸, smołę; z dębu znakomity budulec stolarski i garbnik; maszyny i koła wyrabia ze spoistego wiązu; meble gięte i sprzęty bednarskie ze sprężystego jesionu; obręcze i miotły z brzeziny; budowle i sprzęty różne z buku i jaworu. Cóż dopiero mówić o wszelkich innych roślinach i krzewach, których rozmaitość tak na świecie niezliczona? Co mówić o dobroczynnym wpływie lasów na klimat i naturę każdego kraju? Gdzie głupi człowiek wytepi lasy, tam kraj rychło szczerym piachem lub nagą skałą zaświeci, z czego na pokolenia zagłada, głód i śmierć nieuchronna.

— Mnie zaś — mówiła Hania — piękność drzew i lasów naszych najwięcej zachwyca, tak w różnych roku i dnia porach różnorodna. Co zaś do pożytku, myślę, że od naszych drzew znacznie pożyteczniejsze są południowe, które więcej otrzymują słońca do rozwoju swoich kwiatów, nasion i owoców.

— Nie zaprzeczę — odpowiedział doktor. — Z roślin gorącej strefy i do nas handlarze przywożą dużo rozmaitego produktu, jak: pieprz, bobkowe liście, szafran, muszkatele³⁹, cynamon, herbata, kawa. Nie chwałę, gdy przywożą ze szkodą ludzkiego zdrowia, dla podrażnień tylko krwi i podniebienia. Ba, i dobre rzeczy przychodzą stamtąd, jak kamfora, która jest stężalym olejkim pewnego drzewa, jak guma, arabską zwaną, z drzewnego pochodząca soku, jak korki do flaszek, jak brezyl⁴⁰ do farb używany. W Ameryce

³⁸ *Potaż* – węglan potasu.

³⁹ *Muskatele* – tu: gałka muszkatołowa.

⁴⁰ *Brezyl* – od *brezylka* – drzewo lub krzew dostarczający czerwonego barwnika.

widziałem drzewo, kakao zwane, którego nasiona tyle mają tłuszczu w sobie i mąki, że zmieszane z cukrem za posilny i smaczny służą pokarm. Tam cukier wypłukują z rdzenia pewnej trzciny, czego my ze swoich buraków znacznie łatwiej i więcej moglibyśmy dostać. Tam z owoców drzewa oliwnego wyłaczają przedni olej, znacznie smaczniejszy od naszych lnianych lub konopnych. Tam z soku drzewa parch⁴¹, ugotowanego z sokiem cytrynowym w wodzie, tworzą po wyparowaniu materię, którą kupcy zamiast zwierzęcych skór zalecają, nazywając gutaperką. Ale to tam do dobrze wyprawionych skór ani umywa się, gdyż łatwo twardnieje i pęka. Z owocu drzew chlebowych wypiekają ludzie południowi chleb, nie powiem, żeby posilniejszy ani smaczniejszy od naszego żytniego lub pszennego. Za to z palm swoich mają istotnie różnorodny i godny podziwu pożytek. W pniu jednej znajdują ludzie mąkę, wcale nie gorszą od naszej pszennej; tę to mąkę nazywają w handlu „sago”. Rośnie w krajach południowych jeszcze pożyteczniejsza od sagowej palma, zwana „kokos”. Cudowne to drzewo kokosowe rodzi orzechy wielkości małej głowy ze skorupą bardzo twardą, brązowym włóknem pokrytą. Jeżeli ów orzech rozbijesz, znajdziesz wewnątrz słodkie, białe mleko, które sfermentowane i oczyszczone, staje się mocną gorzałką, arakiem zwaną, a po odparowaniu zamienia się w cukier. Ba, w tym samym orzechu pod mlekiem znajduje się jeszcze biała i twarda warstwa, która tak jest tłusta, że po dobrym wytłoczeniu zastąpić może nasze krowie mleko, a pali się, jak olej. Z włókien kokosowych wyrabiają nadto⁴² mocne tkaniny, maty i okrętowe liny. Śmiało tedy można powiedzieć, że palmowe drzewa dostarczają ludziom południowym wszystkiego, czego do życia im potrzeba: mąki, cukru, oliwy, owoców, wosku, warzyw, żywicy, budulca, włókien na

⁴¹ Chodzi zapewne o drzewo gutaperkowe (gutaperkowiec), z którego wytwarza się gutaperkę, tzn. kleistą substancję, zbliżoną do kauczuku.

⁴² *Nadto* – tu: poza tym; oprócz tego.

przędziwo, mleka, nawet gorzałki i perfum. Pomimo to powtarzam: dla nas nasze drzewa najpożyteczniejsze są i najzdrowsze. Naszych szlachetnych jabłek i gruszek nie oddałbym za żadne daktyle, banany, pomarańcze i figi. Na całym świecie nie masz lepszego i zdrowszego owocu od jabłek i gruszek. Jabłoniami i grusza-
mi, gdybyśmy rozum mieli, powysadzalibyśmy nie tylko sady, ale i wszystkie w Polsce drogi. Nie pamiętamy o tym, niestety, drzew owocowych szczepimy mało, pielęgnować ich nie chcemy, owoc lekko sobie ważymy⁴³, wszystko to z niemałą własną szkodą. Zabawiliśmy się jednak tą rozmową nazbyt długo, zapomniawszy, że czas już w dalszą wyruszyć drogę.

⁴³ *Lekko sobie ważymy* – tu w znaczeniu: nie uznajemy za zbyt ważne; lekceważymy.

IV
DALSZĄ PODRÓŻ – BURZA – NOCNE ŻYCIE
W PUSZCZY – CIETRZEWIE – PUCHACZ I PTAKI –
SOKÓŁ I ŁASICA – SŁODKA PRZYGODA FRANKA

Tabor wyruszył, zbaczając ku północy, gdzie droga była dostępniejsza. Lecz dnia tego mało posunął się naprzód, raz, że upał mocno doskwierał i wszyscy czuli się pomęczeni, po wtóre z powodu burzy. Zaraz po południu słychać było z daleka głucho huczenie grzmotów. Poukrywało się ptactwo w gniazdach, owady w szczelinach i norach, a wierzchołki drzew stały bez ruchu wyprostowane, jakby czekając upragnionej kąpieli.

Nagle, niby z zasadzki, wionął potężny wichur, zakręcił półkołem i wstrząsnął całą puszcza tak silnie, że białe brzozy kładły się prawie do ziemi, rozkolebały się sosny, jodły i buki, a nawet dumne dęby z wielkim szumem jęły potrząsać konarami. Ściemniło się, jakby noc zapadła. Liść, trawa, suche łomaki szły z wichrem, siekąc o pnie drzew. Błysnęło oślepiającym blaskiem raz, drugi i trzeci i tuż zaraz huknął piorun. Koniki poprzysiadały na zadach, a krowy dobrze, że upręży nie pozrywały. Ledwo miano czas zaszyć się z taborem między gęste krzewy malin, głogowiska i kaliny, unikając wysokich drzew, w które pioruny częściej biją: gdy niebieska kapela rozegrała się straszliwie, raz po raz rażąc błyskawicami, po których waliły pioruny, hukiem wstrząsające – zdawało się – wszystkimi posadami puszczy. Luła deszcz, jak z cebra, smagając liście i konary drzew nawała grubych kropel, strugami spływających po gałęziach ku korzeniom. Stopniowo odstęp pomiędzy błyskawicami a hukiem zwiększał się, oddalała się widno nawałnica, lecz potoki wody,



jakby przez rozwarte śluzy nieba, płynęły jeszcze długo, z wolna tylko wątlejąc.

Orzeźwiła się, wykąpała puszcza. Piły żywotną wodę spragnione drzewa, krzewy i rośliny ustami w liściach, porami łądyg i konarów, omszoną korą, wsączały przez włókna i węzowate odrośla korzeni z przesyconej ziemi.

Ptak w gnieździe strzepywał z piórek brylanty kropel, ale dzióbkiem chwycił spadające po liściach i z rozkoszą wypijał. Nawet ślimaki, gąsieniczki i wszelakie owady ożywiły się, poczęły wylazić z kryjówek i z zadowoleniem pełzać na żerowisko.

Także podróżni nasi wybrnęli z gęstwiny, zwłaszcza, że i słońca smugi już przeświecały przez liściaste konary i można było myśleć o rychlejszym wysuszeniu się w słońcu i ruchu. Bez przerwy też i zwawo jechali już do zmierzchu, oglądając w puszczy ślady burzy: pozrywane gałęzie lub nawet powywracane drzewa, odsłaniające w surowej glinie kłęby korzeni. Wreszcie wyszukawszy sobie dogodny na nocleg miejsce, rozpalili ognisko, spożyli wieczerzę i ułożyli się do snu.

Tylko doktor Adam, na którego padła kolej czuwania, leżąc na wołoku⁴⁴ przy tlejącym ogniu, zagłębił się wzrokiem i słuchem w czarne łono puszczy.

Nie spała ona wcale. Z ciemnej, tylko bladą lampą księżycą osrebrzonej toni szły przytłumione oddechy warem kipiącego życia: czasem głuchy i oderwany pomruk; czasem rechoty i kwiki; to znowu nagle niby ludzki śmiech złowieszczy i spazmatyczny, to wrzask bolesny, krótki, gardlany, jakby kończącego się tragicznie czyjegós życia. Zdarzały się i tłumniejsze, wrzawliwsze odgłosy gromadnego kłębienia się, szamotania, tupania, porykiwania, jakby pochodzące z odległej walki.

Przyrodnikowi, przywykłemu do ścisłego wnioskowania, nie roіło się w głowie ani o leśnych bóstwach, ani o Dianie łowczy-

⁴⁴ *Wołok* – filc wytwarzany z wełny odpadowej i sierści.

ni, z gronem służebnic przebiegającej leśne odłogi, ani o rogatym Satyrze, który na kosmatych łapach goni Nimfę, zwodzi, prze-drzeźnia, wabi... Wprawne jego ucho rozumiało mowę puszczy; czujnie nasłuchując, rozmyślał:

— Wszystko tu wre teraz żywiołową żądzą jadła i rozpłodu: o to stacza krwawe walki, tym żyje i kona. Maciora włóczy się z warchlakami, klamsając uzbrojonym w szable gwizdem, ryjąc w mchach za robactwem, gotowa z fukiem, kwikiem i chrumkaniem każdej chwili stoczyć walkę z wilkiem, rysiem lub chytrym lisem. Nurza się dla ochłody w bagnisku. A gdy lekkomyślne warchlaki różne stroją żarty i bawią się, pokwikując, ona czuwa i nie żartuje w niebezpieczeństwie. Żerują w nocy także sarny z kozłętami swymi i siutkami⁴⁵, wyszedłszy z gęstwiny, w której za dnia były zaszyte; żerują i jelenie, którym majowe pączki i łodyżki najmilej pachną w nocy. Niedźwiedź zapewne teraz wesele odprawia, może kąpielą się chłodzi lub wdrapuje za pszczelnym miodem pod dziupłę – smakosz. Wilczyca liże swój świeży pomiot w norze, gdy włóczęga samiec gnuśnie z komyszy łązi w komysze⁴⁶, podkra-da się i morduje słabszych od siebie, choć mu głód nie doskwiera w lecie – rozbójnik. Chytry, podstępny, żarłoczny lis nie dba o swą sukę, która w norze pielęgnuje majową gromadkę ślepych szceniąt. Powoli, ostrożnie sznuruje, rozglądając się na wszystkie strony, czujnie łowiąc uchem każdy szmer podejrzany, węsząc po zaroślach, czołga się śladami szaraka, przepływa bagna, chciwie pożera dżdżownice, wszelkie larwy i chrabąszcze, spadające z liści drzew, podpełza pod ptasie gniazda lub na brzuchu leżąc w mchach godzinami nieraz cierpliwie czeka na nieostrożną ofiarę. A ryś? Ten w północy przez cały dzień leży beczynnym w swej norze. Teraz po długim czatowaniu zobaczył sarniątko, żerujące obok matki; olbrzymim skokiem rzuca się, nie chybia na włos, wbija

⁴⁵ *Siutkami* – reg. od *siuta*: koza (sarna); *siute* – bezrogie.

⁴⁶ *Komysze* – reg.: zarośla.

zęby i pazury w arterie szyi i czeka, aż ofiara z charczeniem skona. Wtedy dopiero wacha ją z pomrukiem zadowolenia i merdaniem ogona, obraca, lubuje się, zanim krwawą ucztą pysk i pazury pobroczy. A ten głos przeraźliwy, złowrogi, niemilknący od zmroku do świtu, wstrząsający nerwami przesądnych: „Puhu! puhu! puhu!” Znam cię, samotniku ponury. W pierzynie własnych piór, nastroszony od usznej małżowiny do pazurów, siedziałeś ukryty przed słońcem i nienawidzącym cię ptactwem gdzieś w ciemnym dziuplisku⁴⁷. Teraz straszysz leśnych mieszkańców puchaniem i – cichym, złodziejskim lotem zakradasz się do gniazd czyżyków z żółtą główką, do siedzib gawronich na jesionach, między gałęzie wiązu, gdzie śpią zięby w misternych domkach, między konary buków i dębów, gdzie szukasz mocno zbudowanego gniazda sroki. Biada uśpionym i nieostrożnym. Bez litości rozerwiesz gniazdo, rozdrzesz pazurami i stare ptaki, i nagie pisklęta, ale krwią ich i ciałkami nie nasycesz się. Przez całą noc będziesz tak tropił kuraki, gołębie, wrony, kruki, króliki, myszy, szczury, jeże, odnosząc część połowu do dziupli dla żarłocznej swojej dziatwy. Ledwo wysunie wiewiórka głowę z nory, myśląc, że posłyszala pierwsze hasło poranku, głośne „cza – cza” kosa: wnet wrażisz w nią swoje pazury i na kawały rozdrzesz. Będzie miała nieszczęsna tyle tylko czasu, aby wrzasnąć przed skonaniem. Zajączek tak troskliwie wyszukał sobie miejsce na nocleg w łopuchach, paproci i pokrzywach; musiałeś go i tam wytropić, zdradliwie podejść, wbić mu ostre szpony w futerko szyi, porozdzielać na kęsy. Poczekaj, zanim noc minie, zanim pierwsze promienie słońca przedrą się przez konary, zanim się ukryjesz w norze, będziesz ty ze wściekłym kichotem⁴⁸, parskaniem i kłapaniem dzioba uciekał w śmiertelnej trwodze przed samosądem zrozpaczonego ptactwa. Ba, niezgorzej od puchacza hula także ruda, z białym brzuchem, jak wąż zwinna,

⁴⁷ *Dziuplisku* – od gw. *dziupel*: dziupla.

⁴⁸ *Kichotem* – od: kichać.

od lisa chytrzejsza, od rysia zuchwalsza, delikatna, ale jak wampir krwiożercza kuna. Kiedy sypia ten zgrabny, jak duch chyży i lotny twór leśny? Rzuca bystro skośnymi oczkami, węzowym ruchem zwija aksamit futerka, cicho, zdradliwie podpełza, rozglądając się, przystając w ciszy nocnej: oto kos siedzi w gnieździe na różowych ciałkach piskląt. Jeden nagły, drapieżny rzut – już kos chrapiąc, kona; a kuna krew z rozkoszą żłopie, w braku krwi ptaków i piskląt, wysysa jaja. Od jednego gniazda pełźnie do drugiego i tak bez końca. Nie bóstw leśnych te stękania, te urywane wrzaski, te tłumione westchnienia, chroboty i tupotania, dochodzące z oświetlonej księżycem puszczy. Tak dyszy dzikie, pierwotne, surowe tętno serca natury — w podobnych myślach pogrążony był doktor Adam, zanim kilka godzin przed świtem nie zerwał się ze snu Jerzy, aby wyręczyć ojca w czuwaniu.

Jerzy nie o zwierzętach, ani o naturze myślał; raczej poprawiwszy dogasające ognisko, układał sobie plany założenia trwałej nad Tonią sadyby⁴⁹: jak dom naprawi i ostrokołami ubezpieczy, jak orną rolę wydrze puszczy, zasiewy poczyni, zasoby mięsa i skór nagromadzi na zimę, jak z małej kolonii leśnej zbuduje początek większej ludzkiej siedziby. Z tych rozmyślań i marzeń wyrwał go przed świtem Franek, który, zerwawszy się ze snu, ziewając i przeciągając się mówił:

— Zimno. Co tu siedzieć będziemy po próźnicy? Może by na polowanie w bór, albo co, bo i pan doktor mówił, że trzeba.

— Dobrze — zawołał Jerzy — chodźmy, przyda się jaka zdobycz.

— Trafić by nam na tokowisko⁵⁰ głuszców — zauważył Franek.

— Nie czas na mitręgę i łatwo zabłądzić. Weźmiemy, co się zdarzy i zaraz wrócimy. Zresztą głuszce nie tokują w maju, lecz z pierwszą wiosną, zaraz po zejściu śniegów.

⁴⁹ *Sadyby* – od *sadyba*, dawn.: siedziba, osada.

⁵⁰ *Tokowisko* – miejsce, gdzie odbywają się zbiorowe *toki* (gody) ptaków.

Szli tedy cicho z psami, skacząc po korzeniach i przełaząc przez omszone zwały; psy zrazu krążyły w różne strony, jakby naradzając się, wreszcie pomknęły prędko, przystając czasem na chwilę i oglądając się. Trwało długo, nim stanęły wyprężone w podszyciach lasu brzozowego. Więc myśliwi podchodzili, ostrożnie stąpając, by nie zaczepić o krzaki, nie nadeptać suchych liści i patyków, nie potrącać o pnie, korzenie. Słaby majowy wietrzyk wiał im w oczy. Dobrze. Podpełzli pod stanowisko psów, mając widok zza krzaków na małą polankę; ciemno, trochę mglisto, nic nie dojrzeć, nawet konturów brzoź okalających, słysząc tylko cichy czasem łopot i nic więcej. Oparli się o pnie brzozowe i czekali. Nowy łopot. Cóż się tam dzieje na polance? Ba, łopotanie powtarza się coraz częściej, słysząc je ze wszystkich stron, jakby z drzew sąsiednich zlatywały jakieś ptaki, wszystkie na ową polankę. Wreszcie poczynają dochodzić także inne odgłosy, jakby przytłumione, jakby gulgotanie, wreszcie jakby przeciągłe i ciągłe powtarzane „tszio-y”, a potem „rutturu, ruttu, ruiki-urr-urr-rutturu-ruttu-ruiki”, namiętne, gwałtowne, szybko powtarzane, spływające się w jakąś dziwną gamę gardlanego gruchotu.

Od razu poznali obaj myśliwi, że stoją przed zaczynającym się tokowiskiem cietrzewi.

Zaczęło powoli szarzeć, już można było rozróżnić kontury drzew. Łopotania i gruchotu coraz więcej, już rozróżnić można było ciemne zarysy ptaków, ogony lirowate, prostopadle rozwinięte, jak wachlarze, głowy i szyje do góry wyprężone, spuszczone loty, pierze nastroszone. Skaczą tu i tam, czasem wkoło, bijąc skrzydłami i kręcąc się szybko, jak frygi. Wreszcie tokowisko zmienia się w dziką, namiętą walkę. Pary rzucają się zajadle na siebie, skaczą prostopadle do góry, usiłując dziobać się i drapać; tu i ówdzie zwycięzca ciągnie zwyciężonego, dziobiąc, puszcza i znowu namiętny, triumfalny zawodzi taniec. Zgiełk, łopot, wrzawa, czyrykanie i turkotanie wytwarzają jakiś dziwny chaos. Pierze leci w górę. Gdy szalone tempo tokowiska i walki zwątleje

na małą chwilę, słyhać z ubocza miłosne kwokanie cieciorok, spokojnie żerujących za polanką. Więc wściekłe koguty wszczy-nają jeszcze gwałtowniejsze tany i boje, aż cała polana zakotłuje wrzawą i jednym skłębionym wirem.

Jerzy dał znak Frankowi, bo się już tak rozwidniało, że moż-na było rozróżnić czerwone róże nad oczyma kogutów. Huknęły dwa strzały, zerwała się wielka chmura czarnych ptaków, psy podskoczyły do dwóch, leżących na polanie bez życia.

— No — zawołał Franek — uciesz się paniusia, bo te zajadłe juchy smaczne mają mięso; a jakie ogoniaste, jakie lśniące zielo-ne na piersi pióra!

— Czym prędzej wracajmy — zawołał Jerzy — już nas pewno niecierpliwie wszyscy czekają.

Jakoż gdy wrócili, wszyscy już gotowi byli do dalszej drogi.

— Czemuście mnie nie wzięli? — skarżył się rozżalony Zygmus.

— Nie było czasu — uspokajał go Jerzy.

Rażno tedy oskubawszy i wypatroszywszy koguty, przytro-czyli je do wozu, aby skruszały, wzięli ranny posiłek i puścili się w dalszą drogę.

Dzień był pełen przygód. ledwo parę wiorst ujechali, gdy za-uważyli ze zdziwieniem jakiś niezwykły ruch, niepokój i wrzawę leśnego ptactwa.

— Coś się tam w powietrzu dzieje — mówił Franek — bo patrzcie, jak sroki, wrony i kruki wrzeszczą, kraczą, to ku nam podlatują, to przysiadają na gałęziach i znów z krakaniem krążą niespokojnie. Warto by podejść owo ku tamtej polance, skąd lepiej widać.

Rzeczywiście z polanki dojrzeli całe roje różnego ptactwa, nie tylko wron, kruków i srok, ale także gilów, barwnie upierzonych, makolągiew, zieb, sikorek, raszek, szczygłów, a wszystkie one kłębiły się w dziwnym rozdrażnieniu, krzyczały, krążyły, najgęściej skupiając się koło jakiegoś ciemnego ptaka, w którym z tłumu napastników ledwo poznać można było puchacza.

Znienawidzony przez ptactwo puszczy, wytrzeszczył ślepie, nastroszył pierze, skurczył się i prawie biernie poddawał ciosom nacierających, których pazury i dzioby wydierały mu pióra i do krwi raziły.

— Sprawdziły się moje przewidywania — zauważył doktor — puchał, przez całą noc krew żłopał, teraz słońce go wydało, a ptactwo dobije. Niósł wilk, ponieśli i wilka⁵¹. Ginie od tej samej broni, którą wojował.

— E, proszę jęgomości, każda leśna bestia tak wojuje, ale nie każda tak głupio ginie.

— Nie każda na cudzą krew tak łakoma.

— I to prawda.

Niedługo potem byli świadkami innej tragedii leśnej. Nad głowami ich załopotwały szerokie skrzydła i jak błyskawica spadł nagle sokół na gniazdo jakiegoś ptaka, może kosa, uczepione na konarze drzewa. Już szpony miał utopić w ciele ofiary, gdy wtem jakby go coś gwałtownie w bok odrzuciło: uczepił się jednym szponem u konaru, a drugi groźnie nadstawił w pogotowiu. Gdzie i co mu grozi?

— Patrzcie, patrzcie — zawołał Zygmunt, palcem pokazując sąsiedni konar.

Tam przykucnął na zadzie inny drapieżnik: kuna. Rudy grzbiet w łuk zgięty, płaska głowa na wyprężonej szyi lśni skośnymi oczkami, jak ostrzami szpad, dwa rzędy ostrych zębów wyszczerzone... nagle jak grot, rzuca się w pierś sokoła. Zachwiał się, załopotał skrzydłami, omal nie runął od silnego ciosu. Wnet odzyskawszy równowagę, gwałtownie wbija szpony w grzbiet kuny i unosi ją w górę. Skręciła się, jak żmija, pazurem i zębem wściekle szarpiąc unoszącego ją wroga. Zwarli się w jeden kłęb bezkształtny i razem bez życia po gałęziach spadli. Jak straszna, jak zaciekle była walka, można było poznać po ich poszarpanych i krwią zbroczonych ciałach.

⁵¹ Chodzi o przysłowie: „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka”.

— Cóż jegomość na to powie? — spytał Franek doktora.

— Jak świat, stara o byt walka.

— Niby jak z Polakiem Tatarzyn.

— Coś podobnego, tylko że Polak bronił swego gniazda, nigdy nie napadając po zbójecku na cudze.

Jechali dalej, czasem prędzej, gdzie miejsce było wolniejsze, częściej krok za krokiem, omijając gęstwiny lub olbrzymie omszone wykroty, sterczące korzeniskami w górę, jak potworne kraby. Niekiedy omijać musieli zapadłe, zachwaszczone i przepastne bagna.

Ale przed południem, szepnąwszy coś doktorowi, wydobył pomysłowy Franek sznur i blaszankę z fury, odczepił psy ze smyczy i oddalił się, ciągle spoglądając ku wierzchołkom drzew.

— Tylko żwawo — wołał doktor — gdyż po południu nie będziemy czekali.

— Skoczę na jednej nodze — zawołał Franek.

Psy, puszczone na wolność, jakby poszwały z radości, towarzysząc Frankowi w skokach i poszczekiwanii.

Tymczasem Zygmus, zląwszy z fury, zbierał borówki i poziomki, nie tylko do własnej buzi, ale także do łubianego mieszka.

Po zwykłym popołudniowym wypoczynku miano już jechać dalej, gdy szczekanie psów oznajmiło powrót Franka. Jakże się jednak przerażono, zobaczywszy twarz jego czerwoną i obrzmiałą tak, że trudno go było poznać.

— Obcałowały mnie godnie, szelmy; za to mam pełną blaszankę miodu. Byłbym cały rój zabrał. Cóż? Nie było w co. A siekły rozjątrzone, aż strach, takie gady!

— Któż na pszczoły idzie bez siatki i dymu?

— Najgorzej, że gniazdo miały bardzo wysoko, w dziurze sosny. Bez sznura byłbym spadł dziesięć razy.

— Ale Franek wyprzystojniał, no! — śmiała się Hania.

— Wzdy przystojnościm nie szukał, bom ją miał, miodum szukał⁵².

Śmiano się, ale miód wszystkim smakował. Odczuwano tylko z przykrością brak świeżej wody, której zapas się wyczerpał.

Tak bez przygód już jechano do nocy. Franek buzię w braku octu wysmarował jakimś tłuszczem i świecił, jak księżyc w pełni. Humoru jednak nie stracił; podśpiewując szedł krok w krok to za doktorem, rozglądając się za roślinami leśnymi, to za Zyg-musiem, zbierającym jagody.

Noc zapowiadała się pogodna i ciepła. Upieczony kogut był wyśmienity; przegryzano go chlebem; na wety⁵³ zaś uraczyli się wszyscy jagodami i miodem. Zaraz po wieczerzy zasnęli snem twardym, mocno już podróżą zmęczeni. Tylko mrukliwy Hryć czuwał przy ognisku, paląc lulkę i spluwając często, jakby pogardliwie.

⁵² *Wzdy przystojnościm nie szukał, bom ją miał, miodum szukał* – gw., reg.: Przecież nie szukałem przystojności (urody), bo ją mam, szukałem miodu.

⁵³ *Wety* – dawn.: słodkie potrawy, deser.



V
ŁOŚ – MODLITWA NAD TONIĄ –
WYWIADY I PLANY

W czwartym dniu podróży dojechano pod wieczór do długiego ługu, po którym sączył się leśny potok, a były ślady, że tędy szedł szlak handlowy ku północnemu wschodowi. Inny tu był charakter gruntu i lasu. Drzewa przy potoku rosły rzadziej: łożyna, olchy, na suchych miejscach całe laski białej brzozy, moc także leszczyn z zielonymi zawiązkami orzechów. Parę razy dostrzeżono z daleka pasące się sarny, które wnet pierzchły spłoszone, jak boginie leśne. W jednym miejscu kazał doktor taborowi cicho stanąć, zauważył bowiem szczególne zachowanie psów, wietrzących zwierzynę. Sam, podszedłszy z Frankiem kilka staj⁵⁴, zatrzymał się, bacznie śledząc odległe zarośla. Jakoż niebawem zauważono między szarymi gałęziami olszyny w odległości kilkuset kroków niewyraźny ruch, jakby poruszających się gałęzi, któremu towarzyszyło dziwne postękiwanie, po czym nagle silnie poruszyła się gałąź i wychylił z gęstwiny potworny, rosochaty łeb z długą, rozczochraną brodą. W tejże chwili łeb podnosi się w górę, prostują się łyżki, najeża grzywa, jak ogromna szczotka. Zwiertzył, grzebie silnie przednimi badyłami, zachrapał i pierzchnął, jak majak. Słychać tylko oddalony tętent i trzask łamanych gałęzi całego za przewodnikiem uciekającego stada łośi.

— Szkoda — mówił doktor — piękna to zwierzyna; gdybyśmy mieli wiatr ku sobie, wyszłoby całe stado.

⁵⁴ *Staj* – od *staj*, *staje*: dawna miara długości.

— Jeżeli jegomość zawsze chce tylko oglądać zwierzynę, nigdy nie polując, to nam szkoda drapać się do tych Toni! – zauważył Franek z goryczą.

— No, nie rozżalaj się, Franku. Podejdziemy jeszcze, gdy trzeba będzie, i łosia, i żubra, i odyńca, i niedźwiedzia.

— Bo i pewno! Psy aż ze skóry wyłazą, czując wszędzie świeże tropy, a my nic, jak baby.

— Cóż byśmy teraz robili z łosiem? Nawet skóry nie zabrać na wóz, suszyć mięso – brak czasu, zabić zaś, żeby rzucić, grzech.

— To prawda, tylko, widzi jegomość, łapy śwędzą.

— To je sobie potrzyj o korę drzewa.

Rażno już odtąd jechano równym i miękkim ługiem po trawie przez kilka dni, nie spotykając nigdzie ani żywej duszy ludzkiej, tylko zwierzyny wszędzie pełna była puszcza. Dotarli wreszcie do większego potoku, płynącego przez szerokie moczary i bagna ku wschodniej stronie jeziora. Tu, jak zapewniał Jerzy, tyle było topielisk i młaków⁵⁵, tyle oparzeliska, wykrotów i zwałów, że nic innego nie pozostawało, tylko skierować fury ku północnemu zachodowi, gdzie grunt był wzniesiony i suchszy. Przeszywali się tedy przez bujnie pokrytą puszcę drzew liściastych, tak miejscami gęstą, że po całych dniach nie rozstawali się z siekierami, mozolnie torując sobie drogę. Ciężka to była i żmudna podróż. Pomęczyli się ludzie do cna, krowy potraciły mleko, koniki ledwo nogami włożyły.

Wreszcie któregoś poranku z radością spostrzeżono smugi jasnej przestrzeni, prześwietlające coraz więcej zza konarów i liści; gdy podjechali dalej, wychyliła się szeroka na całe mile, jak kryształ jasna toń jeziora w dalekim widnokregu ze wszystkich stron okolona czarną ścianą puszczy. Rozradowali się, jakby na widok obiecanej ziemi, olśnieni błękitem wód i blaskami słońca, którego pełni przez czas podróży byli pozbawieni.

⁵⁵ *Młaków* – od *młaka* – obszar zatorfiony; zabagniona łąka.

— Słońce! Jezioro! — wołał z zachwytem szczęśliwy Zygmus.

— Właśnie, dziś niedziela — mówiła Hania — z czego dobra dla nas wróżba na przyszłość. Może by modlitwą uczcić dzień Bogu poświęcony i pierwsze nasze przybycie na nową siedzibę?

— I owszem, i owszem, Hanuś! Dobra myśl i rozsądna — zawołał doktor — kto zaczyna z Bogiem, dobrze kończy.

Stanęli z odkrytymi głowami, słuchając modlitwy, którą Hania nabożnie odmawiała z Zygmusiem, klęcząc. Po modlitwie zaś, wyjąwszy biblię Wujka, odczytała ustęp przypadkiem rozarty w Ewangelii św. Łukasza XI 9-13:

„I ja wam powiadam: Proście, a będzie wam dano; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzone. Albowiem każdy, który prosi, bierze; a który szuka, znajduje; a kołaczącemu będzie otworzone. – A któryż z was ojca prosi o chleb, izali⁵⁶ mu da kamień? Albo rybę, izali miał ryby, poda mu węża? Albo jeśliby prosił o jaja: izali mu poda niedźwiadka? – Jeżeli tedy wy, będąc złymi, umiecie dawać dobre datki dzieciom waszym: jakoż daleko więcej ojciec wasz z nieba da *ducha dobrego* tym, którzy go proszą?”.

— Zauważcie – mówił doktor — że w tym cudownie pięknym ustępie Ewangelii jest mowa o datku ducha dobrego, a to jest zaprawdę wszystko, co najlepszego być może i o co człowiek jedynie prosić powinien.

Teraz zaś trzeba nam odszukać owe smolarnie i domy z szopą, zanim nadal coś postanowimy.

— Ależ to pałace — śmiała się Hanka.

Po obejrzeniu zgodnie uznano, że baniaste smolarnie nie zdadzą się nawet na tymczasowy postój dla krów i koni. Również inne budowle wydały się wszystkim opłakaną ruderą. Jeden Franek począł je przesadnie wychwalać.

⁵⁶ *Izali* – dawn.: czy.

— Rudera, nie rudera — wołał. — Prawda, wiatry i burze zniosły część dachu, lecz wiązanie tu i tam zostało. Podwaliny na podmurówce zdrowe są i mocne. Jakieś licho porozwalało drzwi i dyle w ścianach, spadło także oszalowanie sufitów. Nic to! Dębowe bale i słupy stoją twardo. Widzę, że dom mieszkalny budował cieśla, nie żaden fuszer. Gorzej z drugą połową na stajnie i szopy. Nic to! Za jaki miesiąc grzeczej pracy, z tej rudery wystrugamy sobie na zimę siedzibę, jak cacko. A samo położenie budynków jakże się wydaje jegomości?

— Widzi mi się wcale niezłe. Front ku słońcu, tyły od wicherów zakryte drzewami, widok na jezioro, miejsce suche, blisko źródeł wody... Wcale, wcale niezłe.

— Gdyby był ganek jeszcze... — dodała Hania.

— Fraszka ganek — mówił Jerzy — pilniejsze piece, piwnica, ostrokoły⁵⁷...

— No, naradzimy się jeszcze, jak te pałace odbudować — zawołał doktor. — Tymczasem pójdę z Jerzym obejrzeć najbliższą okolicę, a wy tu zajmijcie się posiłkiem i noclegiem. Zdrożeni jesteście strasznie i co rychlej nam trzeba posilić się i wyspać.

Po odejściu doktora z Jerzym, zabrała się reszta do żwawej pracy. Krowy i konie poszły na trawę, wozy wtocono do szopy, gdzie dach się dochował. Nazbierano potem łomaków na ognisko, a suchych liści i szuwaru na podściółkę.

Pod wieczór, wróciwszy z wycieczki z cyranką i wodną koszką, opowiadał doktor przy wieczerzy:

— Ziemia po tej stronie jeziora tak rodzajna, że po wykarczowaniu można będzie zasiać nawet pszenicę i zasadzić cebulę. Dalej w dwóch miejscach widzieliśmy przednią glinę na cegły, może i na garnki. Wyżej zaś, gdzie sterczą pagórki, jest wapień, jest przy brzegu suchy piasek, znalazłyby się także gipsy i kreda.

⁵⁷ *Ostrokoły* – od *ostrokół*, dawn.: ogrodzenie z drewnianych pali, palisada.

Po prawej tylko stronie, gdzie między szuwarami upolowaliśmy kaczora i kokoszkę, grunta są torfiaste, mokre i kwaśne, do uprawy na nic. Nawet łąki tam zgoła złe: same turzyce, sity, sitniki, skrzypy, jaskry, firletki, storczyki, stokrocie, osty, ostromlecze, kaczyńce, wodne mięty, niezapominajki, podbiały, szczawie — a to wszystko podłe gatunki łąkowe, dla bydła nieprzydatne. Widziałem nawet wilka łąkowego.

— Jegomość jednak z zachwytem całe katalogi nazw teraz wylicza, jakby skarby odkrył.

— Ty, Franku, nie znasz się na tym. Mówiłem: dla bydła tylko na pokarm nieprzydatne. Ale żadnej nie masz rośliny bez wartości. Uradziliśmy z Jerzym cały nasz wysiłek skierować ku wykarczowaniu lasu i zarośli po lewej ręce o parę stąd stajań, gdzie też są dawne ślady wycinania i dużo pieńków. Po zbiór siana trzeba nam pójść znacznie dalej w lewo aż ku ruczajowi, nad którego brzegiem przednie widziałem trawy: wyczyniec, kostrzewę, owsik, tymotkę, sporo manny, konicze⁵⁸ czerwone i żółte, lucernę, wykę, groszki, żyłęńce, pietruszkę, sporek, kminki i babkę.

Roboty mamy, jak widzicie, moc, nie wiadomo, od czego zacząć, wszystko pilne, wszystko trzeba zrobić przed zimą. A to zważcie, że do takiego dzieła nie tylko rąk, znajomości i ochoty trzeba, czego nam nie brak, ale także roztropnie obmyślanego planu, karności i ładu, aby wszystko było skończone, bez niepotrzebnej utraty materiału, czasu i siły. Napatrzyłem się porządnej pracy ludzi w północnej Ameryce i sumiennie powiedzieć muszę, że trzeba nam brać ich za wzór sobie, bo tam aż kipi rozumna i energiczna praca; u nas zaś nawykli pono poczciwi ludziska marudzić, przerywać, bałagulić, żmudzić, przerabiać, naprawiać, spóźniać się, wypoczywać, narzekać, ogłądać się jeden na drugiego, rąk szczędzić, głową nie nadrabiać, spory i niepotrzebne dysputy prowadzić bez końca – słowem próżnować.

⁵⁸ Konicze – od *konicz*, dawn.: koniczyna.

Jak tedy myślicie, jaki porządek naszej pracy ustanowić i jak ją rozdzielić?

Po naradach zgodzono się, aby jeszcze, póki czas, pozasiewać i rozsadzić niektóre nasiona, mogące na jesień wydać plony. Do tego zaś należało wszystkim bez zwłoki, odłożywszy inne roboty, zabrać się do wykarczowania i zaorania potrzebnego szmatu roli. Franek miał co dzień przed świtem wybiegać na krótkie polowania z psami; Zygmuśowi poruczono⁵⁹ pasać konie i krowy, zbierać jagody, nie broniąc łowienia ryb w jeziorze; na głowie Hani została piecza nad dziennym posiłkiem, nad domowym gospodarstwem, nad noclegami i nabiałem.

Przed spoczynkiem odezwał się jeszcze Jerzy w te słowa:

— Wprawdzie królewszczyzna jest dla ojca i dla mnie. Ale my tam tej ziemi nie zjemy, zwłaszcza, że szmat jest okrutny, 3.000 morgów lasu, które samym sobie wybrać i wytyczyć wolno. Każdy pragnie mieć własne gniazdo, na którym pracować mu najmilej. Bez tego szczęśliwym, ani do pracy chętnym być nie może. Więc Franek i Hryć po dwuletniej poczciwej razem z nami pracy i pomaganiu wytyczą sobie na własność z tej królewskiej grunta, gdzie, jeżeli zechcą, i dom sobie zbudują i las wytrzebią, my zaś w miarę własnej do tego czasu zamożności pomożemy im do tego zagospodarowania się, jak oni nam teraz dopomagać będą.

Tak zakończono ów pierwszy dzień nad Dolną Tonią. A ponieważ zachmurzyło się po zachodzie słońca i deszcz zaczął padać, przeto konie i krowy zaprowadzono do rudery pod dach, gdzie dano im na noc naprędce naciętej trawy. Po tym ułożono się w chacie do nocnego spoczynku.

Marna była pościel; wiatr hulał przez szpary i deszcz zaciął; ale zdrożeni, zmęczeni, do niewygód nawykli i zdrowi, zasnęli snem kamiennym, zwłaszcza, że kocami z wełny szczelnie byli owinięci.

⁵⁹ Ponuczono – od poruczyć: powierzyć.

VI
KARCZUNEK – O POZIOMCE – RYBAK I RYBA –
ŻYCIE OWADÓW W JEZIORZE – PIERWSZY SIEW –
OBFITY PLON ŁOWÓW

Zerwali się skoro świt nazajutrz, słodkim snem wypoczęci. Franek czym prędzej z psami i strzelbą pogonił ku moczarom wschodniego brzegu jeziora, ciesząc się widokiem szpar i oczu błękitu między powęlnionymi obłokami. Doktor z Jerzym i Hryciem, pośniadawszy, wzięli siekiery, rydło, motyki, piły i poszli na karczunek. Zygmusł dla krów i koni niedaleko szukał pastwiska, a Hania, jak pracowita mrówka, krzątała się około szopy i domu, by czym prędzej wygodniejsze urządzić siedlisko.

Nie upłynęła godzina, już Franek był z powrotem, niosąc trzy piękne kaczory z głowami lśniąc zielonymi i białymi na szyjach obwódkami. Zaczem⁶⁰ podśpiewując, z rydłem i siekierą szedł do karczunku. Tu na dobre już wrzała praca. Wykopywano ogromne pnie z korzeniami, trzebiono krze⁶¹, podpiłowywano drzewa. Co przydatne było czy na opał, czy na budulec, oczyszczano z gałęzi. Gęsty dym buchał z kilkunastu korzeniastych, żywicznych pieńków, podpalonych dla przyśpieszenia pracy.

— Szkoda — mówił doktor — smolne, zdałyby się na łuczywo. Cóż? Pora na zasiew późna, praca pilna. Musimy palić; ta zostanie korzyść, że popioły użyźnią ziemię. — Hej, chłopcy, nie marnować sił! Podeprzesz drągiem, lżej i prędzej pójdzie. W prawo, nie w lewo! Potoczy się własnym ciężarem. Dobrze!

⁶⁰ *Zaczem* – dawn.: *zatem*.

⁶¹ *Krze* – od *kierz*, dawn.: *krzak*.

Nie tak nagle! Równiej, wolniej, nogi rozstaw, a oddychaj spokojnie. Kto z rana zaczyna galopem, pod wieczór lezie rakiem. Najlepiej w takt. Raz, dwa, trzy! W skos, za włóknem rąb, nie w poprzek. Unikaj sęka! Dobrze! Raz, dwa, trzy! Jak w marszu, lżej chodzić przy bębnie. Franek, podśpiewuj! Dobry humor – połowa pracy. Kto przy pracy jęczy, podwójnie się poci. Hola, odsapnąć! Prawda, jak zdrowo krew krąży i do jądła wzbiera ochota? Nie masz nic tak dobrego, jako święta na roli lub w lesie robota: zdrowie krzepi, apetyt wzmacnia, wesołość, sen twardy daje, a do tańczenia nogi podrywa. Czy raz widywałem, jak żniwiarze po całodziennym znoju tańczyć w dożynki do rana mieli ochotę, a tańczyli nie tak, jak owe po salonach rozlaźle i do pasa obnażone damy, lecz aż skry sypiąc w mazurze od przytupywania i hołubców?

— Brawo, Hanuś, dobrze Zygmysiu, pewno nam obiad niesiecie! Czym prędzej dawajcie! Widzicie, jaki chlasnęliśmy szmat roli? Za trzy dni orać i siać będziemy.

— Jedzcie, niech na zdrowie służy wam. Prawda, dużoście wytrzebili.

— Łatwiej poszło, bo tu przed laty smolarze już wycinali. Po południu użyjemy krów i koników, aby kłocze i pniaki wywlec.

Obiad, w cynowych przyniesiony naczyniach, dobry był i suty. Na pierwsze danie zupa z leśnego szczawiu, mlekiem zabielała i zasypana jęczmienną kaszką. Czerpali ją ze wspólnej misy drewnianymi łyżkami, z wolna i równo, po kolei, chwając sobie bardzo, aż wyczerpali do dna.

— Nie masz — mówił doktor — jak drewniane łyżki, gładko wytoczone z bukszpanu lub lipiny; tylko każdy własną naznaczyć powinien.

Na drugie danie dostał każdy po pół kaczki; starannie i równo upieczone na rożnie, w miarę posolone, smaczne były i tłuste. Każdy część swoją ogryzał, trzymając w rękę i pomagając sobie nożykiem.

- Zdałby się chleb do kaczek — zauważył Jerzy.
- Pewno — odezwała się Hania — ale sam wiesz, że mąki mało mamy, a ziarno zachować trzeba na jesienny zasiew.
- Na trzecie wreszcie danie podano każdemu sporą porcję świętuch, soczystych, wonnych poziomek.
- Cóż to za znakomite jagody — zachwycali się wszyscy.
- Ale doktor, trzymając w palcach poziomkę, zwrócił się do Zygmunta zapytaniem:
- Jak myślisz, ile owoców trzymam w palcach?
- No, przecież jedną jagodę.
- Jagody żadnej, mój drogi, poziomka nie jest jagodą.
- To jeden owoc.
- Bardzo pomyliłeś się, przeszło setkę.
- Nie rozumiem.
- Patrz, ile na wierzchu poziomki jest tych drobniutkich, stwardniałych kruszynek, tyle na niej owoców.
- To z każdej może wyrastać w ziemi nowa roślina poziomkowa?
- Nie inaczej, o ile te drobne owoce dojrzeją i rozsypią się, do czego poziomka i podobnym jej roślinom, jak głóg, szypszyna, jeżyna i inne, pomagają różne zwierzęta, które żarłocznie je zjadają, ale bardzo drobniutkich i twardych owoców nie mogą strawić.
- Powinny tedy bardzo prędko rozmnażać się.
- Tak też bywa, choć mnóstwo owoców ginie. Poziomka zaś rozmnaża się nie tylko z owoców, ale także przez wici, czyli pędy, wyrastające z listków tuż ponad korzonkami, z tych to pędów wyrastają nowe krzaczki.
- E, gdyby tak każdy zaraz rozbierał wszystko, co zjada, jak jegomość, to by się i jeść odechciało — żartował Franek.
- Na rozbieraniu zasadza się każda nauka. Znałem uczonych, którzy woleli badać owoce niż zjadać.
- Tacy chyba duchem Bożym żyją.

— Są szczęśliwi, mając dla ciała mało potrzeb, a duch swój ustawicznie karmiąc. Ale i my dziś podjedliśmy sobie godnie, więc możemy iść do dalszej pracy.

— Ja bym poszedł ryby łowić, gdyby ktoś na konie i krowy baczył — mówił Zygmus.

— I owszem — odrzekł Jerzy — krowy i konie tu przypędź, będą nam potrzebne. Byles na wieczerzę wieloryba złowić.

Zygmus tedy wyciął sobie wędzisko długie, równe, twarde i sprężyste; wygładził je starannie, przywiązał długi włosień z doczepionym na końcu haczykiem, dodał pławik z kory i miał gotową wędkę. Nazbierać dżdżownic przyszło mu łatwo. Ale najgorszą miał biedę z ich nasadzaniem; operacja ta przejmowała go tak wielkim wstrętem, że nie mógł się na nią zdecydować. Dopomógł mu wtedy Franek, który bez odrazy i mdłości zwijające się w palcach glisty wbijał na haczyki. Lecz połów nie udawał się Zygmuśowi. Mądre ryby obgryzały robaka, ani myśląc połykać go z haczykiem. Krążył po brzegu, zarzucał w różnych miejscach i nic. Miał już dać za wygraną, gdy wtem pławik, gwałtownie szarpnięty, poszedł w wodę; dreszcz wstrząsnął rybakiem; podciągnął, omal z rąk mu wędki nie wyrwało... Trzymał oburącz i krzyczał, po kolana wciągnięty do jeziora... Wreszcie włosień pękł, ryba uciekła, rybak zaś z wędziskiem stał, otworzywszy usta ze zdumienia. I złość go brała, i płakać się chciało, i wstyd dręczył.

Przy wieczerzy żartowano. Może rzeczywiście był wieloryb. Dobrze, że nie połknął rybaka. Ba, rybołówstwo niebezpieczne. Łatwiej łowić komary.

— Żmudny to sposób rybołówstwa — mówił doktor — wymaga cierpliwości i niezrażania się byle niepowodzeniem; przede wszystkim zaś trzeba, żeby rybak był chytrzejszy od ryby, co nie zawsze się zdarza.

Zygmus nic na owe żarty nie odpowiadał. Uprosił tylko ojca, by krowy i konie nazajutrz zabrał na karczowisko. Skoro świt,

gdy wszyscy rozeszli się do zajęć, był już nad jeziorem i kilka godzin tam przepędził.

Jakich użył sposobów, nie wiadomo, dość że przy obiedzie, gdy na drugie danie matka podała okazałe trzy karpie, przyjęte okrzykiem zdumienia, odezwał się skromnie:

— A co, kto chytrzejszy, rybak, czy ryba?

— Dziś rybak ani słowa. Ale wczorajsza ryba żartuje sobie w jeziorze z rybaka.

— Nie do żartów jej z haczykiem w pysku. Gdyby nie to wstrętne nabijanie glist na haczyki i patrzanie, jak się skręcają w męce...

— Nie dziw, że ci przykre; ja bym tego nigdy nie czynił.

— I ja też nie będę.

— Użyj kawałków mięsa zamiast glisty. Zresztą, mój Zygmusiu, zabijanie zwierząt jest w ogóle okrucieństwem. Cóż dopiero powiedzieć o zabijaniu bez koniecznej potrzeby, dla zabawy, sposobami, które sprawiają zwierzętom najdotkliwsze katusze. Wbijanie glisty na haczyk jest straszliwą dla niej torturą. Pomyśl, w jakich mękach ta czująca istota musi konać.

Od świtu do nocy, z krótkim tylko w południe wypoczynkiem, przez kilka dni z rzędu pracowali, nim udało się wreszcie wytrzebić szmat roli, wystarczający do najpilniejszych zasiewów. A była to praca rzeczywiście w pocie czoła, gdyż strugami potu zlewało się im po całych dniach nie tylko czoło, ale całe ciało. Ręce i nogi omdlewały, oddech zapierało, a po każdym nocnym wypoczynku, zanim zimną kąpielą i dalszą pracą nie skrzepili mięśni i kości, bóle sprawiały taką mękę, że trudno wytrzymać było. Pomimo to wytrzymali i dobrze na tym wyszli; bo wreszcie mięśnie ich skrzepły, jako stal; apetytu i kamiennego snu zażywali z największą rozkoszą, a na ostatku już wszelkie wysiłki podejmowali lekko, wesoło, bez męki, ze śpiewaniem. Nawet Hryć, leniwszy z natury i bardziej ociężały, patrząc na przykład pracy doktora, Jerzego i Franka, rzadziej pokładał się do wypoczynku,

żwawiej rąbał, kopał, dźwigał i stękał, tylko równie często, jak dawniej, pluł i pomrukiwał sobie pod wąsem. Milczał zresztą, jak zakłęty; a gdy go Franek wciągał do rozmowy, przekomarzając się lub strojąc różne figle i żarty, spluwał ze złością, mrużąc:

— Przekłęty Mazur. Hadko słuchać⁶². Jak but, dumny.

W tym samym czasie wokoło smolarni, domu i szopy można było podziwiać liczne powody mniej ciężkiej, lecz zapobiegliwej i cierpliwej pracy Hani; pod dachem już leżały sienniki, wypchane suchutką trawą, mchem i liściem; na słońcu suszyły się szerokie warstwy borówek; pod smolarnią okazała kopica suchej paszy dla krów i koni, obok druga – podściółki; w szopie stos porąbanego drzewa i łuczywa.

Zygmus, o ile krowy i konie można było zostawić pod innym dozorem, o ile nie pomagał matce, nie zbierał jagód, ani ryb nie łowił, bujał swobodnie po lesie lub brzegach jeziora.

Najchętniej zaś przesiadywał między szuwarami, trzcunami i tatarakiem: tam się przysłuchiwał ożywionej, różnogłośnej wrzawie i bujnemu kotłowisku błotnych ptaków i owadów.

Nie tylko o wschodzie i zachodzie słońca, ale przez cały dzień boży z różnych stron moczarów i bagien rozlegał się dziwny, urywany krzyk, jak skrobnięcie patyka po grzebieniu albo przecięcie powietrza biczem, krótkie: wuitt! wuitt!

— Znam cię — myślał Zygmus — derkaczu, inaczej chruscielu, choć nie mogłem dotychczas wysledzić twego gniazda, w trzcinach nad wodą ukrytego. Umiesz ty szybko mknąć między źdźbłami za owadem, umiesz cichym lotem nietoperza po mykać między krzewami nie gorzej od błotnej kurki, po nocnym polowaniu przez dzień śpiącej.

Cichutko podpełzał potem Zygmus nad dużą trzcunami okoloną zatokę jeziora, gdzie roiło się od stad dzikich kaczek. Już troskliwe starki wywiodły na wodę swoje podloty, a kaczory, o rodziny nie

⁶² *Hadko słuchać* – wstyd słuchać; *hadki* – wstrętny, obrzydliwy.

dbając, zerowały na własny rachunek. Jakie masy tego drobiazgu! Jak każde stadko w lot skupia się na głos starki! Jak to nurkuje, zwiija się, krzyczy, podlatuje, żre i żre bez przerwy, nigdy nie nasycone! Jak cieszą się życiem, choć ze wszystkich stron czyhają wrogowie: z góry sokół, jastrząb, krogulec, orzeł, a z wody wydra, chytry lis, wcale zręczny pływak, lub żarłoczny zbój, stary szczupak.

Lecz starka tyle ma doświadczenia i troskliwości, że można na jej opiece polegać. Przed szponami orła podlecą za panią matką w górę i tak długo latać będą z krzykiem, aż się sprzykrzy czekać dumnemu królowi ptaków, który nie chwytą łupu w locie. Przeciwnie! Przed sokołem zawsze w locie polującym, skupią się na wodzie przy matce i poczną nurkować. Najtrudniej schronić się przed jastrzębiem, tym krwiożerczym, dzikim zbojem: jedyny ratunek zbić się w ciasną gromadę i łopotaniem skrzydeł zrobić gęstą chmurę z bryzgów, by zbój nie ważył się zbliżyć.

W innym znów, wyżej nieco wzniesionym i suchszym miejscu, wytropił Zygmunt stado żurawi, cały dzień poważnie, wytwornie, zgrabnie bawiących się i tańczących na długich nogach.

— Te, doprawdy — myślał — ani sieją, ani żną, tylko cały dzień się bawią. Zabezpieczywszy się czatami, nie boją się wrogów. Z jakim wdziękiem i godnością stąpają miarowo krokiem, tanecznie podskakując! Jakie miny stroją, jakie przybierają pozy! Jak zgrabnie wyginają szyje i poruszają skrzydłami! Jak pięknie koła zakreślają w locie! Nie, doprawdy! Porywa kamyk z ziemi, rzuca go podlatując i z powrotem chwytą w powietrzu! Nie do uwierzenia!

Nie wiedział, za czym się rozglądać, tyle tu było różnego ptactwa. Pospolite jaskółki nadbrzeżne śmigły jedna za drugą za owadami. Zgrabne pliszki, ciągle jedną, monotonną pieśń zawodzące, mniej go zaciekawiały, niż błękitny zimorodek, poważnie, cicho stojący na gałązce i czyhający na rybę. Dziwił się, że ani dzikich gęsi nie widać było, ani czapli, zapewne śpiących po nocnym polowaniu.

Teraz brzuchem na suchym, nadbrzeżnym piasku się położy, wlepi wzrok w wodę i przypatrzy życiu tego świata, którego kolebką i grobem woda. Dziadunio tyle razy mu opowiadał o jego dziwach.

— Pamiętam — rozmyślał — ów drobniutki, a tak szybko między rzęsami i białym, jak alabaster, lub złocistym kwiatem grzybienią mknący po wodzie punkcik – to poczwarka komara. Krętaki kręcą się bystro w tysiącach kótek, jak szalone. Na ogromnie długich nóżkach zwinnie ślizgają się i tańczą czarne, cieniutkie, podobne do komarów nartniki, z którymi w szybkości współzawodniczy szaro-żółty pluskolec! Ten, na wznak leżąc, wiosłuje parą tylnych, długich, włoskowatych nówek, goniąc jakąś muszkę; już jej dopadł, już żarłocznie pożarł; oto przywarł teraz do małej płotki, z której krew wysysa. Tam czarna kałużnica wydobyła się z ciemnej dna toni na światło, jakby odsapnąć pragnęła po trudach roślinnej uczyty; wnet jednak trwożnie na dno umyka; ba, pierzchając także w nagłym popłochu krętaki, muszki, komary, jętki, nartniki i inne drobiazgi; ujrzały widno tę dużą poczwagę, jak wąż, poruszając zielonawe pierścienie ciała o potężnej głowie i mocnych szczękach – zbójceją larwę pływaka, która już wyciągnąwszy szczęki porwać miała larwę kałużnicy. Cóż to się stało? Skąd ten mętny płyn? Ach, kałużnica go wyrzuciła z odwłoka w obronie zagrożonego życia i uciekła. Larwa pływaka, doznawszy sromotnej porażki, chroni się czym prędzej przed groźniejszymi jeszcze szczękami larwy ważki.

Tylko żaba, łypiąc ślepiami, rozleniwiona dosytem, grzeje się spokojnie na nadbrzeżnym piasku w słońcu, czasem zaskrzeczy, jak brzuchomówca, lecz czujnie śledzi, czy gdzie w pobliżu nie ma bociana.

W kąpieli światła, w wilgotnych oparach między brunatnymi pałkami trzciny, nad sitowiskiem, nad grzybieniami, nad tatarakami pływają roje lazurowych i szmaragdowych świtezianek, złocistych ważek i jętek jednodniówek: wszystko to, jak mówił dziadus, kipi krótkim życiem, karmi się, tańczy, rozmnaża i rychno ginie, ale teraz brzmi w powietrzu muzyką szmerów, aksa-

mitnych szelestów, melodyjnego brzęczenia, miłosnego szeptania, namiętnego lub bolesnego rozgwaru.

A na dnie samym, jak patyczki, bezpieczne w ochronnym, twardym futerale, leżą larwy chruścików, czasem tylko wystawiające główkę lub łapki.

A między liliami wodnymi niezdatnym ruchem przędzie sieci formy wywróconego dzwonu pająk-topnik; raz po raz wydobywa się, chwytając bańki powietrza i zanosząc je skrętnie do podwodnego mieszkania, aby tam na łup czyhając, miał czym oddychać.

A na suchych łodygach trzciny, na patyczkach, w piasku, wszędzie uśpione dojrzewają kokony poczwarek, czekając na chwilę wylotu w życie i słońce.

A na wodzie, pod wodą, na łodyżkach babki wodnej, na krągłych liściach nenufarów bieleją suche, lekkie, próżne ich koszulki ze szparkami, przez które owad wyleciał. Bieleją, zanim w proch się nie rozsypią lub nie staną łupem mrówek.

— Więc takie życie to — myślał Zygmunt — dobrze mówił dziaduś: krótka chwila szał. Cóż bym zobaczył, co usłyszał, gdybym od ducha puszczy zaczarowany mógł zmienić się w pająka albo mrówkę. Prawdę mówiła mama: wszędzie, wszystko – cud Boży!

W głębi puszczy przyswoił sobie Zygmunt na własność różne rewiry i co dzień zwiedzał je dla zbadania, czy nie zaszły zmiany. Tam, gdzie sterczy między zwałami grubych drzew ogromne, jak stożek siana, mrowisko, jest mrówek dziedzina. Wiedział, któredy przez komysze, szczeliny leśne, omszone doły przedzierać się do trzech dziupli, w których gnieźdzą się pszczoły. Ogromne po pas krzewy borówkowe w różnych miejscach rosły, lecz jagody nigdzie tak dojrzałe i wielkie, jak za strumieniem w obszarze, który sobie nazwał borówniakiem. Inne rejony leśne ponazywał: leszczyniskiem, poziomkarnią, malinówką, orzyniakiem, topielą, wilczymi dołami.

Na jeziorze w dość znacznej odległości od brzegu widać było wyspę; dochodziły z niej odgłosy rojnego i gwarne życie pta-

ków. Cóżby dał za to, żeby tam cichutko dostać się; marzył o tym i dręczył Franka o czółno.

— Zrobię, ale później — mówił Franek — teraz nie mam czasu.

Tymczasem szmat roli wspólnym wysiłkiem pracy nie tylko był wykarczowany, wyrównany, oczyszczony z gałęzi i wiórów, ale starannie zaorany i zupełnie do zasiewu gotowy. Zasiać miano w sobotę rano owies, jęczmień, proso, zasadzić przywiezione rozsady jarzyn, nadto groch, tyczkową fasolę, nieco lnu, konopi i rzepy.

— Kupiłem także — mówił doktor — u Żydów przed wyjazdem parę garnców bulw, zwanych ziemniakami; jadalna bulwa wyrasta w ziemi, łądygi zaś i zielonkawego owocu nie jada się wcale.

— Słyszałem o tych zamorskich bulwach, z których u nas śmieją się ludzie, że państwo teraz kucharzom gotować je każe, jak jaki rarytas. Ale podobno paskudztwo.

— Mylisz się, Franku, nie paskudztwo to żadne. Jadłem je we Francji, posilne są i smaczne, ze słoniną zwłaszcza lub masłem. Mniej by ludzie przymierali z głodu, gdyby zapobiegliwsi byli i w każdej rzeczy szukali pożytku.

— Więc jakże wyrosną, gdyby jegomość nie nasiona, lecz bulw kupił?

— A jak wyrasta tatarak, lilia lub cebula? Wsadzi się do ziemi bulwę, z której roślina wyrośnie, puści w ziemi korzenie i nowych bulw namnoży.

— No, jegomość lubi nowości; zobaczymy, jaki wyrośnie pożytek z owych bulw modnych.

Skoro świt w sobotę cała rodzina kolonistów z końmi, krowami i psami znalazła się na świeżo zoranej roli.

Sianie i sadzenie odbywało się uroczyście, jak religijny obrządek. Bo też nad wyraz rozkosznie siać i sadzić na tłustej roli w pogodny poranek, kiedy rzęsy ożywczego słońca wypijają ostatnie krople rosy z drzew, traw i krzewów, kiedy ptactwo przyśpiewuje ludzkiej pracy, a płodna matka przyroda przyrzeka stokrot-

nie rozmnożyć sypane w jej łono ziarna. Czujesz wówczas, że nie na marne wyęźżałeś ramiona i wstępuje do duszy najdroższy, najukochańszy gość – wesele. Tym radośniejsze ono, gdy pracy siania i siania oddaje się zgodna gromadka, jednym losem, jedną myślą, jedną złotą przyjaźni nicią powiązana.

Do południa pokończyli.

— Niechże pochwalony będzie Bóg i pobłogosławi plonom na pożytek! — zawołał doktor, obcierając spocone czoło. — Teraz wracajmy, bo głodno i kości bołą. Czy tylko znajdziesz, Haniuś, posiłek dla nas ?

Jakoż, gdy wrócili, dała Haniuś z zapasów suty obiad: misę kwaśnego mleka z tłustą warstwą śmietany na wierzchu, bochen razowego chleba, smaczny, choć już dobrze suchy; po kawale kaczora na zimno, przechowanego od wczoraj; wreszcie dużą porcję poziomek i borówek na wety.

Każde nowe danie witano okrzykami zachwytu.

— Muszę wam jednak powiedzieć — odezwała się gospośia — że zaraz złożę obowiązki gospodyni, jeżeli nie przyrzekniecie zająć się domowym gospodarstwem. Bo jakże? Statków brak, piwnicy brak, komin rozwalony, wiatry po domu hulają... Mamy żyć jak Cyganie?

— Prawda, tak dalej nie można. Zajmiemy się oporządzeniem domu, stajni i szopy. Zaraz dziś po wypoczynku wyruszmy na walne łowy, aby zaopatrzyć pustą spiżarnię: Franek pójdzie ku sitowiskom z Chanem, my zaś trzej z Bejem w przeciwną stronę puszczy.

— Ja z Frankiem — począł wpraszać się Zygmus — na co Jerzy i doktor zgodzili się chętnie.

Po wypoczynku rozeszli się, jak było umówione. Na odchodnym wziął Franek sporą kobiałkę, uplecioną z brzoźowego łyka, worek i długą linę.

— Najpierw — mówił — ściągniemy daninę od owych pszczoł, o których opowiadałeś; potem zobaczymy, czy w więcierzach nie złapały się ryby; wreszcie upolujemy, co się trafi.

— Jak to? Nastawiłeś wędzarnie? Kiedy? Czemuś mi nic nie mówił? Skąd je wzięłeś?

— Nie chciały zrobić się same, więc je musiałem trzy dni temu raniutko wyplatać z łożyny i zaraz nastawiłem. Nie gadałem zaś nic, aby za mnie gadały ryby. Chodźmy.

Zaprowadził tedy Zygmunt Franka najpierw pod sosnę, w której gnieździły się pszczoły. Drzewo to stare było, wysokie, gładkie, a gniazdo pszczół w znacznej wysokości. Musieli kilkakrotnie zarzucać linę z doczepionym na końcu ciężarkiem, zanim udało się przerzucić ją o mocny konar.

— Dobrze, teraz rozpalmy ognisko, byle nie podpalić lasu.

W mig nabierane łomaki buchnęły płomieniem. Franek grubszy kawał suchej gałęzi zwęglił, dla ochrony przed pszczołami twarz i szyję owinął chustą, z kobielą w ręku zwinnie wdrapał się po linie na konar sosny. Tam kobiel przytrzymał linę umocował i sam do niej się przywiązał.

— Przyczep mi żagiew do liny — zawołał — byle nie rozszarżonym końcem.

— Jakiś ty niemądry! — śmiał się Zygmunt — no ciągnij.

Wnet Franek miał w ręku żagiew, silnie dymiącą. Rychło teraz dostał się do otworu i zaczął podkurzać. Niemal całe rojowisko opróżniło gniazdo, gniewnie brzęcząc. Franek zaś, zagłębiwszy ramię w dziupło, dogadywał:

— Widzicie, mądrule, pełna u was dziura miodu, a dla nas nic? Powoli, nie gniewajcie się, zostawię i dla was, zanim do nas wszystkich na pańszczyznę nie przeniosę; ul wam dam wygodny, czysty, ciepły na zimę, poszycie ze słomy i opiekę dam, żyć sobie będziecie, jak w rajku. No, dosyć, teraz jazda na dół. Zygmunt, odczep kobiel⁶³, tak, chwyć żagiew i zagaś. Dobrze.

Zanim Zygmunt miał czas obejrzeć w kobiele złote plasty, był już Franek na dole, opędzając się pszczołom, które go zaciekłe ścigały.

⁶³ *Kobiel* – dawn.: kosz pleciony z łyka, kory, itp.

W ten sam sposób wzięli podatek z dwóch innych jeszcze gniazd z pobliza i z pełną kobielą skierowali się w stronę jeziora. Czynnościom tym ciekawie przypatrywał się Chan, merdaniem strychulca i wywieszeniem czerwonego ozora wyrażając swoje zadowolenie. Teraz w podskokach pogonił naprzód, jakby zrozumiawszy, że i na niego przyjdzie kolej.

Ledwo weszli w sitowiska i trzciny, wnet zawarował. Podeszli. W poblizu na jeziorzysku spokojnie żerowały stada kaczek, kwakaniem nawołując podlotki i z zadowoleniem beztroski raz wraz barwne głowy zanurzając w rzęsy. Wymierzyli obaj, rozległy się dwa strzały, pierzchły w popłochu stada, skoczył Chan i wnet myśliwi przytracali dwa okazałe kaczory.

Skacząc teraz po twardszych kępach, doszli do głębszej zatoki, gdzie pośród pni i łachów⁶⁴ zręcznie porozstawiane były węcierze. Rozebrał się Franek, wszedł po pas do wody, wyciągnął węcierze i wkładał do worka obfitą zdobycz. Zygmus nie posiadał się z radości, gdy na suchym brzegu wysypali kilka okazałych karpia, dwa liny, cztery szerokie, jak talerze karasie i mnóstwo drobiazgu, z którego część tylko wzięwszy do wędek, resztę wrzucili w wodę.

—No, mamy jeszcze parę godzin do zachodu—mówił Franek—szkoda wracać, gdy może się jeszcze co trafić; tylko musimy odejść za moczary, bo tu nasze strzały wypłoszyły zwierzynę.

Ledwo na nowo rozstawił węcierze, ubrał się i razem z Zygmusiem kilkadziesiąt kroków odszedł wzdłuż brzegu, gdy nagle Chan z głośnym szczekaniem rzucił się, jak szalony, w gąszcz tataraków, które zakotłowały do zajadłej walki. Nasi myśliwi, podskoczywszy za psem, zobaczyli dwa skłębione ciała: jedno Chana, drugie jakiegoś niewielkiego zwierzęcia z brunatną skórą, które parsaniem, prychnieniem i syczeniem zajadło się broniło. Po podłużnej, płaskawej głowie, po małych, lecz syjących iskry oczkach, a zwłaszcza po krótkich łapach z błonami, poznał

⁶⁴ Łachów – od łacha: dawne koryto rzeki, mielizna.

Frankę wydrę. Walka jej z Chenem trwała długo. Jak wąż zwinnie skręcała się, usiłując chwycić psa ostrymi zębami za łapę, a równocześnie chroniąc własnej szyi; ale i pies był niegłupi, nie dał sobie łapy odgryźć, wywijał się w sam czas i czyhał tylko na sposobność uchwycenia wroga za podgardle, czego dokonał wreszcie po długim, zaciekłym szamotaniu się, gdyż nie dorównując wydrze zwinnością i giętkością, przewyższał ją bardzo znacznie siłą fizyczną. Od tej chwili wydra na próżno wydzieriała się, skręcała, parskała: kły psa wbijały się coraz głębiej w jej arterie⁶⁵, z których poczęła krew obficie bluzgać. Pies tak się rozżarł, że przemocą trzeba go było odrywać od konającej.

— Widzisz, jak ją oporządził, ale i sam podrapany i zmordowany liże się teraz i ledwie zipie. Futerko grzeczne, zdejmujemy, chociaż lepsze byłoby zimowe, ale z mięsa chyba Chan i Bej tylko mieć będą pociechę. Wiesz, Zygmus, jaka mi jeszcze myśl przyszła do głowy? Warto by tu w pobliżu poszukać jej nory. A nuż znajdziemy małe?

— Cóż zrobimy z małymi?

— Jak to? Wychowamy, oswoimy i przyuczmy do łapania ryb. Co? Jak ci się to podoba?

Zygmus był zachwycony tym pomysłem. Nie zwlekając, zaczęli starannie przeszukiwać wybrzeża, trafnie rozważając, że wydry gnieźdzą się zazwyczaj w norach, mających dwa wyloty: jeden w wodę, drugi od strony brzegu. Długo szukali bez skutku. Wreszcie i Chan, odpocząwszy, zaczął węszyć, jakby zrozumiał, o co chodzi, a powiodło mu się prędzej; przywarował obok korzeni starej, nadbrzeżnej wierzy, naszczekując i drapiąc łapami ziemię. Niestety rozszerzenie otworu w braku siekiery lub motyki okazało się niełatwe, musieli z wielkim mozołem wygrzebywać ziemię rękami i pomagać sobie podręcznymi nożami. Po godzinnym wysiłku dobrali się wreszcie do ukrytej pod korzeniami i wysłanej

⁶⁵ *Arterie* – tętnice.

suchym mchem, liściem i igliwem pieczary, w której istotnie znaleźli dwie młode może dwutygodniowe wyderki. Skulone to było, drżące, ale już łypiące ślepkami, zapewne dopiero od paru dni otwartymi, a teraz olśnionymi dziennym blaskiem.

Trudno opisać radość i zachwyty Zygmunia. Tulił je, głaskał, pieścił, obsypywał pocałunkami.

— Jakie ładne, łapki, pyszczki, uszy, ogonek, jakie lśniące i mięciutkie futerko, jakie ślepki cudowne! Moje dzieciны kochane!

— Ładne mi tam dzieciны! — zawołał Franek. — Taka dziecina, gdy wyrośnie, szerzy w wodzie więcej spustoszenia, niż ryś lub lis w lesie. Ale i tak szkoda, żebyś miał pozaduszać je z czułości. Chodźmy, trzeba jeszcze starą wydrę jakoś zabrać.

Z radością przyjęła wracających Hania, ciesząc się sutym łupem, a szczególnie z zachwytem pieszcząc wyderki.

— Co im tam z czułości — mówił Franek — niech no pani czym prędzej da im mleka, bo zdechną z głodu, a czułość nie posili.

— Wstydź się, Franek, jesteś bez serca.

— Nie serca im, tylko mleka trzeba.

Sto pociech miano przy karmieniu, zachwycając się okazowaną zrazu trwogą i dzikością maleństwa, a potem nagłą łapczywością, z jaką chłęptały słodkie mleczko.

Ale z przeciwnej strony szczekanie Beja oznajmiło powrót reszty myśliwych; dźwigali oni na noszach potężnego kozła, szóstaka, i dwa roczne paciuki⁶⁶. Mocno umęczeni, złożyli swój ciężar, po czym usiedli, posilali się zimnym mięsiwem i opowiadali o swych przygodach.

— Zwierzyny tu istotnie w bród — mówił doktor. — Zagłębiwszy się w puszcze, wnet wypłoszyliśmy z barłogu maciorę z warchlakami i paciukami. Szelma Bej nie wytrzymał i nuż na warchlaka! Ten oczywiście w kwik, czym rozjuszona maciora, jak wściekła, ciska się na Beja i już, już byłaby mu szablami wypruła bebechy...

⁶⁶ *Paciuki* – prosięta; dziki w drugim roku życia.

Ale pies, gracz nie lada jaki, w mig rzuca warchlaka i odskakuje piorunem w bok, kufą ku maciorze odwrócony; ta mija go w szalonym pędzie, zatrzymuje się, znów na psa ciska; pies powtarza swą sztukę, ujadając, a czyni to, szelma, tak zręcznie, że ani maciory nie traci z oka, ani się o pień drzewa nie potrafi, tylko coraz dalej rozszalała, fukającą i klamsającą maciorę odciąga w głąb lasu od warchlaków. Wnet Hryć i Jerzy zakłuli dwa paciuki czym prędzej, aby jak najmniej kwiczały. Widząc to maciora ciska się na nich, a tu Bej ją za uszy i trzyma z zaciekłością i siłą, podparłszy się łapami, wleczony, lecz przed ciosem jej pałasza bezpieczny. Nie mogliśmy strzelać, żeby przyczepionego, jak pijawka, psa nie trafić; odbiegliśmy tylko daleko i zaczęliśmy go nawoływać. Odrywa się zgrabnie i w skok ku nam. A maciora, czy wytrzeźwiwszy się z rozjuszenia, czy ze względu na resztę warchlaków z sapaniem i fukaniem poczęła je zgromadzać i obwąchiwać. Tak dobrze się tym razem skończyło. Lecz gra taka z maciorą niebezpieczna!

Potem wysłuchali opowiadań Franka i Zygmunia, pieszcząc śliczne wyderki.

— Będą — mówił doktor — zawiązkim naszego zwierzyńca.

Hania zajęła się kaczkami i rybami, mężczyźni, wypatroszywszy zwierzynę i zawiesiwszy ją u krokwi poddasza, ściągnęli skórę z wydry, a mięsem jej uraczyli Beja i Chana.

Na ognisku już buchał wesoły płomień, podsycany smolnym łuczywem, na płomieniu zaś w jednym naczyniu bulgotała jagłana kasza z mlekiem, a w drugim smażyły się na tłuszczu smaczkowite ryby.

Jak zaś smacznie podjedli sobie i ułożyli się do snu, nie ma co opowiadać.

Ledwo usnęli, lunął rześisty deszcz, który padał bez przerwy kilka godzin, pluskaniem do tym mocniejszego snu kołysząc zmęczonych.

VII O CZUCIU ROŚLIN – SANITARIUSZE PRZYRODY – BUNT MRÓWEK

W niedzielę po wspólnej modlitwie wyciosali nasi koloniści krzyż i ustawili go w miejscu zbórnym, Zygmunt zaś zawiesił na jego ramionach wspaniałe wieniec z liści i kwiatów.

Po obiedzie oddano się wypoczynkowi i przechadzkom, doktor zaś oprowadzając wnuka po puszczy, pokazywał mu różne drzewa, rośliny i krzewy, sam niekiedy rzadsze okazy roślin chowając do zielnika.

— Po co to dziadunio chowa?

— W szkołach i wędrówkach po świecie naukowo badałem rośliny; część wyników ogłosiłem, resztę do druku przygotowuję, do czego materiały zbieram także w tutejszej puszczy. Czy wiesz, że rośliny wszystkie żywią się, oddychają, rozmnażają, żyją tedy i czują?

— Że oddychają i mają czucie, nie wiedziałem.

— Pójdziemy tedy ku łączce nad ów strumyk, wpływający do jeziora, tam znajdę roślinkę, która o swym czuciu zaświadczy. Tymczasem coś innego ci opowiem, o czym pewno nie wiesz. Oto w powietrzu, w wodzie, w ziemi, w każdym miejscu są miriady tak drobnutkich roślinek, że ich dostrzec gołym okiem nie można, chyba tylko przez szkła silnie powiększające, czyli mikroskopy.

— Czy one także żywią się, rozmnażają i czują?

— Niewątpliwie! W dogodnych warunkach dzieli się jeden taki mikrobiek na dwie istoty co pół godziny, wydaje przeto w jednej dobie 16 milionów 500 potomków!

— Trudno uwierzyć, dziaduniu! Wszak po miesiącu na całym świecie nic innego, tylko same zostałyby bakterie!

— Tak by się zdawało. Pomimo to istnieje jednak równowaga w przyrodzie, a to głównie dzięki dwom czynnikom, hamującym rozwój mikrobow: pierwszy – brak pokarmu, drugi – zabójcze dla nich nagromadzenie się ich własnych wydzielin. Nadto roślinki te są ogółem mało odporne, bardzo wrażliwe na zmiany temperatury i muszą mordercze staczać walki o zachowanie swego bytu. Każdy ich rodzaj żyć i rozmnażać się może tylko w specjalnie dogodnych dla siebie warunkach, do szczętu ginąc, gdy ich nie znajduje.

— I pomimo to tak dużo ich na świecie?

— Tak dużo, mój chłopcze, że tego rozumem ogarnąć trudno, w każdym pyłku, w każdej drobinie wody, w powietrzu, w ziemi, we włosach naszych, w ustach, żołądku i skórze. Dość, gdy ci powiem na przykład, że w małej szczypcie wilgotnej ziemi naliczono ich sto milionów. Niezliczona ich liczba w każdym brudzie, w każdej grudce gnoju, w każdej rozkładającej się materii, w każdym gnijącym drzewie, w każdej nieczystości, we wszelkich wydzielinach, na nóżkach i między włoskami owadów.

— Czymże one żyją? I czy są rzeczywiście roślinami?

— Żywią się przeważnie pokarmem martwych ciał roślinnych i zwierzęcych, także zwierzęcych wydzielin. A chociaż nieliczne ich gatunki mogą w płynie poruszać się przy pomocy włoskowatych swych odrośli, przecież bliżej są spokrewnione z pierwotnymi gatunkami roślin, niż ze zwierzętami, mającymi bardziej już złożony organizm.

— Jakże szkodliwe muszą być one dla życia roślin i zwierząt!

— Przeciwnie, wszystko wskazuje, że rola ich w przyrodzie jest przeważnie dobroczynna. Wszystko w naturze uzupełnia się, wzajemnie sobie dopomaga, nawet przez pożeranie się. Jednostka tu prawie niczym, wszystkim – całość życia. Przypatrz się temu ogromnemu kłocowi sosny, leżącemu u naszych stóp. Zapewne zważył ją silny wicher. Ale, cóż to się z nią dzieje? Wyjmij nóż i zatnij.

— Miękką, spróchniałą, można ją nawet rękami łupać.

— A kora? A liście?

- Większa część kory zgniła i odpadła, to samo liście.
- Co jeszcze widzisz na jej powierzchni?
- Dużo mchów, zwłaszcza na korze i porostów; są jeszcze huby, gnijące i przerośnięte zielonymi plechami; są także całe krzaczki grzybków – mnóstwo różnych owadów i robactwa.
- Jak tedy myślisz, co się stanie z tą gnijącą teraz kłodą drzewa po kilkudziesięciu latach?
- Zupełnie zgnije.
- Jak to, nic z niej nie zostanie?
- Myślę, że zgoła nic.
- Żadna materia w przyrodzie nie ginie bez śladu, nie znikła. Kłoda jak mówisz, zgnije, to znaczy część jej ciała ulotni się w postaci gazów i wodnej pary, część wysącza inne rośliny i owady różne, część rozpadnie się w brunatną, sproszkowaną masę i wejdzie w grunt, na którym rosnąć będą mchy, grzyby i nowe drzewa. To samo, co z tą kłodą, dzieje się z ciałem każdej zmarłej rośliny, każdego zmarłego drzewa, każdego zmarłego zwierzęcia, zostawionego przyrodzie. Nawet twarde kości zwierząt, nie tylko miękkie tkanki, w proch rozsypują się z czasem, aby nowym organizmom za pokarm mogły służyć. I dobrze, bardzo dobrze, że tak się dzieje, bo gdyby nie było w przyrodzie tych sił, oczyszczających powierzchnię ziemi z martwych ciał, rychło by cała powierzchnia stosami ich była pokryta, a dla życia zabrakłoby miejsca.
- Ale czy wiesz, kto głównie tego oczyszczenia dokonywa?
- Może bakterie?
- Właśnie! Czym sęp lub szakal pod równikiem, a zwykły nasz żuk między stajniami, tym w przyrodzie bakterie, tylko w szerszym i donioślejszym zakresie.
- Ciała zmarłych, stoczone bakteriami, dostarczają powietrzu i ziemi pożywej materii, potrzebnej do wytwarzania nowych roślin, które znów nowym zwierzętom służą za pokarm. Rośliny stanowią jak gdyby kuchnię, dostarczającą pokarmu zwierzętom, których znów wydzieliną, a po śmierci gnijące ciała, roztoczone

bakteriami, służą za pokarm roślinom. Tak to rośliny i zwierzęta wzajemnie sobie służą, bez wzajemnego na siebie oddziaływania nie mogłyby istnieć, wzajemną współpracą tworzą życie i same w sobie są tym życiem. Bakterie zaś owej wzajemności doniosły stanowią łącznik. Mówiłeś, że są szkodliwe... Nieprawda, mój drogi! Zapobiegliwy człowiek wszędzie znajduje korzyść w przyrodzie, z bakterii zaś korzysta przy robieniu płótna ze lnu lub konopi, przy skór garbowaniu, przy fermentacji, wytwarzaniu octu, tytoniu, masła, śmietany i w całym swym przemyśle rolnym.

— Ale i szkodliwe są dla ludzi niektóre gatunki bakterii.

— Nie przeczę, są gatunki mikrobów, szerzące straszliwe spustoszenia w ludzkim organizmie i powodujące bardzo ciężkie, nawet śmiertelne choroby. Na szczęście te złośliwe i zabójcze gatunki są nieliczne, organizm zaś ludzki, a więcej jeszcze wiedza skutecznie umie je zwalczać. Wiedza zdobywa coraz to skuteczniejsze środki zwalczania mikrobów chorobotwórczych, przede wszystkim zaś uczy człowieka, jak ma unikać zakażeń, jak ciało swoje zawczasu przed mikrobami umacniać. Lecz o tym na dziś dosyć. Chciałeś powodu, że rośliny mają czucie. Przypatrz się tej małej roślince, wyrastającej na mokrym torfowisku. Listki jej pokrywają długie, czerwone włoski z kropelkami na końcach. Połóż na jednym muszkę. Co widzisz?

— Muszka przykleiła się, włoski rośliny zginają się. Dziadziu, dziadziu! Cały listek zwinął się i wszystkie włoski dookoła tej muszki.

— Otóż to! A teraz obok widzisz drugą tego samego rodzaju roślinkę. Połóż drobinę kamyka na jej listek. Cóż? Zwija się listek i zginają włoski?

— Wcale nie.

— Zastanów się więc i wysnuj wniosek.

— Nie wiem, nie potrafię.

— A jednak prosta rzecz. Widocznie roślinka odczuwa, że z mu-
chy może mieć pokarm, ale żadnego z twardej drobinę kamyka.

— Czy to być może? To dziwne! Jak nazywa się ta roślina?

— Nazywa się rosiczką, po łacinie *drosera rotundifolia*. Może słyszałeś kiedy o roślinie, zwanej czułkiem (*mimosa pudica*), mającej listki tak czułe, że po potrąceniu jednej stulają się wszystkie i wszystkie ogonki wraz ze stulonymi listkami zwi-
sają na dół.

Tak, tak, mój chłopcze. W drobnych i niepozornych roślin-
kach więcej jest zagadek, tajemnic, skarbów i niespodzianek, niż
możemy przypuszczać.

— Co dziadziś tak ogląda?

— Dziczka gruszy. Z radością widzę, że rośnie w tej okolicy
dużo owocowych drzewek w stanie dzikim. Trzeba będzie po-
myśleć o szczepieniu, byłem mógł skąd otrzymać dużo szlachet-
nych zrazów⁶⁷.

Tak rozważając zbliżyli się do jeziora i nagle stanęli przera-
żeni. Od strony domu wzniosła się ponad wierzchołki puszczy
gnana do jeziora wiatrem szeroka, czarna chmura dymu.

— Pożar, biegnijmy czym prędzej — wołał doktor.

Pobiegli pędem. Lecz w miarę rozwagi przerażenie dokto-
ra mijało. Najpierw owe smugi dymu szły nie z domu ani od
smolarni, lecz z odleglejszego miejsca. Następnie zauważył, że
dookoła dymów gromadziły się coraz liczniejsze stada różnego
ptactwa. Gdy podbiegli jeszcze bliżej, można już było dostrzec,
że nie był to dym, lecz olbrzymie rojowisko setek tysięcy drob-
niutkich owadów, żarłocznie pożeranych przez ptactwo. Toż
samo zauważył Zygmunt, krzycząc :

— To pszczoły roją się!

— Nie pszczoły, mój chłopcze, tylko mrówki. Pszczoły nie
roją się tak olbrzymią chmurą. Widocznie w owej stronie, skąd
lecą roje, wielkie są mrowiska.

⁶⁷ Zrazów, od zraz: kawałek jednorocznego pędu, z którego otrzymuje
się szcep rośliny.

— Tak, były; jedno zwłaszcza, jak mała kopica siana. Ale mrówki? Wszak te nie mają skrzydeł?

— Mylisz się. W każdym mrowisku są samce i samice skrzydlate, robotnice tylko są bez skrzydeł. Gdy namnoży się dużo skrzydlatych samców i samic, zdarza się, że popadają one w dziwny rozstrój, jakby w bunt przeciwko porządkowi i pracy, jakby w obłęd rozkoszy. Zaczynają się włóczyć w zaślepieniu, złości, próżniactwie i rozłączyć się poza mrowiskiem. Na próżno robotnice dążą ślad w ślad za nimi, obłamują im skrzydła, wloką do domu i trzymają w areście. Obłęd zwiększa się, wreszcie wybucha gwałtownie. Wylatują chmurą na pohulanki i wszystkie zazwyczaj z małymi wyjątkami marnie giną: samce śmiercią naturalną, samice zaś wiatrem rozproszone padają ofiarą ptaków, owadów, głodu, gdyż tak rozpróżnionych istot nie przyjmuje żadne mrowisko. Z całej tej olbrzymiej chmury może nieliczne tylko jednostki pooblamują sobie skrzydła i założą nowe gniazdo, gdzie złożą jaja, zaczną żywot spokojny i pracowity.

— Nigdy nie przypuszczałem, że zdarzać się to może u mrówek, tak słynnych z porządku, karności i pracowitości.

— Nic bardziej zajmującego, mój Zygmusiu, jak sposób życia niektórych gromadnych zwierząt, zwłaszcza owadów. Siądźmy. Nim słońce zajdzie, opowiem ci o mrówkach, abyś wiedział, jak pod niejednym względem mogą one nawet ludziom służyć za wzór pracowitości i porządku. Z tym większą ciekawością i korzyścią będziesz mógł potem samodzielnie i na własne oczy śledzić sposób ich życia.

Pograżyli się w długiej pogawędce, obu stronom przyjemnej, gdyż doktor ożywiony był zapałem, widząc, że ma uważnego i pojętnego ucznia, Zygmus zaś z zajęciem chwycił szczególnie doświadczeń i wiedzy dziadka, które mu odsłaniały nowe i nieznanne tajemnice przyrody.

VIII NAWAŁ PRAC GOSPODARSKICH

Nie próżnowali nasi koloniści; od nawału prac ręce im mdlały, pot strugami spływał po ciele, a gdy szli na nocny spoczynek, mięśnie i kości ich były tak zbolące, jakby po ciężkiej chorobie. Jednak dobroczynna przyroda krzepiła wszystkich mocnym snem; o rannym świcie znowu chętnie, jak odrodzeni, wstawali do dalszych trudów. A tych przybywało w miarę nowych potrzeb. Trawy na łąkach przekwitające wołały głośno o rychłe skoszenie, wysuszenie i zwiezenie do szop na zimowy zapas. Rozwalone rudery szop i stajni wołały: „Naprawiajcie przed jesiennymi słotami, bo będzie bieda!”. Rozwalone piece krzyczały: „Kiedyż nas naprawicie i postawicie nowe? Czy czekacie, aż mrozy i śniegi przyjdą?”. A gosposia wołała: „Bez piwnicy, bez naczyń, bez sprzętów nie sposób gospodarować. Kiedyż zrobicie drabiny, żłoby, koryta, grabie, motyki, widły, sochy, szufle, cepy, brony, rydle, taczki? Kiedy będą sprzęty domowe i kiedy w kuchennym gospodarstwie będę miała: cebry⁶⁸, czerpaki, wiadra, hładysze⁶⁹, skopce⁷⁰, pracz⁷¹, balie, garnki, misy, beczułki, stolnice, wałki, stępę⁷², rzeszota⁷³, sita, niecułki⁷⁴,

⁶⁸ *Cebry* – od *ceber*, dawn.: duże okrągłe naczynie.

⁶⁹ *Hładysze* – od *hładysza*, dawn.: naczynie gliniane, podobne do dzbana.

⁷⁰ *Skopce* – od *skopek*, dawn.: wiaderko z drewnianych klepek.

⁷¹ *Pracz* – dawn. przyrząd do prania.

⁷² *Stępa* – dawn. przyrząd do kruszenia ziarna.

⁷³ *Rzeszota* – od *rzeszoto*, dawn.: sito z dużymi otworami.

⁷⁴ *Niecułki* – od *niecka*, dawn.: drewniane podłużne naczynie różnej wielkości.

dzieże⁷⁵, kociuby⁷⁶, miotły?”. A Zygmus wołał: „Łódkę mi zróbcie i budy dla psów i dla zwierzyńca”. A doktor nawoływał: „Jeżeli chcecie mieć warzywa: okopywać je, plewić, okopywać, znowu plewić i często wystąla wodą zlewać!”.

Zwozili tedy budulec, obrabiali siekierami kloce, potem dźwignęli rusztowanie, na które za pomocą bloków i konika wywindowali potężne sosnowe dyle. Stanął na rusztowaniu u góry Franek, a na ziemi od dołu Jerzy i dalejże trzeć piła, aż trociny sypnęły białe, jak mąka.

— Ludzie — mówił doktor przy wieczerzy — którzy bez pracy do gotowego przywykli, nie mają wyobrażenia, ile trudu zręczności i wiedzy wymaga zrobienie najprostszej na pozór rzeczy. Uuch! Boła mnie gnaty!

— Jak to — śmiał się Franek — już zmęczył się jegomość deskami?

— Dziś zmęczył się, jutro po wypoczynku mniej zmęczy się, a po kilku dniach zobaczysz sam, jak dzielnym będę drwalem i traczem.

— Ciężkie to zajęcie!

— Na początek do domu i szopy dosyć będzie desek, któreśmy dziś zrobili. Jutro musimy obrobić kilka klocków na filary, słupy, krokwie i łaty; potem kilka sztuk drzewa ściąć, ociosać i pod dach złożyć, aby wyschło do bednarki.

Po kilku dniach, mozolnej pracy nad budulcem, zaczęto pod kierunkiem Franka naprawiać budynki.

Gdzie dyle w bocznych ścianach wypadły lub przegniły, dawano nowe, suchym mchem je uszczelniając. Założono sufit z nowych desek, naprawiono wiązanie dachu i pokrycie. Po naprawieniu drzwi i okien, dzieląc budowę na dwie duże izby

⁷⁵ Dzieże – od *dzieża*: duże drewniane naczynie do wyrabiania ciasta na chleb.

⁷⁶ *Kociuby* – od *kociuba*: pogrzebacz.

mieszkalne i obszerną spiżarnię, postawiono działowe ściany i powbijano deski podłóg.

W podobny sposób sporządzono stajnię jedną dla krów, drugą dla koni, a wydłużając z lewej strony dach, podparty na mocnych słupach, przygotowano wygodne poddasze na fure, siano i drzewo.

— Pałace! — chwalił się Franek — tylko pokostem je namaścić, żeby drzewo nie gniło. Kominy jeszcze i piece postawimy, byłem dobrej gliny i wapna dostał.

— Pilniejsze narzędzia gospodarskie — narzekła Hania.

— Jak to? Niby to praca wczoraj nie zrobiłem? — wołał Franek.

— Pracz dobry! Machałam nim cały dzień nad jeziorem, to też dostaniecie jutro czyściutką i słońcem przepojoną bieliznę, choć nie maglowaną, ani wyprasowaną. Nie wiecie, jaka bieda prać bez balii i bez kotła.

— Ba, pan Jerzy na wojnie umiał wyprać nawet bez mydła.

— Prawda, Franku — potwierdził Jerzy — wypłukało się koszule w rzece, wysuszyło na słońcu i koniec.

— Takie pranie, mój drogi rozmywało tylko brud i koniec... — wołała gospośia. — Bieliznę trzeba najpierw wyprać w ciepłej wodzie z mydłem i ługiem, potem wygotować w kotle, znowu przeprać ciepłą wodą przepłukując, dalej moczyć kilka godzin, żeby wszelki brud, ług i mydliny puściły, wreszcie w letniej wodzie, choćby i rzecznej, jeszcze raz przeprać, mocno bijąc praczem i dopiero silnie wykręcić i na słońcu rozwiesić. Nie mówiłam jeszcze o krochmaleniu i zapuszczaniu sinkiem⁷⁷.

— Tyle mitręgi! — wołał Franek.

— Każda praca, jeżeli ma być trwała i pożyteczna, wiedzy wymaga i dokładności.

— Prawda — dodał doktor — byle jakie zbywanie jest największą i najniepraktyczniejszą mitręgą.

⁷⁷ *Sinek* – dawn. substancja do dezynfekcji.

Zgodzono się ostatecznie na to, by jak najprędzej zająć się przygotowaniem wapna i cegieł, co było do wykończenia budynków konieczne.

Kamień wapienny, wedle wskazówek doktora znaleziony w nadbrzeżnych pagórkach, zwoził Hryć. Po wypaleniu skruszał on i rozsypywał się, a w wodzie burzył, wydając dużo ciepła. Rychło tedy mieli dostateczny zapas gazowego wapna.

Chodziło jeszcze o cegły. W sąsiednich dołach, po brzegi zarosłych różnorodnym zielskiem, odkrył doktor nadspodziewanie dobrą glinę, a nawet dawno zarzucony piec, w którym kiedyś wypalano cegły. To odkrycie ogromnie mu ułatwiło zadanie. Jak gospościa miesi ciasto w dużej dzieży na chleb razowy, zanim je ulepi w białe bochny i na szerokich liściach kapusty łopatami w rozpalony piec posuwa i dobrze jeszcze żarzących na skraj pieca węgli nagarnie, aby się godnie zarumieniły, tak doktor rękami wyżej łokci zakasanymi ugniatał i mieszał ciastowatą glinę, gęstą, żółtawą, zanim ją nie począł wtlaczać w formy, podobne do pudełek bez dna i pokrywy, wygładzać strychulcem i wyrzucać na deski, aby najpierw wyschły na słońcu, a potem szły do rozpalonego pieca.

Ale Franek w tym samym czasie w szopie ciosał, rąbał, piłował, świdrował, dłutem rył, strugiem machał, nożami wycinał, ciągle sobie wesoło podśpiewując.

— Dobra praca w drzewie, zdrowa! Hej! Aż ochota wzbiera, gdy wynik zaraz widoczny.

Zygmusć ciekawie przypatrywał się tym majsterkom Franka, chętnie udzielającego mu wyjaśnień.

— Teraz wiesz, do czego ów kamień?

— Na toczydło do ostrzenia narzędzi.

— Tak. W otwór, wykuty w środku, wprawię mocną dębową oś z rączką do obracania, oprę na wyżłobionych krawędziach korytka z wodą i jazda. Tylko pod korytko przyprawię jeszcze dębowe albo bukowe nogi.

— Do czego ten stos drewniak różnej wielkości?

— Klepki: jedne na balię, inne na dzieżę do mieszenia chleba i przechowywania kwasu, inne znów na beczułki. Znacznie ich więcej będzie i wyschnąć muszą, zanim pod obręczę pójdą.

— A owe deski?

— Na stoły i półki do spiżarni i kuchni, modrzewiowe na łóżka, stołki i stoliki; owa z dębiny – na stolnicę, na wałek; owa z jesionu – na grabie i trzymadła do kos. Najwięcej czasu zmitrzęę nad krążkiem do robienia garnków, który musi kręcić się, lecz nie rękami, tylko nogą obracany.

— Jak można poziomy krążek obracać nogą?

— Jak przy kołowrotku; nogą porusza się miarowo dźwignię, która w ruch obrotowy wprawia koło pionowe, ten zaś ruch przenosi się na obrotowy ruch poziomego krążka.

Tak to z warsztatu Franka coraz częściej wychodziły gotowe sprzęty. Po kilku dniach stały także w szopie stopy czerwonej, pięknie wypalanej cegły oraz białego, jak śnieg wapiennego, proszku.

Po wykopaniu równej, dylami popodpieranej niży⁷⁸ na piwnicę, Hryć z Jerzym co dzień wychodzili z kosami; towarzyszyła im niekiedy Hania z grabiami, aby trawę przewracać, wysuszoną zaś zgrabiać na kopice. Brali psy z sobą i strzelby, żadnego dnia nie wracając bez zwierzyny. Spełniały się także życzenia Zygmunta. Prócz wyderka i sarenki hodował już w swym zwierzyńcu młodą wiewiórkę, kilkumiesięcznego warchlaka i malutką łasiczkę. Z jaką rozkoszą i gorliwością żywił te maleństwa, jak starannie troszczył się o nie, czyścił, urządzał legowiska, jak się bawił i droczył: trudno opisać. Oswajały się coraz więcej, z przywiązaniem łączyły do swojego opiekuna, poznawały go i za głosem jego biegły. Cała też kolonia w wolnych chwilach miała tysiąc pocięch z tą dziką, ale naiwną w ruchach i prostocie działwą puszczą. Starszej zwierzyny więzić nie pozwalał doktor.

⁷⁸ *Nyży* – od *nyża*, dawn. wgłębienie, wnęka.

— Nie bronię oswajać od młodu. Ale więzić starszych nie pozwalam, bo męczą się, tęsknią i najczęściej giną, jeżeli na swobodę umknąć nie zdołają.

Któregoś dnia, gdy Jerzy z Hanią i Hryciem pojechali na dalszą zbiórkę siana, Franek przerwał swoje bednarskie i stolarskie zajęcia; wspólnie z doktorem wsypali w ogromną skrzynię z drzewa wypalone wapno i lasowali je łopatami na drażkach. Burzył się mleczny wrzątek i parował z gorąca; dosypali potem piasku, wymieszali starannie i mieli już gotowy tynk murarski. Teraz przystąpili do murowania najpierw komina i pieców, potem piwnicy.

— Skąd ty, Franku, wziąłeś tyle zręczności nie tylko w ciesielce, bednarce i stolarce, ale także w murowaniu? — pytał doktor.

— Czym od małego pędraka nie był potyradłem do różnych usług? Pan Bóg dał mi prócz twardej skóry także ciekawe oczy, tom patrzył, a czasem i sam majstrował. Widzi jegomość kominy tu dobre; co zaś do pieców: z tej komina strony w naszej izbie wystawię jeden do ogrzewania, a z drugiej piec dla paniusi do warzenia stawy, z dużym okapem, aby można było całego dzika upiec.

— Gdyby tak w naszej izbie wystawić jeszcze jeden piec do wypalania garnków...

— Myśl dobra; i ciepło będzie i na garnki pożytek. Zobaczymy. O, widzi jegomość, już jadą z furą siana, pani zaś i pan Jerzy na wierzchu fury siedzą i śmieją się. Hej! Miła rzecz zwozić sianko pachnące i napojone słońcem. I wapno też niegorzej pachnie, gdy pod rękami piece do góry rosną.

— Gdzie złożyć siano? — wołał z wozu Jerzy.

— Najlepiej na strychach chaty i stajni.

Więc Jerzy podnosił długimi widłami z fury pęki siana, które podchwytywała Hania z Zygmuśkiem, równo i porządnie układając między sufitem a dachem.

W ciągu ostatnich dni nie tylko strychy pełne były siana, lecz także obok stajni stanął stóg, okrągłą podstawą oparty na podłożu suchych gałązek, a trzciniowiskiem okryty z wierzchu.

Gdy także piwnica i piece były pokończone i próba pieców wypadła pomyślnie, odezwał się doktor:

— Teraz, gdy bezpieczne i ciepłe mamy izby, a dla dobytku dach na zimę i zapas siana: pomagać będziemy Frankowi, by co rychlej zrobił nam łóżka, stoły, beczki i inne graty.

— Ja zaś — mówiła Hania — zajmę się pieleniem i okopywaniem warzywa, bo wszystko tam w ogrodzie zarasta i buja. Otyczę także fasolę, jeżeli mi dostarczycie tyczek.

— Ty zaś, Hryciu, może byś dalej karczował i orkę pod ozi-
minę rozpoczął.

— Czemu nie? — mruknął, spluwając.

— Franku, zrób mi łódkę — prosił Zygmus.

— Ule i łódkę, pamiętam — odpowiedział Franek.



IX
O PLEŚNI, MCHACH, GRZYBACH, WĄTROBOWCACH,
WIDŁAKACH, SKRZYPACH, PAPROCIACH,
LIŚCIACH I KWIATACH – UKĄSZENIE ŻMI

Niedzielne ranki poświęcał doktor własnym badaniom naukowym; o ile nie pisał lub nie ślęczał przy mikroskopie, odbywał długie wędrówki po puszczy, zbierając okazy różnych roślin.

Ponieważ zaś pragnął, aby mu w tej pracy nikt nie przeszkadzał, przeto Zygmus ten czas spędzał z rodzicami i dopiero po południu odbywał przyrodnicze wycieczki z dziadkiem.

Pewnego razu, podczas niedzielnej z Zygmusiem pogadanki, mówił doktor:

— Przypatrz się temu zielonawemu nalotowi na korze drzewa. Są to roślinki, zwane glonami, nie mające ani korzonków, ani pędów. Znajdziesz je na wilgotnych murach, w glebie ziemi, a nawet w wodzie, gdzie mają kształt niteczek, bądź do dna przytwierdzonych, bądź wolnopływających.

— Czy one, aby żyć, nie potrzebują powietrza?

— Jakże? Właśnie z powietrza biorą swój pokarm.

— I żyć mogą w wodzie?

— W wodzie, Zygmusiu, jest zasób powietrza, wystarczający dla tych roślinek.

Wydzielają one bardzo malutkie, ledwo dostrzegalne zarodniki, które wytwarzają nowe glony. Z nimi to blisko spokrewnione są najniższe gatunki grzybów, zwanych pleśnią.

— Pleśń jest grzybem?

— Grzybem, mój chłopcze. Widziałeś kiedy pleśń?

— Och, nieraz! W chlebie, na wierzchu konfitur, na drzewie.

— Pięknie! Ale czy wiesz, jak się pleśń rozwija, skąd się bierze?

— Nie wiem.

— Stara pleśń wyrasta w niteczki, zakończone główką, pełną pyłku o milionach zarodników. Tym niedostrzegalnym pyłkiem wypełnione jest powietrze tak, że on wszystko przenika, wszędzie osiada. Słyszałeś, co po przebudowaniu domu i szop mówił Franek, że nowe deski trzeba „pomaścić” pokostem. Wiesz, dlaczego? Bo jeżeli tego rychło nie uczynimy, rzuci się z powietrza na mokre drzewo pyłek zarodnikowy pleśni i drzewo pocnie naprzód porastać pleśnią, a potem rzucą się na nie bakterie i roztoczą, czyli drzewo zgnije. Pamiętaj więc, że pleśń jest najprostszym gatunkiem grzybów. A teraz przypatrzmy się innym grzybom, które zaczynają wyrastać w lesie. Mam nadzieję, że znakomicie one zasilą naszą spiżarnię. Czy pamiętasz, com ci raz mówił o żywieniu się grzybów?

— Tak, pamiętam: nie wytwarzają sobie pożywienia, jak zielone rośliny, lecz biorą gotowy pokarm bądź z żywych pni i korzeni, jako pasożytny, bądź z gnijących z ziemi cząstek zwierzęcych i roślinnych, jako roztocze.

— Bardzo dobrze. Więc wiesz także, dlaczego i pleśń zalicza się do grzybów. Poszukaj mi teraz jakiego grzyba, ale na drzewie, nie na ziemi.

— Może ta huba?

— Dobrze! Prócz huby masz tu na owej starej korze szary i kędzierzawy porost, który jest grzybem, zwanym tarczownicą.

— Ależ, dziadziu, tej tarczownicy tu wszędzie pełno.

— Niestety, pospolity ten pasożyt straszliwie pustoszy drzewa, których nikt nie czyści i nie pielęgnuje. Teraz patrz, jakie pęki grzybów rosną u korzeni tej starej brzozy, rozrastając się nawet na pniu jej. Kapelusze mają one brudno-brunatne z ciemnymi łuseczkami i włosistymi kupkami włókien. Jest to smaczny i zdrowy grzyb, zwany opieńką.

Tak posuwając się w głąb lasu, spotykali coraz to inne rodzaje grzybów. Najcenniejszy, w każdej przyprawie smaczny, posilny

i wonny borowik dobrze był Zygmuśowi znany. Teraz nauczył się poznawać i cenić maślaka, mającego mazisty kapelusz; żółte lisiczki, zwane także gąskami, a gnieźdzące się w lasach szpilkowych i znane z tego, że nie służą za pokarm owadom; smaczną pieczarkę, zalotnie ustrojoną w jedwabny, lśniący biały z wierzchu, a różowo-czarny od spodu kapelusik; bedłkę kanię zwaną także deszczochronem z brunatnymi łuskami, ułożonymi, jak dachówka na dzwonnicy; różnobarwne surojadki, czyli gołąbki; wysmukłego kozłarza, zwanego także żydkiem; wytwornego i w każdej przyprawie niezrównanego rydza, który rozkoszą jest nie tylko dla ludzi, ale także wszelkich owadów i robactwa, posiada zaś wonny sok pomarańczowy i rośnie najchętniej pod jesień na darniach między młodą smreczyną lub jedliną; smacznego mleczaja, czyli bedłkę chrząszcza, podobnego nieco do rydza, tylko sok wydającego biały i słodki, jak mleko; goździankę kędzierzawą, zwaną także kozią brodą, gdyż, jak kalafor, jest kędzierzawa i obrasta pnie drzew kępami, podobnymi z kształtu do bladóżółtych zwojów mózgu. Spotykali zresztą wiele innych jeszcze gatunków, różniących się barwą, postacią i wonią.

— Wszystkie one — mówił doktor — są jadalne, smaczne i wielce posilne. Dość ci powiedzieć, że po wysuszeniu posiadają w sobie od 27% do 60% białka, a od 40% do 73% cukru, krochmalu i tłuszczu. Z tego zrozumiesz, jakiego bogactwa pokarmu w grzybach dostarczają ludziom lasy.

— Dużo jest jednak trujących.

— Wcale niedużo, mój drogi. Pokażę ci najczęstsze: oto mu-chomory, jeden czerwony, drugi bladocielisty, oba rodzaje z białymi krostami. Łatwo je poznać. Zdradliwszy ten oto, podobny nieco do kozłarza, lecz grubszy, mięsistszy, z trzonem u góry żółtym, u dołu ciemnoczerwonym; jest on silnie trujący, a nazywa się szatańskim. Trujące są także bardzo pospolite i częste u nas niektóre rodzaje gołąbków lub do pieczarki nieco podobna bedłka sromotnikowa, którą poznać możesz po tym, że blaszki

u spodu jej kapelusza nigdy nie czernieją. Zresztą, przy jedzeniu grzybów niewypróbowanych, ostrożność nigdy nie zawadzi. Nawet znane i jadalne winny być kipiącą wodą przed spożyciem sparzone, a potem dobrze ugotowane. Używać zaś za pokarm trzeba tylko świeżych, młodych i zdrowych, nigdy starych, robaczywych, rozmokłych.

— Czy ta biała purchawka jest także grzybem?

— Nie inaczej. Przypatrzmy się: jej środek czernieje po dojrzaniu i zamieni się w sproszkowany pył zarodników.

— Gdzież u innych grzybów dojrzewają zarodniki?

— U jednych, na przykład u borowika, pod kapeluszem; u innych, na przykład u smardza, na wierzchu kapelusza. Lecz grzyby nie tylko z zarodników wyrastają. Wyrwij no tego koźlarza. Przypatrz się, co widzisz na samym końcu jego trzonu?

— Kupkę ziemi z mnóstwem białawych korzonków.

— Nie są to właściwie korzonki, jak u innych roślin, lecz tak zwana grzybnia. Jej zgrubieniem jest trzon z kapeluszem, stanowiący ciało owocowe z zarodnikami. Po wyrwaniu trzonu z kapeluszem, o ile część grzybni zostanie w ziemi, rozrasta się, wytwarzając nowe zgrubienia, czyli ciała owocowe. Z tego to powodu znajdujemy tak często jeden grzyb obok drugiego, a tak zwane grzybowisko zazwyczaj stale w jednym miejscu. Właśnie zamierzam grzybnię pieczarek założyć w naszej piwnicy, abyśmy i w zimie mieli ten wytworny i posilny przysmak.

— Muszę zająć się zbieraniem i suszeniem grzybów.

— Pożyteczne to i przyjemne zajęcie; gdy nałóżcie ludzie oceną ich wielką wartość odżywczą, ich smak wyśmienity i woń niezrównaną, uprawiać będą grzyby, a nie tylko je zasuszać, ale także przetwarzać w mąkę lub w esencje. Tylko przy zrywaniu baczyć trzeba, aby nie niszczyć grzybni. Teraz mówiłbym ci o innych roślinach, gdybym się nie obawiał, że cię ta rozmowa już znudziła.

— Co też dziadzius mówi? Nudzić się? Nie wiem dobrze, co znaczy ten wyraz. Przypuszczam, że coś bardzo obrzydliwego, ja-

kąs może chorobę umysłu ociężałego, leniwego lub zepsutego. Mnie wszystko, co mi dziadzius opowiada, ogromnie zaciekawia.

— No, to chwała Bogu, cieszę się z tego bardzo. Więc ci pokażę dziś jeszcze mchy i wątrobowce, to jest takie rośliny, które nie mają korzeni, tylko pędy z listkami i z zarodnikami na wierzchołku, jak widzisz na tym zielonym i rozgałęzionym rokiecie lub na tych torfowcach. Wyobraź sobie bogactwo i różnorodność przyrody: takich mchów i wątrobowców rozróżnili już uczeni botanicy przeszło 4.000 gatunków. Pełno ich wszędzie i na każdym kroku: na murach, dachach, skałach, w lasach, na bagniskach, a rosną gromadnie, tworząc gęste dywany; torfowce zaś formują z biegiem wielu lat grube pokłady, gdy od spodu ciągle butwieją, a od wierzchołków co roku odradzają się na nowo. Bardziej od nich złożone są widłaki, skrzypy i paprocie, bo z zarodników ich wyrasta najpierw plecha, a z niej dopiero właściwa roślina z korzeniami, pędami, liśćmi i nowymi zarodnikami. Geologowie powiadają, że w czasach przedpotopowych rośliny te tworzyły tak olbrzymie lasy, że to sobie teraz nawet wyobrazić trudno; obecnie są skarłate z wyjątkiem niektórych tylko gatunków paproci drzewiastych, które rosną jeszcze w krajach gorących.

— Czy to paproć, dziadziu?

— Tak, jest to zanokcica, najpospolitszy nasz gatunek paproci.

— Czy ona także oddycha?

— Oczywiście, jak wszystkie rośliny, które na dolnej powierzchni liści posiadają mnóstwo otworków – na jednym calu kwadratowym około ćwierć miliona – zwanych ustami; przez miliony tych szparek wchłaniają z powietrza dwutlenek węgla (CO₂), rozkładający się w ich wnętrzu na węgiel i tlen; ten ostatni wraca w powietrze, węgiel zaś zostaje i wraz z materiałami, przez korzeń wydobywanymi, następnie zaś pod wpływem słońca w drewno, krochmal i cukier.

— Z tego wnoszę, że liście w roślinie spełniają bardzo ważne zadanie.

— Wnioskujesz trafnie. Każda roślina jest jakby kolonią liści, żyjących wspólnie i pracujących zgodnie nad utrzymaniem gromady.

— A kwiaty?

— Liście są jakby robotnikami, gromadzącymi zapas pokarmu już to w bulwach, korzeniach, cebulach lub łodydze, już to w ziarnach; kwiaty zaś, których płatki są przekształconymi liśćmi, nic same nie gromadzą, przeciwnie – złożone zapasy pochłaniają dla jednej tylko roli: wydania ziarna na rozród. Liść jest jakby obrazem pracy praktycznej i prozaicznej na użytek całości; kwiat zaś – obrazem użycia rozkoszy, rozrzutności, nadmiaru, wystawnej i krótkotrwałej uczyty, po której cała gromada, jak po wielkim marnotrawstwie, wycieńcza się, czasem nawet rychło ginie, o ile bytu swego nie zabezpieczyła większymi zapasami.

— Dlaczego kwiaty są zazwyczaj tak pięknie ubarwione?

— Na to pytanie inaczej nie podobna ci odpowiedzieć, jak innym pytaniem: Dlaczego liczne owady i ptaki olśniewają oczy barwami, a uszy cudnym śpiewem? Czemu wschód i zachód słońca płoną tak wspaniale, tęcza w precudne rozszczepia się barwy? Myślę, że nie tylko dla upojenia zmysłów, ale także dla pokarmu ducha, którego szkołą jest przyroda. W związku z tym cel bezpośrednio praktyczny: wiele roślin rozmnaża się głównie przez zżęcanie owadów, roznoszących zarodowy ich pyłek lub ptaków, które piękną barwą zwabione, pożerają jagody i owoce roślin, niestrawione pestki rozsiewają.

— Czyżby rośliny miały tyle świadomości, żeby umyślnie kwiaty swe i jagody zabarwiać dla zżęcania owadów i ptaków? Trudno w to uwierzyć.

— Nie twierdzę, czego udowodnić nie zdołam. Świadoma i celowa czynność daje się stwierdzić tylko u ludzi, no... poniekąd także u niektórych zwierząt. Co do roślin, musimy przypuścić naturalny popęd, kierowany jednak prawami i warunkami życia tak zadziwiająco, że często daje zupełne złudzenie celowości. Ów po-

pęd, zwany instynktem, jest u zwierząt w wielu wypadkach o wiele bardziej, niż u roślin, zbliżony do celowej ludzkiej samowiedzy.

— Zwierzęta jednak mają czucie, pamięć, wyobraźnię i pewien rodzaj świadomości, śmiało tedy powiedzieć można, że myślą.

— Nie zaprzeczając ci, zauważę tylko, że nauka psychologii zwierząt i ludzi jest dopiero w zawiązkach. Najbezpieczniej tedy będzie nie zapytywać jeszcze, czy i jak zwierzęta myślą, lecz, czy cierpią, byśmy mogli dbać o ich dobro podobnie, jak o dobro naszych bliźnich.

— Z tego wszystkiego przychodzę do przekonania, że zabijanie roślin, a jeszcze więcej zwierząt jest okrucieństwem i człowiek powinien tak tylko korzystać z tych żyjących istot, aby im życia nie odbierać.

— Mój drogi, nie popadaj w przesadę, ani śmieszny sentymentalizm. Nie zabijać roślin i drzew? Jak by to było możliwe? Co do zwierząt, odpowiem ci słowami św. Pawła, którego nie posądzisz ani o okrucieństwo, ani o brak szlachetnych uczuć. Pisze on w jednym liście: „Wszystko, co w jatce przedawają, jedzcie, nic się nie troszcząc dla sumienia. Pańska jest ziemia i napełnienie jej”⁷⁹.

— Ależ to bardzo dziwne, dziaduniu!

— Wiele konieczności w naturze i życiu wydaje się czymś dziwnym, na przykład śmierć, która zda się najstraszniejsza, a jednak w rzeczywistości nie jest taką. Ktoś powiedział trafnie, że nie tyle sam moment śmierci przeraża, ile cała jej pompa. Wrażliwe ludzkie serca, ani słowa, czują wstręt i odrazę do zabijania zwierząt i karmienia się ich krwią i mięsem. Nie tyle jednak samo zabijanie jest okrutne, ile znęcanie się, o czym kiedyś szczegółowo pomówimy. Teraz wróć do domu, a ty?

— Przed zachodem nabieram jeszcze grzybów i zaraz wrócę.

Jakoż po upływie może godziny wrócił do domu Zygmunt, skarżąc się jednak, że ukąsiła go w nogę żmija, którą przypadkiem nadeptał.

⁷⁹ Do Koryntian, X 25-26 (przyp. M. M.).

Czym prędzej obejrzał doktor zaczerwienioną i nawet spuchniętą już nieco ranę powyżej kostki, z niepokojem oglądali ją także rodzice Zygmunia.

— Jak dawno cię ukąsiła? — badali.

— Może pół godziny temu.

— Na pewno żmija?

— Widziałam czarną, zygzakowatą pręgę na jej ciele i ciemne plamki na głowie.

— Żmija. Nie wycisnąłeś krwi natychmiast po ukąszeniu?

— Myślałem, że wystarczy, gdy to zrobię po powrocie do domu.

— Należało natychmiast i bez żadnej zwłoki wycisnąć i wypalić. Teraz bądź cierpliwy, choć cię nieco poboli. Pieścić się w takim wypadku nie należy.

Tak mówiąc, wydobył Jerzy ostry nóż i pomimo krzyku chłopca spokojnie rozkroił mu ranę głęboko, silnie z niej krew wyciskając. Po czym prędko pobiegł do szopy, a wróciwszy z rogiem myśliwskim, roztworzył ranę i nasypał w nią prochu.

— Teraz dzielnie się trzymaj. Taki ból – głupstwo. Zaciśnij zęby i tyle.

Mówiąc to, wykrzesał ognia i proch podpalił. Jęknął chłopak. Objęła go ramionami matka.

— Spokoju! Już po wszystkim, już. Zdrów będziesz, jak ryba. Tylko położyć się musisz, a nogę powyżej rany mocno przewiążę.

— Dać mu teraz gorzałki kieliszek, a potem ślazu do picia. Widzisz, widzisz. Pokazuje się, że i cierpienia bywają zbawcze! — mówił doktor.

Jednak pomimo tych zabiegów popadł chłopak przed północą w gorączkę, a noga poniżej przewiązania mocno spuchła. Zaniepokojono się, czy zabiegi nie były spóźnione. Do późnej nocy czuwała przy chorym matka; widząc jednak, że mniej rozpalony i zasnął, udała się na spoczynek.

X
PIERWSZY SEN ZYGMUSIA

- Tyś to duchem puszczy jesteś? Jakżeś piękny!
- Jak cząstka wiecznej mocy i wiecznie zmiennego ruchu.
- Skąd przybywasz?
- Z tchnienia, którego początku ani końca nikt nie zbada.
Moją poczwarkę wykarmił mózg ludzki.
- Żmija mnie ukąsiła, mam umrzeć.
- Nie lękaj się śmierci, każda jest nowych narodzin chwilą,
jak każdy słońca zachód nowym rozświetem.
- Ukąsiła, choć żadnej nie wyrządziłem jej krzywdy i ko-
cham wszystkie zwierzęta puszczy.
- Wiem! Oprzyj się na moim skrzydle!
- Jak tu błogo! Wszystko widzę, wszystko słyszę, wszystko
czuję. I tyle mam siły! Zda mi się, że wszystkiego dokonać mogę,
co tylko zechcę. Nieś mnie w światy nieznane, ponad ziemię,
między gwiazdy... Och, cóż to? Spadamy, słabnę...
- Nie myśl o gwiazdach: nie z mojej mocy; ani teraz o ziemi ca-
łej: głębsza od puszczy. Tylko moje skrzydła obejmij myślą. Dopóki
na nich jesteś, mną jesteś, a ja tobą. Jeżeli ten warunek złamiesz,
rzucę cię i odlecę.
- Nieś mnie. Już będę skromny, chociaż to tak trudno.
- Najmądrzej i tak jeszcze trzeba. A teraz powiedz, jaką isto-
tą na chwilę być pragniesz, abym skorzystał z mocy i dokonał,
wedle życzenia twego, przemiany?
- Boję się nadmiaru pragnień. Lecz czekaj: zajrzeć chciał-
bym w gniazdo słowika, w mózg zimorodka, w jamę szerszeni,

w głowę pająka, pod skrzela lina, w ziarno poziomki, w kwiat lili wodnej, w środek mrowiska...

— Za dużo! Jednego żądaj!

— Tedy uczyni mnie mrówką niewidką; lecz obiecaj, że potem...

— Niepowściągliwe ziarno ludzkie! Spełni się i potem twoje pragnienie... Teraz oto stań się mrówką! Zleż na ziemi! Jak się czujesz?

— Dziwnie! Takim lekki, taki mały, słyszę, co mówisz, lecz jakby nie tylko uchem, ale całym ciałem. I wzrok ludzki straciłem, mam za to nad czołem trzy świetlane punkciki, po bokach dwa większe niby zwierciadła, przez które patrzeć jeszcze nie umiem; a czułki moje tak wrażliwe, że mogę różne rzeczy nimi rozpoznawać i mnóstwo rozróżniać woni.

— Co czynisz? Stój! Co za szaleństwo! Potłukłeś się, omal nie połamałeś nóżek.

— Chciałem przejść przez ów mały dołek i upadłem, jak w przepaść.

— Mały dla nóg ludzkich, głęboki dla mrówki. Myśl ludzką stosuj do narzędzi i zmysłów mrówki, a te zmysły i narzędzia do myśli.

— Wiem już, nikte trawki są, jako drzewa, prawdziwych drzew pnie, jako skały, wierzchołków ich nie dojrzyć, a nieba nie widać; dawniej kilka kroków, teraz długa podróż. Marnym stworzeniem mrówka.

— Za to czułkami i oczkami poznasz każdy mikrob, każdą pleśniczkę, każdą drobinę żdziebełka, najmniejszą zarodnię, najcieńsze włókienko, na wierzchołek dębu lub sosny wleziesz bez sznurów i drabin. Ucz się patrzeć oczkami bocznymi, wypukłymi, złożonymi z tysięcy drobniutkich cząstek, dojrzysz w ciemności i z bliska; trojgiem pojedynczych oczek na czole – w dal sięgniesz. Czułkami macaj: stokroć wrażliwsze od palców ludzkich. Masz trzy pary nóżek, zakończonych pazurkami, którymi

możesz grzebać, łązić, budować. Na przednich masz szczoteczkę i grzebyk do czesania się, mycia i gładzenia. Masz mocne szczęki do gryzienia i obrony, a w odwłoku broń, którą strzelać możesz ostrym kwasem na odległość 200 razy tak wielką, jak długość twego ciała. Masz pancerz ochronny i skrzydełka do lotu. Najcenniejszą jednak obroną twoją jest własna rozważa. Pójdź ze mną teraz, słuchaj i pytaj, jeżeli czegoś nie zrozumiesz.

— Trudno mi jeszcze łązić po tyłu patyczkach, dołach, roślinach, korzonkach zarosłych i powikłanych. Poczynam już rozróżniać i dostrzegać mnóstwo różnych dziwacznych i potwornych istot: muszek, mszyc, gąsieniczek, komarów, pajaków, ślimaków, które wspinają się po łodygach, przeskakują przez włóka, podlatują na skrzydełkach, snują się na nitczkach, rozwierając szczęki i kleszcze, poruszając mackami, wąsami i łapkami, gryząc pokarm, walcząc ze sobą i pożerając się wzajemnie. Widzę mrówkę, która rozgląda się, czyści swoje czułki, teraz śpiesznie i prosto po łomakach, po igliwiu zdąża w jedną stronę, stąd i do mnie dochodzi jakaś woń mięsiwa.

— Pójdziemy za nią.

— Zatrzymała się na brzegu jeziora deszczowej wody. Widzę wysepkę na wodzie, a na wysepce ciało utopionej ropuchy. Tylko skrzydła owadów tam dolecają, pieszo dojść przez wodę nie sposób. Mrówka bezradnie krążyła u brzegu i odeszła.

— Zaczekajmy, wróci z towarzyszkami.

— W jaki sposób je zwoła?

— Poruszy każdą czułkiem w sposób znaczący: „Chodź mi na pomoc”.

— Czy dojdą przez wodę do ropuchy?

— Niewątpliwie.

— W jaki sposób?

— Mrówki w potrzebie znajdują zawsze sposób najdogodniejszy.

— Idą już, idą: jedna, druga, trzecia...

— Przyjdzie ich bardzo dużo.

— W jaki sposób tak szybko dowiedzą się?

— Jedna powie drugiej, a sama przyjdzie; druga, nim przyjdzie – trzeciej, i tak dalej, aż nadejdzie, ile trzeba.

— Prawda, coraz ich więcej. Ciekawym, co teraz poczną. Okrążają wodę dookoła. Patrz, patrz gromadzą się po tamtej stronie wody. Ciągną suche liście, ciągną na brzeg z całej siły. Bardzo się mżolą, po trzy, po cztery przy jednym. Wywracają się, znowu wstają i ciągną, a na brzeg przyciągnąwszy, puszczają na wodę. Puszczają także suche patyczki. Czy po tych liściach i patyczkach chcą dojść do wysepki?

— Zapewne. Przedtem jednak pomost utrwala. Patrz, już niektóre włożą na liście z grudkami ziemi, inne regulują, inne listek o listek zahaczają i umacniają patyczkami.

— Ależ to ciężka i trudna dla mrówek praca!

— Dla jednej niemożliwa, dla stu łatwa. Za parę godzin ani śladu nie zostanie z ropuchy.

— Zjedzą ją?

— Po części; każda jednak cząstkę pokarmu zawlecze do gniazda na wspólną potrzebę.

— Jednego nie rozumiem: dlaczego pomost ułożyły nie tuż przy nas, skąd znacznie bliżej do wysepki, lecz po przeciwnej stronie.

— Mrówki są dowcipniejsze od wielu chłopców. W którą stronę wiatr wieje?

— Od wysepki ku nam.

— No, więc?

— Ze wstydem zrozumiałem i podziwiam ich roztropność.

— Zdziwisz się jeszcze więcej. Chodź ze mną w kierunku ich gniazda. A mów, co zobaczysz.

— Spotykam coraz więcej robotnic, wszystkie dążą do gniazda. Jedne dźwigają szczykami patyczki, ziarenka, łupinki, jajeczka owadów, ciałka gąsieniczek, małe larwy, roślinne pączki. Inne

mozolą się nad ciężarami większymi, niż ciało mrówki. To na plecach je dźwigają, to wloką za sobą lub popychają główkami, a czynią wszystko to niezmordowanie, uporczywie, nie zrażając się, choć ciężar raz, drugi i dziesiąty spadnie w przeciwną stronę. Co widzę? Jakaś mrówka wlecze suchą oponę po poczwarcie, dziesięć co najmniej razy większą od całej mrówki. Popycha ją z całej siły z jednej, z drugiej strony łapkami, szczękami, głową. Podpełza pod spód ciężaru i pcha go całym swoim ciałem. Nie! Nie da rady! Zatrzymuje się i rusza czułkami. Już dwie inne popieszyły jej na pomoc, podpierając ciężar po bokach, gdy ona popycha go z tyłu. Zwalił się naprzód, wloką we trójkę.

— Proste prawo: zgodna trójka silniejsza od jedyńki.

— Spotykam mrówkę, zamiast budulca lub pokarmu dźwigającą na plecach inną towarzyszkę.

— Zdrowa ocala chorą lub okaleczoną.

— Spotykam inną, która prowadzi świerszczyka.

— Przyjmą go gościnnie, aby im śpiewał dla rozrywki.

— Droga coraz szersza i równiejsza; spotykam mrówki, rozchodzące się promienistymi drożynkami zapewne za zdobyczą; widzę przy głównej drodze jakieś komory.

— Gościniec i ścieżki sztucznie sobie wygładziły, a komory służą za tymczasowe magazyny, postoje lub schroniska na czas deszczu.

— A oddział ów większych mrówek, kroczący równo i karnie, jak wojsko?

— Straż porządku i bezpieczeństwa.

— Wchodzimy po pochyłości w ciasny korytarz. Czy to już gniazdo?

— Jest to tunel, wykopany w ziemi pod korytem strumyka; przypatrz się, jak długi, jak mocno ma podparte i utrwalone boki.

— Dienne nie dochodzi tu światło, a jednak widno.

— Mrówki przy ścianach tunelu porozkładały kawałki próchniejącego drzewa ze świecącymi fosforycznie mikroorganizmami; stąd pochodzi owo mroczne, zielonkawe oświetlenie tunelu.

— Wspinamy się ku górze; już widać jasny wylot podkopu, już w dziennym jesteśmy świetle. Po bokach gościńca zupełnie teraz inna roślinność, drobniutka, jednostajna, jakby na oczyszczonym gruncie rosnąca.

— Zaczynają się tu bowiem role mrówek uprawne i ich folwarki. Czy widzisz ów wał od strony strumyka? Mrówki go zbudowały, aby swe role zabezpieczyć przed powodzią.

— Po roli skrętnie krążą pracownice, zajęte jakąś pracą.

— Jedne wyrwiają i uprzążają chwasty, inne zasiewają ziarna pożytecznych roślinek, tamte naprawiają zepsutą studnię, owe śpieszą do komory mszyc po mleczko dla swych liszek, inne zajęte żniwem.

— Dziwne, dziwne! Jak u ludzi!

— Żadnym stworzeniom nie poskąpił Bóg darów ducha, ani możliwości ich pomnażania.

— Wchodzimy do komory z mszycami: wążiutka, lecz długości kroku dorosłego człowieka. Ileż tu tych drobnych zielonych istot!

— W jednej komorze żyje około tysiąca, a dla wszystkich pokarm znoszą mrówki. Patrz, jak je delikatnie głaszczą, by otrzymać słodki i pożywny soczek. Podobnie ludzie z udoju krów zyskują mleko.

— Pójdziemy teraz na role mrówek, obejrzyć żniwa i spichlerze. Oto w łanie dojrzałej ościcy⁸⁰ uwijają się żniwiarki, od żdźbła odgryzając białe, twarde nasionka i dźwigając je do folwarku. Tam odłączają od nasion plewę, a czyste ziarenka odnoszą do spichlerzy, poumieszczanych w samym gnieździe. Gdybyśmy tu wrócili po zbiorach, podziwialibyśmy, jak starannie ściernisko oczyszczą pod nowy zasiew. Tuż obok niby warzywny ogród; tu na użyźnionym gruncie hodują smaczne grzybki z pierwoszczą⁸¹,

⁸⁰ *Aristida stricta* (przyp. M. M.).

⁸¹ *Pierwoszczą* – od *pierwoszcza*, dawn.: protoplazma; materia żywa tworząca komórki.

równie jak chleb i mięso, posilną⁸². Wejźmy teraz do samego gniazda. Co widzisz?

— U wejścia, rodzaju bramy, żywy ruch wchodzących i wychodzących; jakby na straży stoi szereg okazalszych mrówek.

— Straż ta utrzymuje porządek i nie wpuszcza obcych, prócz gościa, wprowadzanego przez swojską mrówkę.

— Ileż gniazdo takie liczy mieszkańców?

— Około pół miliona.

— Czy mają swego króla? Czy różnią się między sobą postacią, urodzeniem, majątkiem, przywilejami, sposobem życia i zatrudnienia?

— Żadnego pana, rządcy, ani króla nie mają. Rządzą się sprawnie i karnie roztropnością, doradzającą każdej jednostce dla wspólnego dobra i bezpieczeństwa nie tylko zgodnie, porządnie i gorliwie pracować, lecz w razie potrzeby nawet życie poświęcić. W istotę każdej z osobna i wszystkich razem jakby wrosła niezłomna zasada: jedna dla wszystkich wszystkie dla jednej. Zasady tej nikomu przypominać nie trzeba ani z ambony, ani z katedry, ani z książek, gdyż od wieków przeszła ona w ich naturę. Gdyby tu na gniazdo zły człowiek nasypał lub nalał trującego jadu, czy myślisz, że mrówki porozbiegałyby się w trwożliwym popłochu? Bynajmniej! Każda uważałaby za rzecz naturalną chwycić cząsteczkę jadu, zgubnego dla całości, i wynieść dla zakopania daleko poza gniazdem, nie odstrasżając się, że w tej samej czynności zginęły już setki jej towarzyszek. W ten sposób może wymarłaby połowa, aby zachować na przyszłość gniazdo z połową drugą żyjących.

Równie silnymi zasadami, które stały się drugą ich naturą są: „Bez pożytku dla wspólnego dobra i bez pracy nikt żyć wspólnie nie powinien, a praca do upadłego. Wspieraj w pracy nie-

⁸² *Atta Arcomyrmex* Mayr zakłada dla pokarmu w gniazdach swoich kulturę grzybków w rodzaju *rozites gangulophera*, uprawiając grunt pod tę kulturę listkami i gałązkami odpowiednich roślin (przyp. M. M.).

mocnych, jak ciebie wspierają. Dawaj pokarm, gdy sama masz, nieposiadającym i głodnym, jak tobie dają. Ratuj chorych, jak ciebie ratują w chorobie. Zgodna wielość silniejsza od jedności. Od potomstwa przyszłość gniazda zależy, więc je trzeba starannie pielęgnować. Nie wszyscy jedno; od roztropnego podziału pracy zależy porządek i dobry wynik”.

— Lecz nie znają ani modlitwy, ani nauki, ani sztuk pięknych, ani gwiazd. Żyją wyłącznie na ziemi, bez ducha polotu, przygwożdżone tyranią praw naturalnych, które z wolnego życia uczyniły bezduszną maszynę.

— Ach, doskonałymi nie są, jak nie jest człowiek. Życie jest ciągłym szamotaniem się między zastojem a postępem. Mrówki skromne są i w dziedzinach bytu ograniczone. Lecz nie zmarnowały wrodzonych zdolności. Czymże modlitwa na ustach przy złości, przy nienawiści w sercu i czynach? Czym sztuki piękne przy rozpuście i próżniactwie? Czym teorie wiedzy bez zastosowania? Czym lot w gwiazdy bez gruntownej miary i liczby?

Wejdźmy do wnętrza grodu.

— Labirynty chodników i ganków, nad piętrami piętra! Jak misternie zbudowane, jak silnie stoją, jakie ogromy zapobiegliwości i pracy pokoleń! Opowiadał mi dziadziś o gruzach Niniwy i Karnaku; więc przychodzi myśl, że znikome wszystkie takie budowle i kiedyś w gruzach legną.

— Jak drzewo kolonią liści, tak ziemia listkiem świata. Czymże człowiek, mrówka i dzieła ich? A jednak bez sekund nie byłoby wieczności. Przypatrz się, co czynią te pracownice ?

— Naprawiają w lot każde uszkodzenie, inne zamiatają, inne wynoszą rumowiska i śmieci, inne budują lub rozszerzają domy i ulice.

— Czy przy chodnikach są tylko mieszkania?

— Także składy żywności, pracownie, suszarnie, wylęgarnie, nawet sale gimnastyczne i zabawowe. Wejdźmy. Patrz, jest to jed-

na z sal, przeznaczonych na miejsce karmienia białych larwek mrówczych.

— Widzę, widzę! Mrówki podchodzą do larwek i dają im pokarm; a teraz biorą je szczękami i gdzieś wynoszą.

— Zadaniem tych mrówek – niańczenie, a wynoszą larwy do hal górnych na słońce. Przejdźmy do hal sąsiednich. Widzisz tu całe szeregi dojrzewających kokonów, to jest podrosłych larw, które się oprzędły i z których wyłazą młode mrówki.

— Widzę, widzę takie słabiutki i nieporadne. Z jaką troskliwością niańczą je mamki, jak oczyszczają szczoteczkami, jak czule wygładzają im pomięte członki, jak karmią i znowu gdzieś wynoszą.

— Znowu na słońce, aby wygrzały się, wyprostowały, nauczyły chodzić. Odtąd przez pewien czas nie wypuszczą tych małych istot ze swej opieki; gdy nieco podrosną i nabiorą sił, oprowadzać je będą po całym grodzie, pokazując wszystkie chodniki, budowle, składy i przyzwyczajając stopniowo do coraz trudniejszych zajęć: najpierw do pielęgnowania zalęgu, liszek i poczwerek, następnie do reperacji mieszkań, zmiatania i czyszczenia, potem do budowania chodników i hal, nareszcie do zbierania budulca i pokarmu poza gniazdem.

— Prócz robotnic spotkałem tu mrówki skrzydlate i niepracujące.

— Skrzydlate samce cierpiane są w małej liczbie dla rozmnożenia. Lecz uważaj. Czy w zachowaniu się mrówek nie dostrzeżesz teraz czegoś niezwykłego?

— Rzeczywiście. Są niezwykle ożywione i jakby rozgniewane; wychodzą też pośpiesznie z gniazda.

— I my wyjdziemy. Zdaje mi się, że wyruszają na wojnę. Jesteśmy za bramą. Patrz na te liczne i karne szeregi, odchodzące nie bezładną hurmą, ani w jedną stronę, lecz porządnymi oddziałami, które wedle planu w różne rozchodzą się kierunki.

— Między oddziałami tu i ówdzie maszerują razem z mrówkami jakieś owady. Czy one także na wojenną wyprawę?

— Przypuszczam. Są to goście mrówek: kusaki, rozróżki, mrówkomirek. Ale pośpieszmy na pole walki, która nastąpi na pewno za tunelem.

— Jaki powód tej wojny?

— Zazwyczaj spory o pokarm i budulec. Może nasze gniazdo czuje się zagrożone przez inne, zbyt silne lub zaborcze; a może właśnie nasi wywołali wojnę, aby współzawodników napaść, zagrabić ich zbiory i zabrać liszaki, które wychowywać sobie pragną na niewolników. Jesteśmy już za tunelem.

— Widzę tylko mały oddziałek naszych, śpieszący wprost gościńcem; a gdzież owe tysiące reszty?

— Myślę, że usadowiły się w zasadzce po promienistych ścieżynkach, zabiegających ku głównej drodze. Czekajmy. Ów oddziałek, spotkawszy wrogów, zacznie zapewne cofać się.

— Tak, tak, widzę, cofają się, staczając zaciekle walki. Ależ z tamtej strony olbrzymie ciągną rzesze wrogów, tysiące, cały gościniec zalegają. Coraz gwałtowniej i prędzej prą ku tunelowi, widocznie myśląc, że główny zastęp ich przeciwników nie zdołał jeszcze wyruszyć z grodu, więc pragną przedtem sforsować tunel. Już go do połowy zajęły, prą ciągle naprzód, nasi zaś cofają się, już oddały im cały tunel i przepuszczają dalej... Lecz cóż to? Po naszej stronie zawalił się tunel. Ci, którzy przeszli go, odcięci; z obu stron gościńca i z tyłu wypadają ze ścieżynek bocznych pourywane odziały naszych. Jakaż straszna walka! Jaki zamęt! Jakie roznamiętnienie! Jedna chwyta drugą, zażarcie borykają się, silniejsza szczękami odcina głowę pokonanej. Okropne! Już gościniec pokryty ciałami i główkami. Nasi ciągle wymordowują osaczonych i zupełnie rozbitych, ściągając pierzchających na wszystkie strony. Z tysięcy ocalać się może nieliczne jednostki.

— Zostawmy ich bez żalu dalszym losom i niezłomnej konieczności, która sprawia, że pracowitsi i zapobiegliwsi zdobywają moc dla obrony swego bytu i bezpieczeństwa, a rozbójnicy i praw gwałciciele giną od miecza, którym wojowali.

— Widok tej walki zraża mnie do mrówek; są zawzięte i nie-
litościwe.

— Więcej cnót od nich nie żądaj, niż sam ich posiadasz;
a wiedz także, że bez wojny z sobą wszelkiego stworzenia jeszcze
nie masz na ziemi życia.

— Tedy bodaj ludzie powinni miłować się wzajemnie, mi-
łować nawet wrogów swoich i brzydzić się okrutną przemocą
silniejszego nad słabszym.

— Jeszcze i ludzie ludźmi tylko być mogą, zanim przepro-
mienią się duchem w dzieci Boże. Zrzuć teraz mrówcze ciało
i powiedz, czym jeszcze być pragniesz?

— Smutno mi. Ból mam w sercu, a chaos w głowie. Chciałbym
płakać i umarłbym chętnie, gdyby nie żał rodziców i dziadka, żał
sarenki z załzawionym okiem, łasiczki mojej, wyderek, gniazdek pta-
sich z piskłętami, słońca złotych promieni i całej puszczy zielonej.

— Nie umrzesz teraz; musisz stwardnieć doświadczeniem,
trudem i bólem, aby łyzy Twoje nabrały mocy pożytku. Pójdź,
wesprzyj się na moim skrzydle.

— Gdzie mnie jeszcze zaniesiesz? Co pokażesz?

— Pokażę, czego pragniesz, gdyż bawi mnie to, jak się gubisz
i odnajdujesz, zupełnie jak ów żuraw, który podrzucał kamyki,
by je łapać. Bawi mnie twoja ciekawość, nieznana innym stwo-
rzeniom, rodzajowi zaś ludzkiemu właściwy popęd do śledze-
nia zjawisk, porządkowania ich, badania przyczyn i rozważania
skutków. Patrz, tam w legowisku kudłaty niedźwiedź z pomru-
kiem ładnego zadowolenia liże swoją dziatwę, on który przed
godziną z rykiem i ogniem zakrwawionych źrenic, jak grom,
rozmiądział łapą kark łosia i chłęptał krew jego gorącą. Patrz,
patrz, tam na konarach potężnego dębu, w liściach ukryta, drży
w śmiertelnej trwodze ledwo opierzona trójka dzieci jastrzębia
gołębiarza, drży przed pazurami łaski⁸³, rysia, krogulca. Patrz,

⁸³ Łaski – łascicy.

patrz: załopotwały szerokie skrzydła dwojga rodziców jastrzębi, w ich dziobach ciała gołębic; składają je pod dębem, aby głodne dzieci, zlatując z wysokich konarów na ziemię, uczyły się latać i pierze łupu obskubywać przed pożarciem. Już rychło stare zabiorą ze sobą dziatwę na krótkie zrazu, potem coraz dłuższe loty, aby uczyć, jak w zasadzce przytulać się do pni i konarów, jak długie godziny na łup wyczekiwać, jak go nagle napadać lub ścigać. A potem rzucą je bez opieki, może nawet odpędzą w daleką głąb puszczy. Czyż nie dość czułego trudu poświęciły na ich wysiadywanie, nianczenie i karmienie? Ileż to szpaków, gołębi, przepiórek, kwiczołów, drozdów i zajęczków dziennie musiały naznosić dla swych drogich żarłoków? Tam znowu między pagórkami nad jeziorem spójrz na tę scenę. Orzeł, dumny król puszczy, po walce ze żbikiem wyrwał się z głęboką raną w piersi i połamanym skrzydłem, ledwo tyle sił mając, aby dolecieć do pagórków. Już nie zobaczy swego gniazda, w którym na wieczór czeka jedyne pisklą; tu marnie skona. Naciera nań rozżarta, krzykliwa, bezczelnie rozzuchwalona tłuszczą wron, kruków, gawronów. Zanim go zadziobią, nie szczędzi dumnych razów zakrzywionego dzioba tym podłym...

— Duchu puszczy, o nie patrzmy dłużej na tę scenę. Zanim mnie żmija ukąsiła, co dzień odwiedzałem gniazdo sikory, ukryte w dziupli. Było tam dwanaście jajeczek, na których w dzień i w nocy przesiadywała matka. Na parę tylko godzin mąż ją zastępował i widziałem, z jaką rozkoszą prostowała wówczas swoje zdrętwiałe członki, z ćwierkaniem lecąc dla pożywienia się gąsieniczkami. Potem wylęgło się dwanaścioro nagich piskląt; wszystkie z piskiem rozwierały szeroko swoje dzióbki, ile razy matka lub ojciec nadlatywali z robaczkiem, pająkiem, gąsieniczką lub jajeczkiem ćmy i motyla. Dwanaście, tuż ciasno obok siebie nastawionych ku górze i rozwartych, dzióbków, nad którymi skrzydła matki! Pomyśl! Chciałbym jeszcze raz je zobaczyć, zanim umrę.

— Dobrze. Lećmy w tę stronę. Już słońce schyliło się za puszcę i przez gęste jej szpary złote prześwietlają promienie. Oto pusta już dziupla sikory. Rodzice wygnali je z gniazda i usadowili na gałęziach, aby skacząc uczyły się same zbierać owady. Lecz bez pomocy ich nie zostawili. Patrz, nadlatują z pokarmem i rozdzielają po kolei, sprawiedliwie, o żadnym nie zapominając. Matka już składa nowe jajeczka. W jesieni, cała obu pokoleń rodzina, pocznie stadem latać z drzew na drzewa, oczyszczając je sobie i drzewom na pożytek z żuczków, pajaków i poczwerek.

— Kochane moje, drogie sikory! Czy na zimę odlatują one w cieplejsze kraje?

— W zimie skupiają się w liczniejsze stada, oblatując szeroko okolice puszczy, przymierając często z głodu i mrozu, lecz zgodnie sobie pomagając. Widzisz, jak teraz nagle wszystkie się poukrywały?

— Czy im co zagraża?

— Usłyszały w pobliżu głos leśnego puszczyka: „hu-wek”, „kuwik!” z chichotem jakby ludzkiego śmiechu. Boją się go, chociaż nie tak im groźny, jak puchacz wyk, zbój drapieżny, którego ponure: „uchu!” szerzy między ptactwem przerażenie i popłoch.

— W krzewinie blisko szuwarów widywałem samicę puchacza w gnieździe; samiec w ciągu dnia wielokrotnie przynosił jej myszy złowione na pokarm. Pokaż mi to gniazdo.

— Był to puchacz błotny. Puste teraz jego gniazdo. Czekajmy. Czy słyszysz cichy głos, jakby szcęknięcie pieska, dochodzący z mroków nocy? Tak puchacze nawołują swe dzieci, pragnąc im rozdzielić złowione myszy lub kawałki bekasów błotnych, kulików, kaczek. Jedno puchaczatko siedzi pod kaliną, między perłami niedojrzałych jagód; drugie pod kolczastym głogiem między festonami powojów i chmielu; trzecie w krzewach ożynowych; czwarte w cieniu maliniska, dokąd żaden srebrny promień księżycy nie sięga; tamte wreszcie pod butwiejącym pniem między mchami, paprocią i pękami nastrzępionych grzybów. Wszystkie

już opierzone i tłuste, wytuczone myszami, których od urodzenia pożarły niejedną setkę. Za parę tygodni zaczną one żerować po bagniskach wspólnie z rodzicami. Teraz przywdziawszy postać borsuków, odwiedzimy norę borsuczą i posłuchamy, co nam powie ten stary stetryczały gderacz? Czy czujesz się już borsukiem?

— Bynajmniej, jestem wciąż sobą; ale mi ciężko w tym włochatym futrze i w grubym cielsku z krótką, sztywną szyją; nagimi łap podszwami odczuwam każdą miękkość i chropowatość gruntu, a skłonność mam do rozdrapywania pazurami drzewnej kory.

— Wyśmienicie! Teraz więc mógłbyś własną norę sobie wygrzebać z długimi chodnikami i obszernym kotłem; mógłbyś z ziemi wydrapywać owady i dżdżownice, a wspiąwszy się na tylnych łapach przednimi wyławiać w korze drzew chrząszczyki, a nawet rozdrapać gniazdo os lub szerszeni bez szkody dla twardej skóry. Jakże z twoim węchem?

— Znacznie lepiej, teraz rozróżniam rozmaite wonie.

— Potrzebne borsukowi tak ostre powonienie do tropienia gniazdek ptasich, myszy, jaszczurek, żab, węzów i zajączków. A dobrze musi wytuczyć się w ciągu lata, żeby mu starczyło tłuszczu do przetrzymania snu zimowego w norze. Wejźmy do jego mieszkania. Jak widzisz, nie jest to lada jakie dzieło. Borsuk leniwy, lecz dokładny i porządny, a wygodę lubi. Systematycznie tedy buduje i starannie. Patrz, jaka długa, prostopadła rura; podobnych jest w budowlu osiem, każda z osobnym wylotem. Wszędzie wzorowa czystość. Zbliżamy się oto do głównego siedliska dolnego, czyli kotła.

— Ależ głęboko, może do pięciu metrów pod powierzchnią. Czy istnieje także górny kocioł?

— Jest i górny, do którego czasem chytry lis wciska się na lokatora. Wejźmy. Co widzisz?

— Z pościeli mchów wyłazi pięcioro borsucząt. Cóż to? Wywracają się na grzbiety i gmerają do góry pazurkami łapek.

— Naśladują matkę, która w ten sposób broni się w razie napadu wroga. Nie bójcie się. Jestem od waszej mamy. Wstańcie.

— Gdzie mama? Gdzie mama? Czemu nie przyniosła jedzenia?

— Nie piszczeć! Cicho! Słyszycie szurgot w rurach? Oto już wraca i niesie wam pokarm! Nie wyszczerzaj kłów, ani nadstawiaj pazurów, pani matko. Ani tobie, ani twym dzieciom żadnej nie wyrządzimy szkody. Jedzcie sobie spokojnie.

— Także nowe zwyczaje! Wstyďte się, włóczęgi! Szczególna ciekawość! Włazicie do cudzej nory, zamiast pilnować własnego nosa. Nie przyjmuję żadnych gości. Chcę mieć spokój we własnym domu. Dosyć mam żarłoków do karmienia. Wynoście się!

— Mogłabyś nam użyzyć schronienia choć na godzinę.

— Jeszcze czego? Fora ze dwora! Wystarczy mi aż nadto obmierzły lis, który wcisnął się na górę, zbój przeklęty. Nie wstyd wam naśladować go?

— Nie gniewaj się, pani matko, zaraz cię pożegnamy. Mówisz że lis zamieszkał w twoim domu? Co za chytry złoczyńca! Bardzo cię żałujemy.

— Nie potrzebuję waszej litości! Wszyscyście czuli bardzo! Litościwe dusze! Pewno, jak mój mąż, porzuciliście dom i własne dzieci i teraz do cudzych zaglądacie. Oto żrą, własną pożarłyby matkę, gdybym nie potrafiła się obronić. Już po uszy mam tego życia. Wszędzie chytrność, złodziejstwo i rozbój. Nigdzie za grosz porządku, wszystko zdradliwie czyha na cudzą krew i myśli tylko o własnej skórce. Zamiast w tłuszcz porostać, chudnę jak szczapa. Chrząszczy i dżdżownic coraz mniej; myszy, jaszczurki, żaby i węże zmańdrzały i tak szparko nauczyły się zmykać, że nałazić się muszę kilka godzin, zanim co upoluję. Nie mam skrzydeł, jak jastrzęb, żeby latać za ptactwem. Namnożyło się sówek, łasek, jeży, borsuków i jedno drugiemu z pyska zdobycz wydiera. W lecie żyć korzonkami przyjdzie, a to maleństwo z głodu pozdycha. Nawet słońca za dnia coraz mniej, a wyleziesz z nory, wyciągniesz się w ciepłych promieniach, wnet napadnie rozbójnik, na skórę twą łakomy. Ciekawa jestem, gdzie rząd, który byłby obwiązany do utrzymywania w puszczy porządku, bezpieczeństwa

i wygody mieszkańców. Nikt nie myśli o tym, żeby rozboje karać, współzawodnictwo powściągać.

— Prawo natury i puszczy jest, aby każdy zabiegał, jak umie i może, o utrzymanie własnego życia.

— Oponuję i protestuję przeciwko wszelkim prawom i nigdy protestować nie przestanę.

— Nie narzekaj! Pod jesień dużo znajdziesz żołądzy, bukwy i ziarna; utyjesz jeszcze jak należy i dzieci utuczysz.

— Wynoście się, bo wam pazurami ślepią powydrapuję!

— Nie ma na co czekać, wychodźmy. Rozsrożona dziś niezwykle i gotowa rzucić się na nas z pazurami i zębami. Zrzuć ciało borsucze. Oprzyj się na moim skrzydle i mów, czego jeszcze pragniesz.

— Duchu puszczy, od wieków żyjesz, a w przeszłość i przyszłość głębiej, niż ludzki wzrok sięgasz. Oto różnego stworzenia radości i cierpienia, trudy i walki widziałem. Wszędzie z lata w lato ciągle śmierci i nowych narodzin przemiany. Jaki ostateczny cel tych wiecznych zmagania? Gdzie są źródła tej odwiecznej rzeki, gdzie i jakie ujście?

— Nieroztropny! Już cię ostrzegałem, żebyś miarkował ciekawość. Celem ostatecznym rządzą moce, którymi władam. Oddać cię teraz muszę ich opiece. Drobną iskierko ducha, żegnaj.

— Skrzydeł twoich tęcze lśnią, jak dębów liście i nieba błękity. Koraliowych brusznic i kalin klejnoty świecą we włosach, a czarne perły borów na szyi. Roztaczasz woń żywicy i czeremchy, świeżość puszczy i wdzięk białej brzozy. Jakżeś piękny! O, nie porzucaj mnie w tęsknocie, bez obietnicy, bez nadziei!

— Ziół leczniczych szum i woń w słodki sen cię ukołyszą. Może raz jeszcze mnie zobaczysz. Oto obietnica moja. Teraz żegnaj.

— Przedłużają się twe ramiona i skrzydła w liściaste borów konary, twarz maleje i znika, z fałdów szat pozostają tylko paproci i mchów leśnych kontury, ale i to widziadło w bladej mgłę znika. Kleją mi się znużone, zmęczone powieki i sen krzepki, sen słodki, zdrowy obejmuje. Żegnaj uroczy duchu puszczy!

XI
PRZEBUDZENIE – GARNCARSTWO –
SAD WARZYWNY – ŁOWY NA JELENIE – NA GRZYBACH

— Widzisz, co znaczy łeb hydrze urwać zawczasu, zanim ci ona nie urwie. Będziesz zdrow, jak ryba. Spałeś mocno i długo, teraz gorączki ani śladu, noga skłęsta⁸⁴ i puls regularny. Dziś musisz jeszcze poleżeć, jutro podskoczysz⁸⁵ w las na grzyby. — Tak nazajutrz mówił doktor, zbadawszy Zygmuta.

— Jak to dobrze — zawołał chłopak. — A śniło mi się właśnie, że umrę i już nie na żarty wybrałem się na tamten świat.

— Sen mara, Bóg wiara, mój chłopcze.

— Dziwnie jednak śniłem, jak na jawie, przeżywając wszystko, co widziałem w puszczy i co mi dziaduś opowiadał kiedy.

— Bywa tak w gorączce. — To mówiąc, wyszedł doktor do szopy, by Frankowi pomagać przy ciosaniu domowych sprzętów i naczyń.

A już stały w izbach niewybredne łóżka, stoły i stołki; już w spiżarni i piwnicy dostateczny był zapas półek, beczek, cebrzyków i innych drewnianych sprzętów; już nawet dla krów i koni urządzono żłoby z drabinami na siano, a nie zapomniano także jak najstaranniej okopać i obmurować obok stajni miejsca na tak ważną w gospodarstwie gnojówkę.

Tylko garnków i glinianych naczyń nie mogła się doczekać niecierpliwa gospodyni, lubo garncarski krążek był już w pracowni Franka na ukończeniu. Wśród licznych i rozmaitych za-

⁸⁴ *Skłęsta* – od *skłęsnąć*: zapaść się.

⁸⁵ *Podskoczysz* – pójdziesz, udasz się.

jęć z dnia na dzień odkładano wyprawę ku odległym stronom jeziora po glinę, do garncarskich wyrobów potrzebną. Któregoś jednak dnia i ta wyprawa przyszła do skutku i dostarczyła gliny brunatnej, na garnki znakomitej, oprócz tego sporo próbek delikatnego, jak śnieg, białego kaolinu, z którego – wedle twierdzenia doktora – można było wypalać nawet najprzedniejsze fajanse i porcelany. Zaczęto tedy pracować miesiąc, wygniatać i rozrabiać zdobyty materiał; wreszcie rano pewnego dnia zakasał doktor rękawy i kazał wnieść do szopy garncarski krążek, dumne dzieło dowcipnego Franka. Z podziwem oglądano, jak zręcznie wystrugana dźwignia wprawiała w ruch obrotowy pionowe koło, uzębione na krawędziach; te zęby szczelnie przystające do zębów innego, stosownie przytwierdzonego koła, wprawiały w ruch krążek poziomy, na którym odbywać się miało lepienie i toczenie garnków.

Nikt jednak z naszych osadników żadnego wyobrażenia nie miał o tej czynności. Przeto gdy doktor począł rękami wygniatać blok gliny umieszczony na krążku, pragnąc mu nadać format *hładyszy*⁸⁶ na mleko, a równocześnie nogami wprawił w ruch obrotowy krążek, co chwila wszyscy obecni wybuchali śmiechem, tak to szło niezgrabnie. Najweselej śmiał się przy tym sam garncarz.

Ten jednak niełatwo się zniechęcał. Po wielu próbach i niepowodzeniach wypraktykował, jaką gęstość i spoistość należało nadać glinie, jak kierować ruchem krążka, by najbardziej dogadzać pracy, jak trzymać blok gliny i pochyłać, co zostawić krążkowi, a co czynić własnoręcznie, a nade wszystko, jak wygartywać⁸⁷ jej wnętrze. Po razy kilkadziesiąt psuła się robota, kilkadziesiąt razy trzeba ją było zaczynać od początku.

⁸⁶ *Hładyszy* – od *hładysz*, *hładysza*, *hładyszka*, ukr.: garnek gliniany w kształcie dzbana bez ucha, do zbierania mleka; dziezka.

⁸⁷ *Wygartywać* – reg.: *wygarniać*.

— Jaka szkoda — mówił — że nigdy dobrze nie nauczyłem się garncarskiej pracy. Gdyby teraz moim trudom przyjrzeni się lekomyślni i zarozumiali młodzi, którym każde rzemiosło wydaje się łatwe, może nauczyliby się mniej lekceważyć korzyść płynącą z wiedzy i doświadczenia.

Po całodzienniej, od świtu do nocy wytrwałej, mozolnej i uporczywej, pracy udało się zaledwie dwa okazy hładysz przygotować do wypalania, a i te nie tylko niezgrabne były i dziwacznej formy, ale co gorsza, jeszcze niepewne. Któż bowiem mógł zaręczyć, że nie popękają w piecu.

— Jegomość niezwykle ma zdolności na garncarza — dogadywał przy wieczerzy Franek.

— Dlaczego, Franku?

— Bo ja nad jednym dłużej pracowałem, niż jegomość nad dwiema hładyszami.

— Spróbuj no, Franku, z gliny ul wytoczyć.

— Z gliny? Ani mi się śni! To podłe zajęcie babrać się w glinie.

— Żadna użyteczna robota nie jest podła. Zobaczysz, jak sobie chwalić będziesz, gdy kaszę w zgrabnej miseczce dostaniesz, a mleko w garnuszku.

— Z tej tam zgrabności jegomość sam śmiać się będzie.

— Czekaj, jak z kaolinu⁸⁸ natoczę wam talerzy i półmisków.

— Poczekam, aż stąd miski, talerze i garnki wywozić będziemy na jarmarki do Berdyczowa.

— Nie żartuj, bo to i być może. Wyroby fajansowe i porcelanowe z Chin na cały świat wywożą, na wagę złota sprzedając. Ale pewno nie wiecie, jak człowiek wpadł na pierwszy pomysł wypalania naczyń z miękkiej gliny. Więc powiem wam. Gdy brak było naczyń do noszenia wody, noszono ją koszami wylepionymi gliną, oczywiście po wysuszeniu tego lepienia na słońcu. Ale zdarzyło się raz przypadkiem, że tak wylepiony kosz zgorzał

⁸⁸ *Kaolinu* – od *kaolin*: glinka porcelanowa.

w płomieniu, przy czym drzewo spaliło się do szczytu, a gliniane wylepienie stwardniało w ogniu, utworzywszy naczynie ogniotrwałe i nieprzemakalne.

— Nie przysięgałbym, że tak to właśnie było, jak nam jegomość opowiada, ale co nam szkodzi? Niech sobie jegomość miesi gliniane ciasto i wypala garnki, ja zaś z panem Jerzym wolimy skończyć jeszcze dwa ule i osadzić w nich z barci owe pszczoły, którym już obiecałem wygodną u nas pańszczyznę i przezimowanie.

— Niech cię też dobrze pokąsają z wdzięczności za tę łaskę.

— A jegomości garnki niech popękają w piecu.

Na szczęście żadne z tych niepobożnych życzeń nie spełniło się, gdyż Franek z Jerzym bez szwanku przenieśli roje do uli, a naczynia doktora wspaniale dojrzewały na słońcu, dwa zaś pierwsze, już wysuszone, jak wielkanocne baby, czerwieniły się w mocno rozpalonym piecu.

Tymczasem, nie posiadając młynka, tłukł doktor na miął piasek, zmieszany z suchą gliną, ołowianym proszkiem i solą. Mieszanicę tę rozrobił w cebrzyku z wodą. Po paru dniach z wystygłego już pieca wydobył wypalone hładysze i zanurzał po kolei do przygotowanego w cebrzyku roztworu. Poszły potem drugi raz do mocno rozżarzonego pieca, gdzie po silnym wypaleniu, płyn, którym nasiąkły, stopił się w szklistą, połyskującą polewę.

Uroczyście wydobyto z pieca gotowe hładysze. Próba dźwięku ku radości wszystkich wypadła bez zarzutu. Doktor triumfował, a Franek unosił się w przesadnych pochwałach, wtrącając tylko jakby mimochodem przygany: „szkoda, że tak brzuchate”, lub: „koślawe nieco, ale to im piękności dodaje”.

W miarę dłuższych ćwiczeń nabywał doktor coraz większej wprawy w garncarstwie. Za przykładem dziadka szedł Zygmunt, który w tej pracy okazywał niezwykłą lekkość ręki i pomysłowość w toczeniu hładysz, garnków, misek, lampek, lichtarzy, przy czym udawały mu się nawet ozdoby wedle wzoru: czy to liści i kwiatów, czy główek i łapek zwierzęcych.

Miano już zacząć próby z kaolinem, gdy konieczność pilniejszych zajęć oderwała doktora od garncarskiego krążka.

Przez kilka dni z rzędu zamierzano polować, gdyż dotkliwie dawał się we znaki brak mięsiva, tłuszczu i skór.

Skoro świt dnia któregoś, czterej dobrze uzbrojeni i w żywność zaopatrzeni myśliwi, wyruszyli z psami ku drugiej stronie jeziora, gdzie Hryć wypatrył rykowisko jeleni. Hania zaś z Zygmuśm, nakarmiwszy i zabezpieczywszy zwierzyniec, wybrała się ku dojrzewającemu łanowi zboża i warzywnemu ogrodowi.

Tam przez godzin parę z korzeniami wyrrywali łodygi dojrzałego lnu, na wóz je układając, po czym czynili to samo z wonnymi konopiami, osobno w snopy związując wyrwane płoskonki, osobno zaś główacze. A gdy skończyli te zajęcia i pokrzepili się posiłkiem, jęli chodzić po całym polu, aby rozradować serce i oczy widokiem bujnie rosnących na nowinie płonów.

— Mamo — woła Zygmus — jak śliczna, jaka żywa, jaka aksamitna zieleń tego grochu! Nie wiem, czy jest druga roślina, która miałaby listki tak miękkie, a strąki tak ponętne, nie mówiąc już o cudownych wprost motylkach kwiatu.

— Siądźmy tedy i uracmy się na wety młodym, od wszelkich bakalii smaczniejszym groszkiem, który pewno więcej jeszcze nęci ciebie, niż zieleń i kwiaty. Słodkie, delikatne i soczyste. Nie może być nic smaczniejszego.

— A jak to buja, jak kwitnie, jakie wąsy puszcza!

— Chodźmy teraz w las tyczkowej fasoli. Ta dopiero buja potężnie. Zupełnie, jak podzwrotnikowa puszcza.

— Ach, to prawda! Ile razy jestem w takim lesie tyczkowej fasoli, nie wiem, dlaczego nazywanej „jaśkiem”, zawsze napływają mi do wyobraźni opisy dziewiczej puszczy. Ten gąszcz, zda się niezbrodzony, ten splot wąsów tak podobnych do lian, te kwiaty różnobarwne, te cienie i smugi przeświatlających między liśćmi promieni słońca. To wszystko dziwnie nastroja. Czekasz, czy tuż z gęstwiny nie wyskoczy tygrys, albo nie wychyli się łeb węża du-

siciela. Pamiętam, małym dzieckiem będąc, w takich gąszczach, z kijem w ręku, polowałem na różne potwory leśne. Patrz, patrz, mamo, wąsiska owe, gdzie ponad wierzchołki tyk strzelają!

— W cieniu fasoli, przy brzdęku muszek i bąków byłoby nam miło zdrzemnąć się, choć godzinę, ale czas mija, a trzeba zwieźć całe pole. Patrz, ziemniaki dziadunia.

— Śniegiem różowo-białych kwiatów obsypane.

— I bujne, bośmy je dwukrotnie wyplewili czyściutko i okopali starannie. A też buraki, jak ci się podobają?

— Zachwycała mnie zawsze szczególnie ich nać: taka sprężysta, czerwono-zielona, a w ziemi pod nią grzbiet brzuchatej bulwy, którą z apetytem wygryzają jeże i myszy polne.

— Ludzie zaś gotują je i z apetytem zjadają, a nie tylko same bulwy, ale także smaczny z nich barszczyk, choć co prawda, niektóre grymaśne panienki krzywią się na buraczki. Stryj twierdzi, że w burakach jest duży procent cukru.

— Niech mi mama powie, dlaczego je przed miesiącem wyrwała z korzonkami i rozsadzała?

— Rośliny wszelkie, a nie wyłączam nawet drzew owocowych, mocno na tym tracą, gdy zbyt gęsto muszą rosnać; buraki zwykle gęsto sadzimy, ale musimy potem roślinki ich szeroko rozsadzić, jeżeli chcemy mieć duże bulwy. Podobnie przerywa się marchew, aby więcej miała miejsca do rozrostu.

— Tej marchwi pierzasta i delikatna koronka liści cudną ma zieloność!

— Prawda? Może byś wyrwał jeden jej ceglasty korzonek, oczyścił i schrupał. Jak ci smakuje?

— Jak cukierek.

— O wiele zdrowszy od cukierka. A ta czarna rzepka?

— Skórka czarna, mięszk biały, jędrny, szczypiąco-słodki, wyśmienity! Prawdziwa rozkosz mieć i uprawiać taki ogród warzywny.

— Rozkosz i pożytek, zwłaszcza, jeśli uprawiamy pilnie i z zamiłowaniem, należycie wypełniając chwasty i obficie podczas su-

szy podlewając. W ogóle, mój chłopcze, nic na całym świecie nie masz wdzięczniejszego od roli, która za pracowitą uprawę obsypuje nas stokrotnymi darami. Pomimo to znajdują się ludzie gnuśni i niedbali, którzy ciągle narzekają na nią, to że jałowa, to znowu, że same rodzi chwasty, że zawodna, od słot⁸⁹ i pogody zawisła. Wszystkie wady w niej tylko widzą, nie dostrzegają zaś głównego powodu niepowodzeń we własnej niezaradności i gnuśności.

— Teraz do łąnów zbóż przejdziemy. Już okłosiły się owsy i jęczmionka, już bujne na nowinie proso okryte złocącymi się kiściami wątlego jeszcze ziarna. Byle słońca, kochanego, życiodajnego słońca jak najwięcej, nie będziemy przymierali z głodu w zimie!

Ledwo przywieźli naładowaną furę do domu i ku słońcu porostawiali pod ścianami budynków wiązki lnu i konopi, ledwo nakarmili i napoili dobytek i mieli już odejść w las po grzyby, gdy wpadł Franek sam jeden, zdyszany, szybko zaprzągnął wóz w parę koników, zabrał pakę, balię i odjechał, odpowiadając na pytanie Hani:

— Nic złego, wrócimy za godzinę, tylko mi bardzo śpieszno.

Szła tedy Hania z synem na grzyby z pewnym niepokojem, a potem niecierpliwie wyczekiwała powrotu myśliwych.

Oni zaś wyszedłszy o rannym zmroku, zdążali bez żadnej zwłoki za przewodem Hrycia, nie zważając na drobną zwierzyńnię, aby skoro świt przybyć na upatrzone miejsce, gdy jelenie wracać będą z nocnej paszy.

— Czy tylko pewny jesteś, Hryciu, rykowiska? — pytał doktor.

— Jakże, panie, czy mi to pierwszy raz? Onegdaj przed świtem tak bekały, że usłyszałyby głuchy. Od tygodnia już schodzą się w tamtej stronie i walczą, jak opętane, a zawsze rano.

— Tak, jelenie w dzień po legowiskach śpią — objaśniał doktor — pod wieczór w szalonym pędzie gonią na żer, przed świtem zaś wolno wracają. Trzeba jednak podchodzić ostrożnie, gdyż płochliwe są, a wietrzą doskonale i słuch mają znakomity.

⁸⁹ *Słot* – od *słota*, książk.: niepogoda, szaruga, plucha.

— Ale są głupie — mówił Franek. — Teraz zaś podczas bekowiska — do reszty ogłupiały. Raz, pamiętam, spłoszyliśmy stado: jak nie pomknęło, sadząc wichrem olbrzymimi susami, przez zwały drzew, przez chaszczę, przez wąwozy! Dziw, że nie połamaly w takich skokach swych badyli.

— W tych dniach — mówił Jerzy — musimy wyruszyć w drugą stronę jeziora między moczary na łosia, który o tej porze zaczął także bekać. Dobrze by go wypatrzeć.

— Trudniej z łosiem — dodał Hryc — bo nie ma stałego legowiska.

— Gdzie zaś trudniej — oponował Franek — nie ma legowiska, ale mniej płochliwy od jelenia i nie wietrzy tak bystro. Kiedyś w tych dniach poszedłem do nastawionych wężerzy. Rozebrałem się, wlałem do wody, patrzę: jest ryba. Dobrze. Wyciągam do worka. Nagle, jak nie załomocze coś w trzcinach! Co u diabła? — myślę sobie, a choć tchórzem podszyty nie jestem, zrobiło mi się gorąco. Patrzę, aż tu wyłazi taki ogromny pysk z chrapami, łopaty na łbie w szufle zwinięte, grzywa na karku, jako strzecha, a broda pod szyją, jak u Żydziska. Gdyby kto nie znał bestii, umarłby ze strachu, bo to stęka przy tym, jak nieszczęście. Jak nie huknę, aby sobie ulżyć. A ten buch prosto w wodę i popłynął jak kaczka, taka jucha! Musimy tam wybrać się, pewno niejedną upolujemy sztukę. Ogromne to, znacznie większe od jelenia.

— Ba, łosie dochodzą do 3 metrów długości, 2 wysokości, a ważą niekiedy do 1000 funtów — obliczał doktor.

— Cicho, słyhać bek; dobrze, że wiatr mamy ku sobie. Teraz czołgać się, a bez szelestu — mówił Hryc. — Chan, Bej, do nogi!

Psy przywarowały, czołgając się sprawnie i wietrząc; za nimi myśliwi z największą ostrożnością i uwagą, przykucnąwszy podpełzali przez mchy i chaszczę. A już dobrze się rozwidniło i coraz wyraźniej słyhać było groźne i namiętne beki zbliżających się ku sobie, zazdrością i gniewną żądzą rozsrożonych, byków.

Nagle tuż z pobliza rozległo się ciche, jakby jęczące i wstydlive pobekiwanie. Psy stanęły. Myśliwi zaparli oddechy, czujnie nasłuchując i wzrok wlepiając w stronę, dokąd Hryć wskazywał palcem. Może o kilkadziesiąt kroków na skraju małej polanki poruszyły się gałęzie brzozy raz, drugi raz, jakby je ktoś ścigał na dół i znów puszczał do góry, aż wychyliła się w pierw głowa, potem cała brutalna postać krowy z małym cielęciem u boku; potem druga, trzecia, wreszcie całe stadko z cielętami, a na samym końcu wyskoczył okazały byk, dumnie podrzucając dwoma na głowie konarami rosochatych wieńców. Usłyszawszy beczenie zbliżającego się rywala, zarył racicami ziemię, groźnie odbeknął, zazgrzytał namiętnie, dumny łeb z orężem i krwią nabiegłymi świecami schylił i czekał. Z krzaków przeciwnej strony nagle, jak piorun, wypada rozsrożony rywal. Rzucają się na siebie i wieńcem w wieniec uderzają tak gwałtownie, jak dwa w szybkim pędzie zderzające się wozy. Z trzaskiem i łoskotem rosochatych wieńców łeb przy łbie, jeden drugiego napiera, to się cofa, w bok odskoczy, to znów rosochami zewrze w ciągłych podrzutach i zwrotach rozjuszonych cielsk. Wodzą się, zmagają, toczą pianą i pobłyskują zakrwawionymi świecami. Poplątanych wieńców żaden nie może oderwać; badyle grzęzną w torfiastym gruncie; potykają się, kiedy niekiedy nawet przyklękują; walka wątleje, widocznie ogarnia obu śmiertelne zmęczenie.

Nadeszła dla myśliwych stosowna chwila: Jerzy i Franek, przyklękawszy, mierzą spokojnie i starannie, aż rozległy się jeden po drugim dwa strzały i niemal równocześnie dwa wspaniałe byki, trafione w komory, padają na ziemię, jak kłody.

Przytrzymawszy psy, niemal oszalałe z emocji, podszli myśliwi do wspaniałej swej zdobyczy, podziwiając grubość i rozgałęzienie wieńców.

— Chwałę — mówił doktor — taką celność strzałów; zginęły w sekundzie rażone, jak gromem, nawet huku nie usłyszawszy. Posilmy się teraz i wypocznijmy, potem musimy zwierzynę wytrzebić,

zdząć skórę i poćwiartować. Franek zaś skoczy na jednej nodze do domu po furmankę, a przywiezie także naczynie na mięsiwo i pakę na kości. Lepiej tu dokonać tej czynności, niż pod domem.

Gdy pod wieczór wrócili, wypytywał Zygmusł dziadka o sposoby zakonserwowania tak ogromnego zapasu mięsiwa.

— Najłatwiej byłoby — mówił doktor — pokrajać mięso w cienkie pasy, wysuszyć na słońcu i złożyć w suchym, zimnym, należycie uszczelnionym miejscu. Można by także namoczyć mięsiwo w rozpuszczonym karuku⁹⁰ rybim i wysuszyć, gdyż stwardniały po osuszeniu karuk utworzyłyby dostateczną ochronę przed bakteriami; toż samo jednak osiągniemy, gdy mięsiwo obgotujemy i wysuszymy, przez co sama mięsna żelatyna dobrze zabezpieczy.

— Na cóż nam, dziaduniu, tyle tego tłuszczu, ta skóra i te kości?

— Ach, tłuszcz przyda się nam bardzo: na mydło, na świece, do garbowania skór. Skóry zaś obu jeleni, jak widzisz, wkłada teraz Franek do skrzyni, w której lasowaliśmy wapno; tam nasypie na nie niegaszonego wapna i poleje wodą. Wymoczone w wapiennym mleku, z łatwością dadzą się oczyścić z włosienia. Potem je wygarbujemy. Co się tyczy kości, są one pożyteczne, zawierają bowiem sporo szpiku, który wytopimy na przedni tłuszcz. Zresztą, mój drogi, dobry gospodarz nigdy kości nie marnuje, lecz skrzętnie je składa. Prażąc je bowiem na wolnym powietrzu, otrzymuje się produkt, który, obłany kwasem siarkowym, daje fosforat, łatwo rozpuszczalny w wodzie i wyśmienity jako nawóz.

Nazajutrz skoro świt wyruszył Hryć na borsuka, którego norę dawno podpatrzył, a upolować go pragnął głównie dla zwiększenia zapasu tłuszczu; Franek z psami zasadził się w moczaryskach na łosia; doktor z Jerzym wytapiali tłuszcz i konserwowali mięso. Hania zaś z Zygmuśmiałem prócz zwykłych domowych zajęć suszyli grzyby, robili masło i sery.

⁹⁰ *Karuku* – od *karuk*: klej rybi, otrzymywany z wysuszonych pęcherzy rybnych.

Co do grzybów, zbierał je zwykle sam Zygmus. Był to jego wydział. Co dzień rano po śniadaniu chwycił koszyk i podśpiewując wybiegał w las z radością zawsze i rozkoszą, gdyż przy tej sposobności odkrywał coraz to inne i nowe leśne skarby.

Tam wysokopienny bór sosnowy filarami strzelał w górę, jak wspaniały tum gotycki. Cisza w nim poważna i uroczysta; czasem tylko niby cicha na organach gra, niby szeroko rozlewny morza szum na wierchołkach, niby gromadne modlitwy szeptanie. W nadmiarze uczuć, rozsadzających piersi, klękał chłopak, ramionami do grających kolosów puszczy przylegał, jakby zjednoczyć się pragnął z ich modłami. Lub plecami na mchów i igieł dywanie rozciągnięty, wzrok wlepiął w witraże światła, przedzierających się między konarami, i nasłuchiwał, jak wierchołki potrącają się ze stukotem i szumem.

To w sosnowym borze. Ale gęste dąbrowy inny urok miały: tyle zieleni bujnej, tyle ptactwa, tyle form i barw, taki życia, rozkoszy i siły nadmiar. Królowała tu promienna radość. Rozprysnęła tu na wszystkie strony odurzająca wonią macierzanek miłość, błyszczącymi furgocząc skrzydełkami za muszką, za listkami, za lotem dzikiego gołębia. Przejmowała Zygmutia pusta chęć wdrapywania się między owe rozgałęzione esy floresy liściastych koronek, kropelkami słońca ożłoconych, czołgania się i wspinania tropem pajaków i korników między pęki listowia: tam pragnął mieć gniazdko, tam oddychać milionami roślinnych szparek i spoić się z życiem żołądzia.

Na skraju polany wiotkie brzozy w białych koszulkach i z rozpuszczonymi włosów kosami zdawały się czegoś płakać i tęsknić nie wiadomo za czym. Tam właśnie najobfitsze było grzybowisko. Lecz każdym razem, gdy tam przychodził, żal mu było tych żałosnych dziewic i wyrzucał sobie, że im zabiera grzyby.

Grzyby zaś, jakby go znały, chętnie szły do koszyka. Głaskał je, oczyszczał, wiodąc rozmowę, jak z żywymi: poważnie i energicznie z królem borowikiem, pieśczośliwie z żółtą, jak gęsie łapki, lisczka, żartując sobie z lepkiego maślaka i barwnych gołąbków.

Syty wrażeń z pełnym koszem wracał do domu, składając po drodze wizyty ptasim gniazdkom, wiewiórczym norom, szerszeniom, mrówkom.

Tym razem zastał matkę w piwnicy. Łyżką zgartywała⁹¹ z hładysz gęstą, na wierzchu osiadłą, śmietaną i zlewała ją do maśnicy.

— Dobrze, żeś rychło dziś wrócił — mówiła — pomożesz mi robić świeże maselko, ja zaś zajmę się robieniem serów. Patrz, tę maśnicę, pełną kwaśnej śmietany, szczelnie zamkniemy denkiem. W otwór denka wchodzi drążek, którego jeden koniec z podziurkowanym krążkiem zanurzam w śmietaną, drugi zaś, na zewnątrz wystający, ujmiesz ręką i będziesz tak długo posuwał w dół i w górę, aż w śmietanie odłączy się przez burzenie tłuszcz, to jest masło od maślanki.

— A ze śmietanki słodkiej nie dałoby się zrobić masła?

— Owszem, za pomocą przyrządów, których tu nie posiadamy.

— Co to jest kwaśnienie mleka, jak to zjawisko wyjaśnić?

— Wszak podobno dziaduś opowiadał ci już o bakteriach. Mleko, prócz wody (87.7%), tłuszczu (3.32%), sernika (2.91%) i niewielkiej ilości innych ciał, zawiera nadto 4.84% mlecznego cukru, który pod wpływem pewnego gatunku bakterii, dochodzących z powietrza, fermentuje, to jest zmienia się w kwas mleczny. Na tym właśnie polega kwaśnienie mleka.

— Lecz mleczne bakterie są nieszkodliwe?

— Kwaśne mleko, mój kochany, należy do najzdrowszych dla ludzi pokarmów, byle tylko krowę, jej wymiona, jej całe otoczenie, a także ręce przy dojeniu i naczynia na mleko utrzymywać w jak największej czystości. Z brudu i obrzydliwego niechlujstwa rozmnażają się gatunki mlecznych bakterii szkodliwe, które sprawiają, że mleko cuchnie, przy gotowaniu łatwo się zwarza, a po skwaśnieniu robi się kleiste i wstrętne. Kwaśne mleko jest nieoce-

⁹¹ Zgartywała – reg. zgarniała.

nione, jako pokarm, jeżeli krowa pewna, lub jeżeli się zakwasi po przegotowaniu, od czego giną, szkodliwe zdrowiu, bakterie. Niektórzy nawet utrzymują, że regularne spożywanie tak sterylizowanego kwaśnego mleka znakomicie wpływa na przedłużenie ludzkiego życia.

— Ale teraz bij bez przerwy śmietanę, ja zaś hładysz z kwaśnym mlekiem poustawiam na ciepłym przypiecku, aby tam ścięło się w twaróg.

— A ser jak mama zrobi?

— Gdy w cieple oddzieli się w kwaśnym mleku sernik od serwatki, zawartość hładysz wleję do woreczków, które przytłoczę deską i kamieniem, aby ścięła serwatka. W ten sposób w woreczkach zostanie tylko ser, w miarę wysychania twardniejący.

— A serwatka?

— Do picia nierogaciznie⁹²; mało w niej pożywienia.

— Czy sery można robić tylko z mleka kwaśnego?

— Tak zwane szwajcarskie sery wyrabiają ze słodkiego, wywołując sztuczną fermentację przez dodawanie podpuszczki, to jest śluzowej błony czwartego cielęcego żołądka. Robić tego nie będziemy, raz, że nie mamy podpuszczki, po wtóre, że zwykły nasz, prosty ser krajowy bez żadnych korzennych lub roślinnych przypraw, bez żadnego sztucznego zagnilenia uważam za najzdrowszy.

Mówiąc to odeszła do swoich serów, a Zygmusł pracowicie i cierpliwie począł bić masło.

— No, jak ci się powodzi? – pytała, wróciwszy po godzinie.

— Biję i biję, aż ręce rozbolały i nic!

— Być nie może! Otwórzmy maśnicę. No jakże? Widzisz przecie, co się ze śmietany zrobiło, ile w niej drobniutkich gruzełków. Popracuj jeszcze czas jakiś, aby masło zupełnie oddzieliło się od maślanki, a gruzełki tłuszczu spoiły się w większe bryły. Aby ułatwić ów proces, dolejemy do maśnicy nieco ciepłej wody.

⁹² *Nierogaciznie* – od *nierogacizna*: trzoda chlewna.

— Ach, to tak? Myślałem, że od razu cała bryła masła powstanie.

— Mój drogi, nic w przyrodzie nie powstaje „od razu”, jak mówisz, gotowe i skończone. Wszystko przechodzić musi naturalne fazy rozwoju, czyli wyłaniać się i przekształcać, jakby stopniowo rozwijało się z kłęбка. Podobnie w duszy ludzkiej dzieje się, a nawet w społecznych zjawiskach ludzkich. Każdy rzeczywiście pożyteczny postęp dopełnia się tą naturalną drogą stopniowego rozwoju, którą ludzie zowią ewolucyjną, podobno od łacińskiego jakiegoś wyrazu.

— *Evolvo* — zawołał Zygmunt — co znaczy: rozwijam.

— Otóż to. Niestety, ludzie nawet dobrej woli, ale zbyt porywczego i niecierpliwego usposobienia, pragnąc od razu zapobiec złemu, gwałtownymi czynami nieraz mimo woli wstecz cofają postępową ewolucję.

— Czy nie lepsze to od zupełnego zubożenia i zastoju?

— Może i lepsze. Tylko, widzisz, stare rzeczy zniszczyć łatwo, lecz na gruzach zniszczenia tworzyć nowe: bardzo i bardzo trudno. Nim motyl pocznie w słońcu bujać, musi od jajeczka przejść wszystkie fazy rozwoju. Tak już chce natura rzeczy. Nawet Bóg wszechmogący stwarzał świat przez dni szeregi i te dni stwarzania dotychczas zamknięte nie są.

Tak rozmawiając, skończyli bicie masła, które następnie wyplukano i w osobnym ugnieciono naczyniu. Sery także leżały pod prasą. Doktor zaś i Jerzy wytopili tyle tłuszczu, że już można wyrabiać świece i mydło. Po południu przydzwigał Hryc borsuka, którego zaskoczył, gdy ostrożnie oglądając się na wszystkie strony, wylazłszy z nory, leżał na słońcu i popadł w drzemkę. Wytuczony był jak świnka i znakomicie powiększył zapasy tłuszczu.

Ale Franek dnia tego wrócił dopiero pod wieczór, straszliwie zmęczony, zły i jak nieboskie stworzenie zablocony. Zwykle tak gadatliwy, teraz nie chciał długo mówić, narzekał tylko i kłął na czym świat stoi na łosia, którego postrzeliwszy, gonił po tropach

przez bagna, mchy, krzaki i wreszcie nie dogonił. Jakimi go przewiskami za to obsypywał, byłoby wstyd powtarzać. Jeszcze więcej się rozgniewał, gdy zgorzony doktor czynił mu wyrzuty za lekkomyślne strzelanie.

— Pamiętaj sobie, Franku — mówił — żebyś nigdy nie strzelał do zwierzyny, nie mając pewności, że ją na miejscu zabijesz. Tylko ostatni fuszer, zasługujący na nazwę rzeźnika, nie zaś szanującego się myśliwego, raz po raz zbacza i rozsiewa za sobą postrzałki.

— Językiem zabić łośia tak samo łatwo, jak cyrankę — mruknął nachmurzony Franek.



XII
CZAPLE – ZWIERZYNIEC – UWAGI DOKTORA
O STOSUNKU LUDZI DO ZWIERZĄT – JESIEŃ –
NOCNA WYCIECZKA – WIDOK NIEBA

Którejś niedzieli rano począł Zygmus namawiać rodziców, by dla wypróbowania nowego czółna zrobili z nim wycieczkę do owej wyspy na jeziorze, dotychczas niebadanej, choć widnej z daleka.

— Pojedziemy, gdyż taki ciekawy, byleś nam pomógł wiosłować — zdecydował Jerzy.

Czőłno było lekkie, obszerne, z dnem dobrze wysmołowanym. We trójkę, pracując wiosłami, szparko⁹³ odbili od brzegu, po gładkiej powierzchni i w cudnej pogodzie, kierując się wprost ku wyspie. Słońce, zbliżone ku zenitowi, odbijało się w spokojnej wodzie, niby w lustrze.

Cicho; tylko od trzciny i sitowia falami płynął gwar ptasi. Chrusciel gdzieś zaderkał; trzy wrony z krakaniem pogoniły za jastrzębiem. Ten, przeciągle gwizdnąwszy „jwie”, uderzył na nie, zdawało się, że przyjmie walkę. Nie, zawrócił, zakreślił z szumem skrzydeł wspaniały łuk w powietrzu i z zawrotną pomknął szybkością, wyciągnąwszy łapy i pozornie nawet nie ruszając skrzydłami.

— Zbój — zawołał Zygmus. — Mówił dziadunio, że drugiego ptaka tak żarłocznego i krwiożerczego, jak jastrzęb, puszcza nie zna. Nawet jednego gniazda rodzeństwo pożera się wzajemnie podczas głodu, gniazdo zaś jastrzębie wygląda jak szlachtuz⁹⁴.

⁹³ *Szparko* – szybko.

⁹⁴ *Szlachtuz* – dawn.: rzeźnia.

— A nie dodał, jak troskliwie matka jastrzębia wysiaduje i karmi swoje pisklęta, jak zaciekle i śmiało w każdym niebezpieczeństwie staje w ich obronie?

— To samo spotykamy u wszystkich zwierząt.

— Widzisz — zauważyła Hania — matczyzna miłość nie zna granic, a jest czymś tak silnym i pierwotnym, jak samo życie. Niestety, tego powiedzieć nie można o miłości dzieci ku rodzicom.

— Wdzięczność i miłość dzieci ku rodzicom — dodał Jerzy — jako rzadsza i bardziej złożona, jest uczuciem już pochodnym, ale przez to wyższym, szlachetniejszym i więcej uduchowionym, więcej właściwym ludzkiej naturze, niż zwierzęcej. Dzieci, gdy wyrosną, zasoby dobrodziejstw, otrzymane od rodziców, oddadzą własnemu potomstwu, spłacając w ten sposób zaciągnięte długi.

— A jednak, jakże szczęśliwi rodzice, których w bezsilnej starości otacza miłość, wdzięczność, cześć i przywiązanie dorosłych dzieci! – zauważyła Hania.

— Zapewne, jest to najdroższy skarb starości, zdobyty zasługą szlachetnie spędzonego życia; brak tego skarbu bywa czasem ciężką za winy pokutą, a czasem niezawinionym tragizmem i wtenczas jest straszny!

Już dopływali do wysepki i zanim na niej wylądowali, po obrzydliwej woni i gardłowych, przykrych wrzaskach poznali, że cała jest siedliskiem czapli. W gęstym lasku wierzb i olszyn wiadać było mnóstwo gniazd czaplich, po kilkanaście nieraz na jednym drzewie, wszystkie pośpiesznie i byle jak sklecone. Wysiedli z czółna i szli w głąb przez zielska, między trzcinami ku olchom, nie zrażając się ani coraz wstrętniejszą wonią zgnilizny, ani coraz chrapliwszym skrzeczeniem i krakaniem. Pod drzewami musieli stąpać po ziemi, zasypanej skorupami jaj, pierzem, odchodami, kośćmi ryb i różnego ptactwa. Spotkali nawet na tym ohydny cmentarzyku małe czaplątko, które wyrzucone z gniazda, trzepotało skrzydłami i pełzało, żałośnie skrzecząc. Czaple, które żerują w nocy, spały teraz, lecz spały bardzo niespokojnie, wrzaskliwie

kracząc: „koa, koei”, złoszcząc się, dokuczając sobie wzajemnie. Jakaś niemłoda wygodnicka siedzi w swoim gnieździe, niby drzemie, ale ustawicznie wyraża swoje niezadowolenie: to się kręci, to drapie się, to krzyczy. Nagle widząc, że kawałek gniazda wykrada jej sąsiadka, rozdziawia leniwie swój wielki, czerwony dziób i zaczyna krakać w niebogłosy, dając wszystkim dookoła czapłom hasło do strasznego wrzeszczenia i łopotania skrzydłami.

Było to tak nieznośne, że nasi znajomi czym prędzej zaczęli opuszczać zarośla i zdążyć ku swej łodzi.

— Jakże podobała ci się, Zygmusiu, czapla wyspa? — pytał Jerzy, gdy odpływali.

— Myślę — odpowiedział chłopak — że czaple są leniwe, złośliwe i głupie. O wiele więcej podobały mi się przezorne, zawsze wesołe żurawie. Chciałbym tylko poznać życie czapli podczas nocnego żerowania.

— Poproś dziadunia, aby dziś po zachodzie słońca jeszcze raz wziął cię na tę wyspę.

Tegoż dnia po obiedzie gwarzyli wesoło, siedząc na murawie blisko zabudowań w cieniu rozłożystej lipy. Zygmunt tu zgromadził na popołudniowy pokarm cały swój zwierzyńiec. Gdy mlekiem, chlebem i jagodami karmił wyderki, lizała go po twarzy sarenka, warchlaczek z chrumkaniem trącał go ryjkiem po nogach, a zwinna łasiczka to z kolan wskakiwała mu na jedno, potem na drugie ramię i na głowę, to znów łapką głaskała go po twarzy, jakby się przypominając, to przykucnąwszy uważnie rozglądała się czerwonymi ślepkami na wszystkie strony. Gdy zaś przyszła na nią kolej picia z dłoni Zygmunta mleka, nasycone już wyderki popisywały się świeżo nabytymi sztuczkami: tarzania się po murawie chwytania się za ogonki, droczenia się z psami, koziołkowania, gonitwy za muchami i motylami.

Ale doktor odwoływał je od tych płochych zabaw, rzucał im figurę ryby, grubo ze skóry zszytą i przyuczał do aportowania.

Najpocieszniej było patrzeć, jak wyderki i łasiczka same już nakarmione, przeszkadzały karmieniu warchlaka i orlęcia, drocząc się z nimi i pobudzając do gniewu. Orlątko to, niedawno schwytywanie, okazywało porywczą, dziką i dumną naturę, gotowe odpowiadać na każdą zaczepkę dziobem i pazurami w obronie królewskiej swej godności.

Gdy się wreszcie rozeszli, jedni na drzemkę, drudzy na przechadzkę, doktor, zatrzymawszy Zygmunta, mówił:

— Ciesz się, mój chłopcze, że tak kochasz zwierzęta. Są one wdzięczne, odczuwają i odwzajemniają miłość. Nigdy też nie uciekałyby z lękiem od ludzi, gdyby się nie nauczyły obawiać ich okrucieństwa.

— Czyż ludzie obchodzą się ze zwierzętami okrutnie?

— Niestety, mój chłopcze, na hańbę ludzkiego rodu trzeba powiedzieć — tak okrutnie, że dość silnym słowem napiętnować tego nie sposób. Pod tym względem nie złagodziły człowieka ani religia, ani cywilizacja, ani towarzystwa ochrony zwierząt, ani nawet oczywistość własnej szkody i starty. W moich długich wędrówkach po świecie spotykałem widoki dręczenia i tępienia zwierząt, przejmujące zgrozą, o pomstę wołające do nieba: dla zysku, dla zabawy, dla dogodzenia głupiej modzie i próżności, z dzikiej i ślepej żądzy mordy i katowania, z nagłych popędów wściekłego gniewu, z podłej tyranii, znęcającej się nad bezsilnym i bezbronnym, czasem ze źle skierowanych popędów walczenia z niebezpieczeństwem. Niektóre gatunki pożytecznych zwierząt pawie do nogi już wytepił. Dziś jeszcze blisko milion bizonów buja swobodnie po stepach północnej Ameryki. Przed dziesięciu laty były ich dwa miliony, za lat dziesięć zostanie może kilka okazów. Dlaczego? Gdyż myśliwi zabijanie tych wspaniałych zwierząt uważają sobie za miły sport, szukając w tym chluby, kto dziennie zabije więcej. Stąd na stepach, od kości bielejących, tysiące cielsk bezużytecznie gnije. Istnieje rosyjsko-amerykańskie towarzystwo, które w ostatnich paru latach wytepiło 15.000 bobrów na Kam-

czatce i dostarczyło na płaszcze koronacyjne i baldachimy cara 100 tysięcy skórek gronostajowych. Wieloryby w oceanach coraz rzadsze; strusie na Saharze za lat kilka staną się osobliwością; nie będzie z kogo drapieźnie wydzierać żywcem cennych piór dla strojniś. Owe damy europejskich stolic warte są wiwisekcji lub piętnowania, tak pochopnie do różnych zwierząt stosowanego. Jakże bowiem bez piór ptasich wyglądałyby ich kapelusze, wachlarze, suknie i szale? Ileż to milionów szczygłów, szpaków, czyżyków, sikorek, wróbli, kanarków, kolibrów, papug, rajskich ptaków, mew, gołębi, chruścieli, pantarek co dzień, co dzień na ten cel idzie do magazynów! Wszak nie wiesz, że przedsiębiorcy skórę rajskich ptaków zdzierają żywcem, aby barwa piórek połysku nie straciła! Ani nie wiesz, co wyprawiają we Włoszech. Mnóstwo tam ptaków przylatuje z północnej Europy na przezimowanie, setkami tysięcy ofiarą padając chciwości ludzkiej. Najokrutniejsze jednak i najstraszniejsze jest tresowanie złowionych zięb, kosów i drozdów do wabienia w sieci, *rocolo* zwane, innego, na swobodzie jeszcze bujającego ptactwa. Już na wiosnę zaczyna się ta katowska tresura. Chodzi o to, aby śpiewaki, do wabienia przeznaczone, tak się stały osowiałe, by na czas dłuższy zupełnie zaniechały śpiewania, a później po wypoczynku tym piękniej śpiewem swym wabiły. Tedy kaci oślepiają je rozżarzonymi drucikami najpierw na jedno, po ośmiu zaś dniach – na drugie oko; po dalszych ośmiu dniach wydzierają im piórka i lotki ze skrzydeł, przez resztę wiosny i przez całe następne lato trzymając w ciemnicach. Dopiero w jesieni, gdy ma nastać połów, biedne ptaszęta, na powietrze i słońce wyniesione, zaczynają ożywiać się, świergotać i wreszcie po całych dniach wyśpiewywać i wabić swym śpiewem do zdradzieckich sieci całe roje wolnego ptactwa.

— O dziaduniu, dziaduniu — wołał Zygmus, zakrywszy sobie oczy — jakież to potworne!

— Pocziesz się, nie wszyscy ludzie są tak okrutni. Słusznie wielbimy piękny czyn sławnego malarza włoskiego Leonarda da Vinci,

który zobaczywszy raz na targu klatki, pełne śpiewaków, wykupił je i puścił na swobodę, ciesząc się widokiem ich wesołego odlotu. A inny Włoch, św. Franciszek z Asyżu, rozmawiał z ptaszętami, które siadając rojem na jego ramionach i głowie, rozumiały każde jego słowo, każde skinienie. Żmije, szarańcza, niektórzy drapieźcy są niebezpieczni, szkodliwi, na tępienie zasłużyli; znęcanie się jednak nawet nad nimi jest barbarzyństwem, którego nic nie zdoła uniewinnić. Cóż dopiero powiedzieć o barbarzyńskim wytępianiu podczas tarła pożytecznych ryb dynamitem lub truciznami? Jak napiętnować zdziczenie tych, którzy drobny narybek wyławiają, zanim podrośnie? Jak wysławić katusze, których najniewinniej doznają różne zwierzęta od okrutnego i chciwego łupu człowieka? Czy możesz sobie wyobrazić mękę węgorza, który nocną wędką na hak złapany, kilka godzin rzuca się i kaleczy, zanim odgryzłszy sznur nie ucieknie? Tchórz lub kuna, schwytane w łapkę, odgryzają sobie nogi, byle uciec na wolność. A ów lis zatraskiem za dolną schwytny szczękę i konający w zawieszeniu między ziemią a niebem? A owa mysz, krwawiąca się o druty w łapce przez całą noc, spocona, skulona, umierająca ze strachu? A owe gęsi szeregami na wznak poprzytwierdzone na marmurowych stołach paszteciami, sześć razy dziennie przemocą napychane kluskami i tysiące razy głowami z rozpaczny uderzające o marmur? A motyle żywcem przez okrutnych malców szpilkami przekłuwane? Mało kto wie o tym, jak w okolicy Bordeaux we Francji utrzymuje się pijawczarnie. Wpędzają tam do stawów stare, spracowane i bezsilne konie, aby krwią swoją karmiły pijawki; a gdy wskutek utraty krwi omdlewają, wywleka się je, odkarmia na łąkach, aby po pewnym czasie znów wpędzać do stawów. Kucharze dla dogodzenia wielkim panom umieją w szczególny sposób drób przyprawiać „na dziko”: wrzącym spirytusem lub korzennym winem zalewają żywcem kury, kaczkę i kapłony, albo też zabijają je bez upustu krwi skręcaniem szyjek i duszeniem. Po tak smacznie spreparowanej biesiadzie, rozbawione i syte towarzystwo darmozjadów wy-

rusza na zabawę strzelania do gołębi, hucznym wybuchając śmiechem na widok, jak z poodrywającymi nóżkami, pokrzwawionymi dziobami, pokaleczonymi skrzydłami spadają nieszczęsne między zarośla i giną w długiej męce. A walki byków? A grozą przejmujące okropności szlachtuzów? A biciem po pysku i po brzuchu zmuszanie koni do dźwigania nadmiernych ciężarów? A niezliczone inne okropności w stosunku człowieka do zwierząt? Widziałem w Paryżu zwyrodniałe damy, pijące szklankami ciepłą jeszcze krew świeżo w szlachtuzie zabitego wołu; widziałem i takie, które dla poprawienia swojej cery śpieszyły do kąpieli w krwi bydłcej. W taki to sposób na zwierzętach do dzikości nagina człowiek ludzką w sobie naturę, która następnie w czynnym zastosowaniu do cierpień bliźnich okazuje się obojętną lub twardą. Nie dziw, że zgrozą przejści ludzie szlachetnych i żywych uczuć od najdawniejszych czasów, z wielką siłą przekonania zwalczali mięsożerstwo⁹⁵, a w nowszych czasach powstały nawet towarzystwa tak zwanych wegetarianów, którzy żywią się tylko pokarmem roślinnym.

— Ach, dziaduniu i ja od dnia dzisiejszego chcę być wegetarianinem — zawołał Zygmus.

— Powoli, mój drogi chłopcze! Ty obecnie powinienesz we wszystkim stosować się do woli rodziców. Gdy dorosisz, uczynisz, jak zechcesz. Wegetarianizm, ze stanowiska uczuć pochwały godny, podlega krytyce i wątpliwościom pod względem obecnej praktyczności. Co przez długie szeregi pokoleń stało się potrzebą organizmu, choć szkodliwe w zasadzie, nie daje się bez szkody jednym zamachem odrzucić. Zda się wątpliwości nie ulegać, że w roślinnym i mineralnym świecie jest zawarta niezmierna w bogactwie, a do wyżywienia ludzi aż nadto wystarczająca, spiżarnia. Może kiedyś do tej wyżyny dojdzie postęp, z której mięsożerstwo wyda się ludziom podobnie barbarzyńskie, jak nam dziś wydaje się ludożerstwo. Dosyć tej smutnej rozmowy. Nie dlatego

⁹⁵ *Mięsożerstwo – mięsożerność.*

mówiłem, byś zwątpił w wartość ludzkiej natury. Głębsza ona, niż sądzą pesymiści, udoskonalać się jednak musi własną mocą i wolą przez długie epoki postępu, zastoju i cierpień. Pójdziemy teraz w puszcze, wyobraźnię jej obrazami pokrzepić.

Szli, a doktor, bacznie obserwujący wszystkie zjawiska życia roślin i zwierząt, nie szczędził wnukowi swoich uwag.

Już zbliżała się jesień, ale cały las wrzał jeszcze bujnym ożywieniem. Zwierzęta żyły w obfitości i dosycie. Poprzekwitały rośliny, krzewy i drzewa, sypiąc z pękających owoców i łupin wraz ze zwiędłym, żółkniejącym listowiem nasiona na zasiew przyszłego lata, na zapas zimowego pokarmu.

Z dzikich grusz i jabłoni spadały na ziemię gniłki, z dębów żołędzie, z leszczyn żółte, z suchych osłon wytuszczone, orzechy, z bukowych drzew tłuste, drobniutkie bukwy. Rozchwytywały je, w zwałach suchych liści wygrzebując i chciwie pożerając, ptaki, ślimaki, owady i robactwo. Korony kalin i malin, dereni i berberysów, orzyn i głogów, jałowca i jarzębiny, porzeczek i bżów dzikich, przyozdobione szkarłatem koralu lub błyszczącą czernią pereł z wolna tracić poczęły swe ozdoby. Ale długo jeszcze aż do pierwszych śniegów błyszczały, jak kwiaty, całą gamą różnych barw od żółtej i bladezielonej do purpurowej – suche liście, uporczywie na szypułkach tkwiące, niemniej brusznicowe pola, czerwieniejące żywą barwą po polanach między zaroślami.

Tylko wrzosowisk fiolety przybladły, macierzanki mniej odurzały wonią; za to woń korzenna, ostra szła z liści i nasion jak z kadzielnic, a po trzcinowiskach wysoko sterczały pałki, zdobne u góry w czarno-brunatne berła. Korzenie, łodygi, bulwy wszędzie napęczniały dostatkim miąższu, skrobi i cukru.

Nieleniwe, a roztropne zwierzęta, czego pożreć nie zdołały, zapobiegliwie wlokły do zapasowych spizarni na zimę.

Niektóre gatunki ptaków, widząc słońce co dzień na świtanu opieszalsze, a naglejsze przy zachodzie, gotować się jęły do odlotu.

Ale czas był piękny jeszcze. Toteż dnia tego samego, po wyczerzy, przy bladym świetle księżyca, który mgławce nad jeziorem prześwietlał opary, wypłynął doktor z Zygmusiem ku czaplej wyspie. Omijając trzciny, byli świadkami pierwszego może odlotu ptaków.

Oto stadko gęsi ujrzeli w odnodze, zapewne jedną rodzinę. Chciwie żerowały na zapas, zanurzając przednią część ciała, ogony zaś wysoko podnosząc nad wodę. Stary gęsior, pluskiem wiosła zaniepokojony, trwożnie zagęgał i ciężko odleciał. Jakby na dane hasło zagęgała także jego odważna i czcigodna połowica, a następnie krzykliwie skupiwszy całą swą gromadkę, sama na pewien czas, jakby dla zbadania niebezpieczeństwa, odlatuje; rychło jednak wraca i pogęgiwaniem ucisza zatrwożonych. Wkrótce i gęsior powrócił. Odtąd spokojnie już żerują czas dłuższy, wreszcie naradzają się cichym gęganiem i nagle wszystkie naraz załopocą skrzydłami i wzlatują nad wodę. Wzlatują coraz wyżej, formują się w sznur i wysoko nad lasu wierzchołkami znikają.

Gdy pod czaplą wyspę podpłynęli – nowy widok. Tam jedno, ówdzie drugie stado czapli zrywa się, wzlatuje wysoko nad jeziorem i w regularnych oddziałach z krakaniem spada na nadbrzeżne bagniska.

Cichutko, niemal bez szelestu aksamitnym muskaniem wiosła po wodzie okrążają brzegi, wierzbami zarosłe i zielskiem; łódka staje w cieniu zwieszających się nad brzegiem gałęzi. W księżycowej poświacie jakieś dziwaczne widma w szarych koszulach z szyjami w kabłąk zgiętymi cicho, ostrożnie, powoli snują się na szczudłach nóg, oczy i ostrza żółtych dziobów z natężeniem ku wodzie wymierzają, a ciemne kosmyki piór sterczą na ich głowach schylonych. Nagle jednym błyskiem ich długa szyja, ostrym zakończona dziobem, wypręża się i jak dzida uderza w rybę. Szybkie, dławiące połykanie, po czym dalsze czajenie się i brodzenie.

— Teraz wiesz — mówił doktor — jak żerują nocne czaple.

— Jak po łąkach i błotach bociany.

Noc zapadła coraz ciemniejsza, sierpem księżyca i miliardami gwiazd na niebie roziskrzona.

Nad oparem wody cicho, tajemniczo, niby duchy, jedna po drugiej wzlatają jakieś wątłe, skrzydlate istoty, pobłyskując srebrnymi skrzydełkami w księżycu. Zbijają się w obłoczki i kłębki, które się toczą, przewalają, w różnych stronach wirują. Już miliony ich, już miliardy bujają w szalonych wirach nad wodami jeziora.

— Czy w pogoni za żerem tak uporczywie krążą?

— Kto? Owe jednodniówki? Ani im śni się! — odrzekł doktor — Żerowania ich w postaci gąsieniczek minął okres, tych mianowicie paru lat, gdy o byt ciągle walcząc z niebezpieczeństwem głodu i śmierci samotniczy i rozbójniczy wiodły żywot. Dziś po ostatniej przemianie nie mają nawet narządów, do trawienia pokarmu koniecznych. Za to wdzięk posiadają i skrzydełka błyszczące. Jakby zmartwychwstały teraz na parę końcowych godzin swego bytu, najszcześniejszych i najpromienniejszych: na ekstazę miłości. Patrz, jak się tłoczą, jak w pary chwytają, jak tańczą, jak omdlewają z rozkoszy, jak goreją od miłości, sympatii i uczuć towarzyskich! Czyż nie jest to przeciwieństwem do dzikiej, wilczej, zabójczej o byt walki? Ekstaza ta jednak krótko trwa. Oto obłoczki owe, kręcące się i brzmiające, jak harmonika, rozdzielają się, opadają, topnieją. Samice rzucają w wodę zapłodnione jajeczka... i same także giną, na żer ryb padając do wody. Samców, miłością upojonych, wiatr na wszystkie strony rozwiewa na pastwę śmierci. Lecz jajeczka rozwiną się w wodzie, przejdą fazy przekształceń, by za lat parę istoty z nich wleciały w księżyc uskrzydłone, pobujały godzin parę i nowy posiew gatunku rzuciły w wodę. To samo ciągle powtarza się co roku od lat milionów; to samo działo się w epoce węglowej, gdy nawet gór na ziemi nie było jeszcze, tylko wiatry gorące wiały po olbrzymich szczytach paproci i skrzypów. I to samo w późniejszej epoce jurasowej, gdy pływał w wodzie potworny ichtiozaur,

a w powietrzu latał ptak-jaszczur, archaeopteryx, posiadamy bowiem z owych epok jednodniówki, zachowane w bursztynie lub odcisnięte na węglowych blokach.

Wśród takiej rozmowy Zygmunt odłożył wiośło, wzrok ku gwiazdom zwrócił i w niemą popadł zadumę.

— O czym rozmyślasz ? — zapytał go doktor, również odłożywszy wiośło.

— Myślę nad cudem świata — odpowiedział chłopak. — Gdyby można było przypuścić, że niektóre z tych niezliczonych gwiazd na niebie ożywione są podobną, jak nasza ziemia, rozmaitością życia: jakież zawrotne z tego wnioski, których ani fantazja ogarnie, ani ludzki język wystłowi! Jaki cud, jaka piękność i wielkość Stwórcy!

— Mój drogi, myśl nasza musi przyjąć, że te niezliczone, okiem niedoścignione, w bezmiarach nieskończone nad nami światy przepętnione są niepojętą rozmaitością życiowych zjawisk. Odczuwa się instynktem oraz mocą wrodzonego nam daru myślenia tę prawdę, a lubo naukowo jeszcze udowodnić jej nie zdołaliśmy, niemniej ogólnie i zasadniczo wydaje się ona oczywistą.

— W takim razie jedno jest dla mnie niezrozumiałe. Przyjawszy, co wydaje się tak oczywiste, że w postępowym rozwoju światów ziemia nasza nie kroczy na czele innych, lecz raczej o miliony geologicznych epok w tyle, dojdziemy do wniosku, że na innych globach istnieć mogą istoty, nieskończenie wyżej umysłowo i duchowo rozwinięte od człowieka.

— Przypuśćmy.

— Czemuż nie znalazły ani sposobu skomunikowania się z człowiekiem na ziemi, ani wpływania na jego wiedzę, ducha, szczęście.

— Najpierw, skąd pewność, że nie znalazły sposobu tego i nie wywierają wpływu, który może tylko dla nas uchwytny nie jest ani dogadzający grubej naturze. Co się tyczy skomunikowania się, jak powiadasz, zależy ono od mocy i woli stron obu: i oddziały-

wać chcącej i tej, która by miała oddziaływanie przyjąć. Czy człowiek, tak znacznie rozwojowo wyższy od mrówki, znalazł sposób porozumiewania się z nią i wpływania na jej psychiczny rozwój? Ale rozmowa nasza zesłała na manowce, jak zwykle bywa, gdy traci grunt pozytywnej wiedzy, a zacznie podawać żagle na wiatr przypuszczeń, fantazji i pragnień osobistych. Wróćmy tedy do rzeczy, dających się rozliczać, rozmierzać i rozważać. Zaciekawiło cię niebo, zasiane gwiazdami. Zaciekawiły nie tylko żaby w błocie, ale także ta wspaniała, ta niezmierniona, ta szeroko nad naszymi głowami rozwarta i cudów głoskami zapisana księga wszechświata, której alfabetu dotychczas jeszcze nie poznali najznakomitsi nawet astronomowie, chociaż już znaczne obszary oceanów nieba zmierzyl i zliczyli. Zawrotu głowy doznajemy, wzrok, jak w przepaść, zapuszczając w te otchłanie gwiazd, nad nami świecących; ludzka wyobraźnia wzdyma się, jak żagiel, na ten widok; uczucie to drętwieje z lęku, to nie posiada się z zachwytu: tak nas przenika przeczuwanie niezgłębionych przeznaczeń, tak w proch unicestwienia świadomość niemocy wobec straszliwej potęgi i wielkości światów. Nic w całym życiu, w całej przyrodzie tak głęboko, tak głośno nie ogłasza nam nieśmiertelności ducha, jak te miriady gwiazd na niebie. Spójrz: tam w lewo od Polarnej Gwiazdy i Małej Niedźwiedzicy w pobliżu wspaniałej Liry świecą gwiazdy owe Herkulesa, ku którym z zawrotną szybkością pędzi nasze słońce z całym swym planetarnym systemem: z Merkurem, Wenerą, Ziemią, Marsem, Jowiszem, Saturnem, Uranem, Neptunem i wszystkimi ich księżycami.

— Nie odczuwa się, ani dostrzega okiem żadnego ruchu; wszystko zda się spoczywać w bezładzie.

— Zawrotne ogromy i odległości to sprawiają, jednak udowodniono, że wszystko krąży porwane huraganami wielorakich wichrów. Nasza ziemia wirując dookoła własnej osi z szybkością w pasie równika 464 metrów na sekundę, równocześnie wiruje dookoła słońca i pędzi z nim w przestrzeń z niepojętą

dla umysłu ludzkiego szybkością 29.500 metrów na sekundę, to jest 38 razy szybciej od kuli armatniej. Gdyby zderzyły się ze sobą w tym potężnym wirze dwie planety, w mgnieniu oka stałyby się rozpyloną i ogniem zionącą mgławicą. O ogromach zaś ciał niebieskich i bezdennej przestrzeni, która je rozdziela, trudno ziemską miarą dać wyobrażenie. Najbliższy ziemi nasz księżyc jest od niej oddalony o 380.400 kilometrów, czyli tak daleko, że głos z tego globu doszedłby do nas w przeciągu 13 dni i 20 godzin zaledwie, a pocisk broni palnej w dniach dziesięciu. Odległość ziemi od słońca jest 385 razy większa, a od najbliższej nam gwiazdy α w konstelacji Centaura 100 milionów razy większa! Astronomowie mierzą astralne odległości szybkością światła, wynoszącą 300.000 metrów na sekundę. Owóż światło gwiazdy α Centaura dopiero w ciągu 4 lat dobiega do nas, a są gwiazdy, których światło musi zdążać do ziemi lat setki, nawet tysiące!

— Ile też gwiazd naliczono?

— Nieuzbrojone oko rozróżni ich zaledwo 6.000, ale odkryto teleskopami przeszło 43 miliony, rzeczywista zaś ilość jest bez granic.

— I wszystkie są słońcami, którym, jak naszemu, towarzyszą planety z księżycami?

— Trudno co innego przypuścić, zwłaszcza, że nasze słońce jest jedną z gwiazd mniejszych. Zresztą, mój drogi, na niebie są tajemnice, o których nikomu się nie śniło, których błady zaledwie wyraz czasem jest pochwytny. Różnice już samej wielkości gwiazd są olbrzymie; dodaj do tego, że różne gwiazdy różne mają zabarwienia: czerwone, szkarłatne, pomarańczowe, fioletowe, szmaragdowe, szafirowe. Jedne już zgasły powoli, inne pokazywały się i znikły, znów inne zmieniają periodycznie natężenie i barwę swego światła, są podwójne i potrójne, są całe mgławice, żadnym teleskopom niedające się rozdzielić na gwiazdy.

— Niech mi dziaduś pokaże na niebie Gwiazdę Polarną.

— Nietrudno ją znaleźć. Oto siedem owych gwiazd, widzialnych w każdej porze nocy, stanowi konstelację Wozu Dawida, czyli Wielkiej Niedźwiedzicy. Jeżeli od jej gwiazdy α do β poprowadzimy linię prostą i przedłużymy ją pięciokrotnie, trafimy na Gwiazdę Polarną, stanowiącą zakończenie ogona innej konstelacji, zwanej Małą Niedźwiedzicą lub Małym Wózkiem.

— Czemu to żeglarze w stronach świata orientują się wedle Gwiazdy Polarnej?

— Jest to bowiem jedyna gwiazda na niebie, która w dzień i w nocy nie zmienia swego położenia; wszystkie inne ruchem 24-godzinnym dookoła niej właśnie zmieniają swoje położenie na niebie.

— A w tej chwili, czy widać jaką planetę?

— Przede wszystkim wspaniałym a niemigotliwym światłem błyszczą oto tam, gdzie wskazuję palcem, Wenus, nazywana także jutrenką, gwiazdą zaranną, gwiazdą pasterzy, Lucyferem lub wreszcie gwiazdą wieczorną. Dostrzeżono na niej gęste mgły, chmury, wielką ilość pary wodnej i pasma górskie, wyższe od naszych Kordylierów lub Andów. W tamtej znów stronie po wyraźnym i niemigotliwym świetle łatwo rozpoznać Jowisza, ogromny i wspaniały, prawdopodobnie niezupełnie jeszcze zagęszczony i zastygły glob, który z czterema swymi księżycami dwukrotnie szybciej, niż ziemia, wirując w 12 lat obiega dookoła słońca.

— Czy dziadunio przyglądał się kiedy przez teleskop tarczy naszego księżycy i jakiego doznał wrażenia?

— Owszem. Wrażenia doznałem zaiste niezapomnianego, przede wszystkim mistycznego wstrząsu całej duszy, przerażonej myślą, że owe tak ostro i wyraźnie rysujące się kółka kraterów i całe pasma górskie ze smugami dolin, trupim blaskiem błyszczące, są czymś pozytywnym, czymś realnym, a jednak pochodzą z innego, tak odległego od naszej ziemi, globu. Jakże potężnie rozszerzy się dusza ludzka, gdy kiedyś z postępek nauki,

z ulepszeniem teleskopów, można będzie bliżej spoglądać na tarcze planet! Teraz badawcza myśl musi ostrożnie wysnuwać wnioski tylko z niewątpliwie pewnych, na razie bardzo skąpych przesłanek. Natomiast wyobraźnia ma szerokie pole do rojeń, zaludnia też nieznanne globy najdziwaczniejszymi tworam, do czego żywiołu dostarcza jej nasza ziemia. W różnych epokach jej dziejowego rozwoju żyły na niej tak dziwne rośliny i zwierzęta, że trudno byłoby temu uwierzyć, gdybyśmy w warstwach ziemi nie znaleźli ich skamieniałych szkieletów. W pokładach okresu drugorzędnego znaleziono szkielet gada długości 96 metrów. Pomyśl, co za potworna długość! Sam widziałem w muzeum nowojorskim szkielet brontozaura długości 2044 metrów, a wysokości 488 metrów. Dinozaury diplodoki były to ociężałe roślinożerne potwory, z szyją długą, jak fabryczne kominy. Straszliwsze jednak, acz znacznie mniejsze były drapieżne teropody, które rzucały się w skok na ofiary kilkakrotnie większe od siebie, chwytając je potężnymi szczękami i przednimi odnóżami, uzbrojonymi w kciuki, jak hak stalowy, mocne. Nie będę ci wyliczał innych gadów, smoków, zaopatrzonych w skrzydła do latania, olbrzymich żółwi i potworów, wobec których nasz słoń lub wieloryb wydałby się karłem.

Patrz teraz na gwiazdy i zaludnij mocą wyobraźni te niezmierzone i otchłanne światy, lecz nie tylko potworami złośliwymi, ale także istotami anielskimi. Zaprawdę, ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani wysłowi język ludzki, co Stwórca gdzieś na odległych wirach bytu tym nagotował, którzy Go miłują.



XIII
ZBIORY JESIENNE – TOK⁹⁶, STĘPA⁹⁷ I ŻARNA –
LEN I PRZĘDZIWO – ORZECHY – PALISADY⁹⁸ –
MYDŁO I ŚWIECE – WYROJE PTAKÓW –
ROZMOWA O NATURZE – JESIEŃ I TĘSKNOTA

Korzystając z pogody, doktor z Jerzym i Frankiem kosili, wiazali w snopy i ustawiali w mendle owies, jęczmień, groch i proso; do koszów obrywali dojrzałe strąki fasoli; gdy zaś mendle wyschły, zwozili zboże do szopy.

W tymże czasie Hryć z gliny z ziemią zmieszanej, a gnojówką podlanej, wymościł w szopie klepisko czyli tok; gdy po dniach kilku wyschło, wydeptał je starannie i mocno, plewami posypał, znowu wydeptał, po czym do gładkości drewnianymi dobniami⁹⁹ przeklepał, cierpliwie wygładzając wszelkie szczeliny i nierówności.

To uczyniwszy, wybrał mocny, tęgo gruby i po pachy sięgający kłoc dębowy, oczyścił go z kory i ociosał zewnątrz w formie kielicha na wino, po czym jął¹⁰⁰ dłutami jego środek z górnej strony wydrążyć, a krańce wygładzać.

— Co to będzie? — zapytywał ciekawy Zygmus.

— Stupa — burknął Hryć, spluwając i w dalszą nie wdając się rozmowę.

⁹⁶ *Tok* – tu: klepisko.

⁹⁷ *Stępa* – urządzenia do kruszenia ziarna na kaszę.

⁹⁸ *Palisady* – ogrodzenia w postaci wbitych w ziemię pali.

⁹⁹ *Dobniami* – od *dobnia*: narzędzie drewniane, służące do ubijania lub wbijania czegoś.

¹⁰⁰ *Jął* – od *jąć*: książk. *zacząć*.

Dopiero Franek wyjaśnił Zygmosiowi, że w stępie wytłuka się ziarno jęczmienne lub proso na kaszę za pomocą bardzo ciężkiej, dębowej, jak najwięcej wygładzonej maczugi. Któż dawniej nie słyszał, zbudziwszy się przed świtaniem w zimie, owych z czeladnej kuchni dochodzących przygłuszonych stuknięć: buch! buch! albo hurkotu kamienia młyńskiego z wydrążonym środkiem, obracanego dookoła osi dźwignią. Tak w stępie robiono kaszę, a w żarnach mielono żyto na chleb razowy.

Ale Hania częściej sama, rzadziej przy pomocy Zygmosia, kijanką wymłacała na kamieniu suche lnu łądygi, oddzielając główki z nasieniem; po czym z suchych konopnych łądyg odrzywała owoce główaczy; a zspawszy nasiona, układała wiązki łądyg, osobno lnianych, osobno konopnych, na płytkim brzegu jeziora, przykrywając je z wierzchu ziemią i umacniając tyką.

— Dlaczego moknąć mają te wiązki – pytał Zygmus.

— Czym jest gnicie roślinnych tkanek, wyjaśniał ci dziadziś, mówiąc o bakteriach. łądygi lnu i konopi, moknąć przez parę tygodni, nadgniją; wysuszymy je potem i łatwo już międleniem oddzielimy włókna od paździorów zeschniętych i wskutek nadgnicia skruszały łądygi. Wiesz, co jest międlica lub cierlica?

— Wiem, wiem, przypominam sobie, opowiadał mi i pokazywał Franek: krótka deska z rowkiem na przelot, na dwóch stojąca nóżkach, a nad nią drewniany miecz, do rowka wchodzący, jednym końcem przytwierdzony.

— Doskonale. Uderzając mieczem w łądygi lnu, położone nad rowkiem, pokruszymy je tak, że podpadają wszystkie paździorzy, a zostaną same włókna.

— A z włókien zrobimy nici?

— Nie tak prędko, mój chłopcze. Przędziwo, otrzymane na cierlicy, zawiera jeszcze tyle drobniutkich paździorów i pakuł, czyli poczochronego włókna, że z tego nikt nie zdołałby uprząść nitek. Trzeba jeszcze należycie wycesać je na metalowych szczotkach.

- A pakuły?
- Służą do skręcania długich sznurów lub grubych nitek na worki, także do strzelb na przybitki.
- A nasienie lnu i konopi?
- Na zasiew, na oleje.
- I mama umie z przędziwa zrobić nici, a z nici płótno?
- Umie; przyjemne to w zimie, a tak pożyteczne zajęcie. Widziałeś pewno kołowrotek, który mi zrobił Franek?
- Tak, na kołowrotku robi się nici, a płótno?
- Trzeba krosien. Jest to przyrząd więcej złożony, choć dawno znany. Czy Franek potrafi mi zrobić go, nie wiem.
- Teraz powiedz, co wolisz: czy przypatrywać się, jak tam robią palisady dookoła domu; czy pomagać mi przy robieniu ługu, świec i mydła; czy też może podskoczyć w las po orzechy. Przed zimą musisz sam nazbierać pełną beczkę orzechów, pamiętaj.
- Pobiegnę na orzechy, lecz mamusia mi obiecała pokazać, jak robi się mydło i świece.
- Uściskaj mnie, jesteś roztropny, ciekawy i pracowity, ważne to zalety! Tylko w głąb lasu nie zapuszczaj się za daleko, żebyś nie zabłądził.
- Oho! Całą okolicę znam, jak własną kieszeń. Stąd blisko do takiego leszczyniska, że nazbierać by tam można kilka worów. A wszystko łuskańce, jak воск, żółte i gradem spadające, gdy się leszczynę dobrze potrząsie.
- Więc co dzień odtąd wybiegał chłopak na orzechy, a zbierał je zgrabnie i pracowicie, to potrząsając smukłymi pałkami drzewin, to gałęzie osadzoną na drążku kluczką naginając, aby dojrzały w więdnącej łuszczynie owoc pozrywać.
- Pierzchały na ten widok lękliwe wiewiórki, zazdrośnie przypatrując się z daleka dziwnemu rywalowi.
- W tych wyprawach towarzyszyły mu psy, wydry i łasica. Psy krążyły zwykle daleko, ciągle węsząc; wydry biegły tuż przy no-

gach, okazując miłość ocieraniem się i skubaniem za kierpce; łasiczka zaś najczulej tuliła się ku twarzy i szyi lub skakała po ramionach. Owe wyderki zachwyciły wszystkich lśniącem futerkiem, zgrabnymi ruchami i pojętnością. Znakomicie nauczyły się już aportować skórzane ryby, nie tylko z ziemi, ale z cebrzyka pełnego wody, a nawet z jeziora. Stopniowo przyzwyczajał je doktor do aportowania ryb prawdziwych i obiecywał, że rychło wyuczą się rybołówstwa.

Tymczasem dookoła zabudowań spod pił i toporów, kierowanych żyłastymi ramionami czterech mężczyzn, rosły, jak na drożdżach, coraz wyższe i potężniejsze palisady z grubych bierwion, mocno w ziemię powbijanych, ostro ku górze sterczących, tęgimi spojonych łatami. Cała wskutek tego siedziba podobna była do małej forteczki, zapewniającej bezpieczeństwo przed dzikim zwierzem i rozbójnikiem, a obejmowała nie tylko budynek dla ludzi, lecz także źródło krynicznej wody, mogła tedy nieźle wytrzymać nawet parę tygodni oblężenia. Zamierzano ją zewnętrznym rowem i czymś w rodzaju zwodzonego mostu przed wchodową¹⁰¹ bramą ubezpieczyć.

Z zajęciem śledził Zygmusł postępy tego dzieła, żywo interesując się każdym szczegółem. Ale więcej jeszcze nęciło go zatrudnienie¹⁰² matki.

W wielkim baniaku wygotowywała ona roztwór drzewnego popiołu z wodą; w osobnym naczyniu drewnianym lasowała palone wapno, aby pod ręką mieć mleko wapienne. Następnie przydźwigała z piwnicy spory worek kuchennej soli oraz parę garnków z przegotowanym już i stwardniałym zwierzęcym tłuszczem.

— Wszystko to do robienia mydła potrzebne? — pytał zdziwiony Zygmusł.

¹⁰¹ *Wchodową* – wejściową.

¹⁰² *Zatrudnienie* – tu: zajęcie.

— Nie tylko to; przynieś mi jeszcze ze spiżarni ów woreczek z żywicą, czyli kalafonią; pamiętasz, dziwiłeś się, dlaczego zbierałam ją z jodeł, świerków i sosen.

— Cóż mama teraz robi? — pytał, powróciwszy z żywicą.

— Ług, wygotowany w baniaku, przecedzam przez grube płótno.

— Cóż to jest ług?

— Gryzący płyn, który otrzymałam, rozgotowawszy popiół z wodą. W ługu jest potas, do robienia mydła koniecznie potrzebny, gdyż przy praniu lub myciu łączy się z brudem. Można by także sody użyć zamiast potasu, ale jej nie mamy. Widzisz, teraz, gdy m ług przecedziła, wleję do niego to wapienne mleko; otrzymam z tego gryzący potas, czyli tak zwany ług mydlarski. Poczekawszy nieco, aż się zagotuje, wrzucać doń będziemy kawały tłuszczu, nieustannie mieszając i gotując przez kilka godzin.

— A potem otrzymamy już mydło?

— Niezupełnie, raczej kleistą i nietwardniejącą masę, zwaną szarym mydłem; trzeba ją będzie jeszcze kilkakrotnie wygotować z odpowiednią ilością soli, wskutek czego tłuszcz mydlany oddzieli się od ługu i spłynie na wierzch; i ten dopiero, starannie zebrany i wysuszony, da nam twarde i do prania dobre mydło.

— Do czegoż służyć ma żywica, którą mama kazała przynieść?

— Oprócz mydła do prania, przyda się nam mydło delikatniejsze, wonne i szumiące do mycia się. Osobno tedy w innym naczyniu część mydlanego kleju wygotujemy pół na pół z żywicą. W ten sposób otrzymamy mydło toaletowe.

— A świece?

— Gdy zrobimy mydło, pomożesz mi robić świece. Skręcimy najpierw bawełniane knoty, zawiesimy je szeregiem na drewnianku i tak długo zanurzać będziemy do roztopionego łoju lub wosku, aż nalepi się w dostatecznej ilości. Musimy zadowolić się tym najprostszym sposobem, gdyż nie posiadamy rurek do odlewania ani szklanych, ani blaszanych.

Tak zaznajamiał się Zygmus z różnorodnymi zajęciami domowego gospodarstwa, nie zaniedbując jednak głównego swego zadania – zbierania orzechów.

Ale któregoś dnia wrócił z lasu niezwykle ożywiony i jeszcze zanim do beczki zsypał orzechy, jął dziaduniowi opowiadać o swej przygodzie.

— Zbieram orzechy i nagle słyszę nad lasem coraz większą, rozleglejszą, do ogromnego szumu wody podobną wrzawę. I nawet pociemniało. Patrzę do góry, a tu na wierzchołki drzew i leszczyn spada ogromna, gęsta chmura ptactwa. Furga skrzydłami, trzepoce, krzyczy; zaroilo się na wszystkich gałęziach, na każdym krzaku, w powietrzu, na ziemi, nawet na ramionach moich i na głowie. Pociemniało, w głowie mi zawróciło się; oszołomiony, myślałem, że się zaduszę. Tysiące, setki tysięcy drozdów! Dzia-
duś nie przestraszyłyby się?

— Bynajmniej, mój chłopcze i czegoż? Drozdów?

— Ja zrazu nieco się przeląknę, bo stało się to wszystko tak nagle, że nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Ale rychło przyszło mi na myśl, że drozdy zebrały się do odlotu i spadły na chwilę dla wypoczynku. Więc począłem rozglądać się, a one bez lęku, sia-
dały nawet na moich rękach. Po pewnym czasie zaczęły podlaty-
wać, krążyć, wreszcie ogromną chmurą wzbijać się coraz wyżej, aż z całą wrzawą zginęły pod obłokami. Cóż dziaduś na to?

— Nic w tym osobliwego. Drozdy przed zimą odleciały do południowej Europy i północnej Afryki, gdzie im cieplej będzie, niż tutaj; po zimie wrócą. Widziałeś jak odlatywały dzikie gęsi. Odleciały już do Afryki także wilgi; nawoływały się po nocach, gromadziły i odeszły stadkami polne derkacze, piegże, leśne i błotne kurki. Możeś uważał zeszłego miesiąca, jak po opierzeniu się wesoło świegotały przy ziemi i na drzewach kochane nasze pliszki; cały las wieczorami brzmiał ich gwarem i śpiewem. Aż któregoś wieczora słyhać było ich chóry coraz wyżej, wreszcie szumiały rozzwarem z wielkiej wysokości, zanim nie umilkły zu-

pełnie, pociągnąwszy wielką gromadą ku wschodowi, zapewne do Egiptu lub Azji. Jeszcze dziś widziałem turkawki i gołębie, ale i te niedługo zostaną, już bowiem gromadzą się i wnet polecą ogromnymi stadami nad Nil, a za nimi duże stada wróblowatych: gajówki, dzierlatki, czyże, siewki i szpaki. W tych dniach pokażę ci, jak się zrzeszają przed odlotem bociany, żurawie i inne brodzie. Dnia pewnego z krzykiem wleczą one wysoko pod obłoki, po czym dzień i noc bez przerwy lecieć będą oddziałami. Nad Nil pomkną chyże jaskółki i ze skowronkami krogulce, wreszcie do Włoch – kaczk. Lecz sporo zostanie u nas, na przykład niektóre wróblowate, jak zięby, gile, sikorki, no i sławne sójki, które zbierać się w gromady będą, niby do odlotu gotować, zwodzić, zwlekać, wreszcie pozostaną. Stąd przysłowie: „Wybiera się, niby sójka za morze”.

— Ależ to wszystko cudowne, dziaduniu, takie piękne i jakieś bardzo smutne.

— Czemu smutne znowu?

— Że nas opuszczają te kochane ptaszyny...

— Opuszczają na zimę tylko, bojąc się śniegu, mrozu i głodu. O wiele miłszy i piękniejszy będzie ich wiosenny powrót.

— Ileż to zginie ich w tak dalekiej i uciążliwej podróży!

— Zapewne, zawsze mniej, niż zginęłyby u nas w zimie. Zresztą pomagają sobie w podróży, lecą gromadnie i karnie, korzystając ze wszystkiego, co do ocalenia i odpoczynku posłużyć może. Nic bardziej godnego uwagi, jak to zrzeszanie się i organizowanie wzajemnej pomocy ptactwa podczas wyrojów. Stwierdzono na przykład, że niektóre najdrobniejsze ptaszyny przebywają ponad wielkimi obszarami mórz na plecach ptaków większych, jak na samolotach, a także z wiatrów korzystają.

— I nie pomyślą się w terminach wyroju, nie pobłądzą w locie, wrócą do własnej ojczyzny?

— Do tych samych miejsc, gniazd i siedzib. Wszystko to świadczy, jak potężna jest w przyrodzie moc instynktu, zrodzonego do-

świadczaniem od milionów lat i pokoleń. Człowiek zawsze uczyć się będzie z zasobu tych doświadczeń. Od dawna ptak umie latać, człowiek zaś nie zdołał sprostać mu w tej sztuce. Przypatrz się lotowi tego bąka. Gruby, pękaty, stosunkowo bardzo ciężki, z malutkimi skrzydłami; zdawałoby się, że ciało jego najmniej do lotu sposobne; a jednak jakże zręcznie, sprawnie i szparko lata na wszystkie strony, jak wartko siada, zwraca się, zrywa to w dół, to w górę, to w bok, zakreślając zygzaki i koła, omijając każdą przeszkodę, opór stawiając wiatrom, nieścigle¹⁰³ goniąc w prostej linii. Z dziedzictwa tysięcy pokoleń nabyty instynkt, acz nieświadomy, większą daje pewność, niż sztuka, świadomą wiedzą i jej prawidłami kierowana.

— Za to człowiek świadomie tworzy i samodzielnie, czego nie znajdujemy w naturze.

— Twórczości natury nie dostrzega wzrok chyba bardzo powierzchniowy. Od zarania bytu tworzy ona nowe związki i zjawiska bez przerwy, bez końca, każda zaś istota, każde zjawisko jest tego stwarzania i ogniwem i dowodem.

— Świadomie, czy nieświadomie?

— Mój chłopcze, nie wiesz, jak trudne rzuciłeś pytanie. Przyrodnik musi ci na nie odpowiedzieć: nieświadomie w szczegółach; w całości jednak nieświadoma, zatem bezcelowa twórczość wydawać się musi ludzkiemu umysłowi nonsensem. Tedy na mocy własnej dozy świadomości wierzymy, że istnieje duch świadomy i celową wolą kierujący twórczością natury. Jesteśmy narzędziami i dziećmi tego ducha, drobną iskierką Jego świadomej i twórczej woli, wyposażoną jej rozmnażania darem. Lecz dosyć o tym. Spójrz, jakie wiry wiatru od chmur po konarach pędzą, żółte zrywając liście. Jesień w pełni. Od świętej Hanki, zimne poranki – mówi przysłowie. Biada istotom lekkomyślnym, które ani pokarmu, ani dachu nie zapewniły sobie na zimę. Może

¹⁰³ *Nieścigle* – dawn.: niedościgle.

znasz bajkę o koniku polnym i mrówce. Natura dzieci swoje wychowuje zaiste z żelazną konsekwencją i bez żadnego sentymentalizmu, różgami doświadczeń, od których obietnicami poprawy nikt nie wyżebrze się, których poniewczasie odwrócić żadna moc nie zdoła. Rychło już, rychło od słot do reszty powiędną liście, owoce rozgniją, w drzewach zamrą ożywcze soki; jak borsuk w jamie, tak my schronimy się pod wymoszczone dachy do ogniska, zabezpieczeni palisadami, aby umiarkowanie używać w ziemie zapasów, skrzętną pracą nagromadzonych w lecie.

— Tak, postąpiliśmy roztropnie, gromadząc na zimę zapasy. A jednak, dziaduniu, ogarnia mnie czasem jakaś tęsknota, jakieś niezadowolenie, sam nie wiem z czego i za czym. Czegoś mi jeszcze brak jednak, czemuś zda się, jakby to życie, które w ciągłej i mocnej pracy spędzamy w puszczy, a nie było dla duszy wystarczające. Może jest w tym pragnienie szerszego poznania, głębszego nabywania wiedzy, a może brak ludzkiego towarzystwa i podziału doli ludzkiej i niedoli. Czy dziadziuś nie doznaje czegoś podobnego? Czy myśli, że nie doznaje tatuś i mamusia?

— Jesteś wrażliwy, mój chłopcze i bardziej, niż sądziłem, rozbudzony. Tak, masz zupełną rację. Życie w puszczy nie może w pełni duszy młodej i dzielnej zadowolić. Co do mnie, mógłbym dziesiątki lat w niej spędzać bez niepokoju ducha, byłem miał możliwość i czas uzupełniania botanicznych swoich zbiorów i badań. Udało mi się tu rozwiązać już kilka ciekawych zagadnień i mam nadzieję, że wyniki moich badań, przesłane przy sposobności za granicę, zainteresują uczonych. Tatuś twój i mama są jeszcze weseli i zadowoleni, aczkolwiek nie wiem, jak to potrwa długo. Co się ciebie tyczy, fizycznie i umysłowo zyskałeś tu dużo. Bądźcie cierpliwi, zwalczaj swoją tęsknotę, zwalczaj pragnienie szerszych dążeń i ludzkiego towarzystwa. W samotni karmi się i tężeje duch. Bądź dobrej i spokojnej myśli. Nie zagrzebiemy się w puszczy i ciebie tu nie utopimy, wiedząc dobrze, że głównym celem ludzkiego życia jest pożytecznie dla bliźnich pracować,

Anna Nosek, *Mikołaja Mazanowskiego „Duch puszczy podlaskiej”*

a główną rozkoszą żyć z ludźmi. Rad byś nam już z ptakami do cieplejszych krajów wyfrunąć! Poczekaj, powstrzymaj się, nie stracisz na tym, tylko zyskasz w niewygodach, w trudach, w umiarkowaniu i ciągłym obcowaniu z przyrodą.

XIV
JESIENNA SŁOTA — WIECZORY PRZY OGNISKU —
ROZMOWA O CZYSTOŚCI — ZIEMNIAKI

Deszcze jesienne lały od tygodnia; rozmokły leśne mchy i darnie, strugi wody ściekały po liściach i korze drzew, wilgotne mgły nakryły puszcę tak, że śladu słońca na niebie widać nie było, a pnie i konary bez liści majaczyły, jak blade widma. Wszędzie kałuże, mokradła, błoto, plusk i kapanie wody; z jeziora dochodził aż do mieszkania szum wezbranej fali.

Z konieczności zamknięci w obrębie palisad, nie próżnowali jednak koloniści. To snopy zboża na nowym toku cepami wymłacali; to świeżą słomą i gontami łatali dachy; to suchym w pogodny czas nagromadzonym trzcinowiskiem obszywali ściany zabudowań; to drzewo i smolne łuczywo na zapas rąbali w szopie; to koryto strumienia pogłębiali i brzegi jego umacniali, regulując w podwórzu ścieki, a z desek i kamienia układając wygodne chodniki; zabezpieczali stogi siana, słomy i podściółki, wydobywali gnój ze stajni i obory, wozy naprawiali i uprzęż, strzelby czyścili, narzędzia ostrzyli: słowem różne załatwiali czynności, jak bywa w gospodarstwie, gdzie wszystko w ładzie utrzymuje się tylko czujną, skrzętną i zapobiegliwą pracą, od gnuśnego zaś zaniedbania tak psuje się i rozprzęga, że do uporządkowania poniewczasie i stu rąk bywa nie za dużo.

Franek znowu najwięcej majstrował i medytował w swojej szopie i to nad krosnami.

Wieczory zaś spędzali razem w wielkiej izbie przy buchającym na kominie ognisku, każdy przy jakimś zatrudnieniu. Hania przędała na kołowrotku, doktor z Zygmutem dawne odnowili próby

z kaolinem, Hryć wyplatał z wikliny wędzierze i kosze, z łyka kobiele i postoły, a ze słomy rogoże i maty; Franek do czysta wystrugiwał różne kółka, bloczki i inne części krosien; wreszcie Jerzy obejmował rolę lektora, na głos z książek czytając. Niestety zapas lektury ani był obfity, ani urozmaicony: prócz Biblii przekładu Wujka i Psalmów Kochanowskiego nie było więcej nic, gdyż specjalne i w obcych językach pisane dzieła doktora do wspólnej lektury służyć nie mogły.

— Musi jeden z nas kiedy wybrnąć z puszczy na świat, skoro ustali się pogoda, a ziemia obeschnie — mówił doktor. — Odczuwamy dotkliwy brak wielu potrzebnych rzeczy; nawet szczeniowaniem owocowych drzewek zająć się w roku przyszłym bez zrazów nie będzie można; a chciałbym także odesłać mój rękopis tu wykończony i może listy jakie lub pisma odebrać.

Na to zauważył Jerzy:

— Odczekać z tym wypadnie, aż małymi saneczkami i jednym konikiem uda się przemknąć przez puszczy. Roboty przed zimą sporo jeszcze mamy; przerwała je słota, ale lada dzień ona ustanie.

— Ile razy rozbeczy się taka szaruga, porywa mnie złość — mówił Franek. — Bo niechże tylko wyjrzy jegomość: ciap, ciap, kapie, siąpi, romoli, zbyrce: prawdziwie zwą deszcz taki kapuśniakiem; ani słońca, ni ciepła, wszystko gnije, żółte liście spadają, słotny wiatr dmucha po mokrym poszyciu dachu i po szczelinach. Na duszy smutno; zda się, że na wieki już zostanie taka słota. Oprócz pracy przy ognisku jedynym ratunkiem byłaby krzyna miodu, którego jednak paniusia nam skąpi.

— Nawarzę wam na wigilię Bożego Narodzenia gorącego krupniku z korzeniami. Teraz, co to chciałam powiedzieć? Aha, wiem, żebyście mi izb, szop i stajni nie zabłacali. Ludzie rozsądni nie lekceważą czystości. Tylko gruby prostak bez odrazy żyje w cuchnących i zagnojonych izbach, na brudnych śpi barłogach, do izby włazi w zabłoconych buciskach lub postołach, ani mydła, ani kąpieli nie używa.

— Tego chyba o nas powiedzieć nie można — śmiał się Franek.
— Pani pewno by zemdląła, gdyby tu kto z nas po tych błyszczących matach chodzić zaczął zabłoconymi nogami. Wszystko wymyte, wyszorowane, wytarte, wyczyszczone. A krowy i konie jak w pałacu sobie mieszkają, zawsze wyszczotkowane i na suchej podściółce.

— W porządnym domu gospodarskim inaczej być nie powinno — dodał Jerzy. — Czystość koniecznym jest warunkiem zdrowia.

— Raz to — mówiła Hania — a po wtóre taka miła, tak przyjemnie żyć w czystym domu, na sobie czyste mieć odzienie. Niechlujny brudas nie tylko choroby na siebie ściąga, ale zazwyczaj brudną ma duszę.

— Dziaduś mówił, że najwięcej szkodliwych bakterii lęgnie się we wszelkim brudzie — zauważył Zygmunt.

— Dobrze, że zapamiętałeś. Nie dosyć jednak wiedzieć, trzeba jeszcze nieleniwie w całym życiu stosować się do wiedzy. Ludzie własnym najczęściej niedbalstwem i własną ciemnotą nabawiwszy się nieszczęść, mają zwyczaj obwiniać zły los albo mówić: dopust Boży! Gnuśnik nie wygarnie z obory gnoju, nie wymyje ani nie wyszczotkuje co dzień dobytku, gdy zaś bydłę mu schudnie, osowieje lub zdechnie: dopust Boży! Na podwórzu i w chałupie gniją stopy brudu, z tych zatrutych gniazd rozmnażają się w lecie komary, muchy, myszy, szczury, pchły, na wszystkie strony roznoszące zarazki malarii, cholery, czerwonki, tyfusu i wielu innych chorób; ale gdy on sam, jego żona lub dzieci zapadną na gorączkę, na karkunbuł, na gruźlicę, na czerwonkę, na krosty, na cholera, na szkarlatynę, na raka lub na dyfteryt: znowu dopust Boży!

— Niech no jegomość przestanie zrędzić, bo już mdlić od tego zaczyna. Lepiej proszę nam powiedzieć, kiedy wreszcie wykopujemy owe sławne jegomości bulwy, ziemniaki zwane?

— Wykopuje się je w jesieni przed śniegiem i mrozem, wcześniej nieco, niż wycina się kapustę.

Nazajutrz ustały deszcze, oziębilo się i jasna tarcza lubego słońca rozpromieniła puszcę. Po kilku dniach, gdy obeszło,

koloniści nasi pracowali już w polu, wykopując ziemniaki i resztę ogrodowizny.

Wszyscy szczególnie ciekawi byli ziemniaków. Cały niewielki ich łan oczyściwszy ze zwiędłych łodyg, jedni krok w krok motykami skopywali zagony, inni zaś dorodne żółte lub żółto-fioletowe bulwy zbierali i zsypywali do skrzyni, ciesząc się, że na nowinie i w sypkim gruncie plon był obfity.

— Czekajcie — zawołał doktor — nie przerywając pracy; rozpalę z Zygmuśm wielkie ognisko, a gdy będzie dużo żaru z popiołem, upieczemy kilkanaście bulw, abyście przekonali się, jaki to smaczny pokarm, zwłaszcza z masłem i solą.

Zygmuś z radością skoczył po suche łomaki, za nim nieodstępne wydry, psy i łasica. Za chwilę buchnął potężny płomień, podsycany dorzucanym zarzewiem. Ożywili się i rozradowali wszyscy, zarówno widokiem, jak nadzieją niezwykłego posiłku. Już w stosie popiołu i żaru pieką się bulwy. Już zwołuje doktor całe towarzystwo na biesiadę, a Hania wydobywa sól i masło z kobieli. Doktor poucza, jak zdejmować zwęgloną łupinę, sam świeci przykładem, ostudza, osala, nakłada świeżego masła i ze smakiem zajada, zachwycając się pysznym pokarmem. Hryć i Franek kiwają głowami z niedowierzaniem, widząc jednak, że inni jedzą bez obawy, decydują się sami.

— Dalibóg niezłe — woła Franek — sypkie i smaczne jakiś niby pański pokarm, nie to, co groch, fasola, pęczak, ale ujdzie. Czy jegomość tylko pewny, że nikt od tego nie zachoruje?

— Najpewniejszy, mój Franku, jedz bez obawy.

— Wątle jednak. Grochu ze słoniną zjesz miś, dobrze poczujesz, żeś syty; tego trzeba by zmachać chyba pół korca, żeby poczuć.

— Nie to, co groch i fasola — mówi Hryć, spluwając.

— Ale suto wyrasta i uprawy wielkiej nie wymaga, przeto stanie się może kiedyś głównym pokarmem ludzi pracowitych i skromnych — dodał doktor.

XV
KOLONIA BOBRÓW – WALKA ZE ZBÓJAMI –
GDZIE ZYGMUŚ?

W nocy była śnieżycą, lecz niedzielny ranek wstał z przymrozkiem w blaskach słońca. Po modlitwie, Hania wróciła do domu, mężczyźni zaś, zaopatrzeni na parę dni w żywność, wyruszyli ku drugiej stronie jeziora, aby zbadać, w jakim stanie było bobrowisko. Jak zwykle wszyscy, prócz Zygmunta, byli uzbrojeni, choć nie mieli zamiaru polować. Zygmuntowi towarzyszyły nieodstępne psy, łasica i wydry.

Szli wesoło po skrzepłej od przymrozku ziemi, między drzewami ze śnieżną, zaiskrzoną szadzią.

Przed wieczorem dotarli do kolonii bobrów i z zajęciem oglądali olbrzymie tamy, setki stożkowatych domków, na brodzisku sterczących – i nadbrzeżne przestrzenie lasu, ostrym zębem zwierzętek mocno przetrzebione.

— Ciesz się — mówił Jerzy, gdy usiedli do posiłku — że kolonia bobrów tak znacznie się rozmnożyła. Kilkaset zimowych skórek pewnych, każda po dukacie.

— Gdybyś bliżej poznał, jak zapobiegliwie i porządnie one żyją, może byś się zawahał przed eksploataowaniem ich skórek — zauważył doktor.

— Proszę jednak spojrzeć — odpowiedział Jerzy — jak one las dookoła zniszczyły. Po roku lub paru latach przeniosą się w inne miejsce, by coraz dalej szerzyć spustoszenie.

— Bądźmy szczerzy, mój drogi, o cenne skórki chodzi ci, nie o lasów ochronę.

— O jedno i drugie.

— Ale więcej o skórki.

— Nie przeczę. Słusznie mi przecie należy się jakiś dochód z puszczy, zwłaszcza, gdy muszę się z tym liczyć, że nie na całe życie tu zagrzebaliśmy się, że o edukacji i stanowisku Zygmunia w świecie nie wolno nam zapomnieć. Nie z chciwości tedy na grosz, lecz z godziwej potrzeby myślę o tym dochodzie.

— Z zabijania bezbronnych...

— Wszak nieraz już musieliśmy i jeszcze będziemy zmuszeni różne zwierzęta zabijać; o wytępieniu bobrów wcale nie myślę.

— Nie chcę się z tobą sprzeczać, tylko muszę się wymówić od udziału w tym gromadzeniu bobrowych skórek na handel.

Wśród tej rozmowy nagle zerwali się, pełni zdziwienia. Z odległości bowiem niewielkiej dały się słyszeć strzały: jeden, drugi, trzeci... W zapadłej puszczy wydało się to zrazu czymś niepojętym. Od tyłu miesiący nie spotkali żadnej żywej duszy ludzkiej. Strzały powtórzyły się, a w przerwach dochodziła nawet wrzawa, jakby krzyki o pomoc.

Przypomniał sobie Jerzy, że nieopodal znajduje się szlak handlowy. Zagrała w nim krew rycerska. Stanowczo i szybko zadysponował:

— Zygmus! tu zostanie, ukryty w krzakach, inni opatrzyć broń i naprzód z Chanem i Bejem. Zbójcy!

Ale Zygmus przyskoczył do ojca, prosząc:

— I ja, i ja pójdę; umiem strzelać.

— Rzekłem, tu zostaniesz i na nas zaczekasz.

Zniknęli między drzewami, Zygmus zaś, choć z przykrością, musiał spełnić wolę ojca, zaszył się z wydrami i łasiczką w krzewinie i czekał z zapartym oddechem.

Tamci zaś zrazu biegli, potem czołgając się podchodzili ostrożnie i oto zza krzewów i drzew odsłonił się im wreszcie niezwykły widok.

Na leśnej polanie uwijali się zbóje w plugawych szatach, z zarostem długich włosów, olbrzymich bród i wąsisk. Dwóch odwle-

kało zabitego, czy ciężko rannego człowieka do zarośli, dwóch kończyło wiązać jeńców, inni krążyli koło wozów, uspokajając spłoszone konie i grzebiąc w towarach. Tej dzikiej scenie ponurego wyrazu dodawał dym, unoszący się z podeptanego w bitwie ogniska, przy którym sterczał wywrócony kocioł i broczyły niedopieczony mięsiwa. Raz po raz rozlegały się wśród dzikiego charkotu wyuzdane ich klątwy i wybuchy ich niepohamowanego śmiechu. Wreszcie wrzeszcząc, wydobyli z wozów beczułki, worki, puzdra z zapasami, dźwigając je do ogniska. Jedni legli na murawie, drudzy dorzucali łomaków, od których buchnął silny płomień. Widocznie po zwycięstwie zamierzali wypoczywać i ucztować.

Bacznie śledził ich i obliczał Jerzy. Sześciu było, wszystko barczyste, żylaste, zuchwałe draby, z wyrazem zwierzęcej namiętności na szczękach, z nożami i pistoletami za pasem. Czuli się zupełnie bezpieczni, gdyż w jedno miejsce odrzucili zbrojeckie pałki i strzelby, żadnej nie postawili straży i nie hamowali krzyku. Herszta poznać było można po posępnej twarzy, po bogatszym uzbrojeniu i po rozkazach, które wydawał.

Szereg powiązanych pachotków konwoju i kupców opodal leżał bez ruchu. Konie odprężone i popętanę wyskubywać jęły trawę ze śnieżnej runi.

Zbóje zaczęli pić i ucztować. A ponieważ wyuzdany gbur i bandyta zawsze taką ma naturę, że nigdy i w niczym nie zdoła być powściągliwy, więc i oni przebrali wszelką miarę. Rychło doszło do tego, że jedni, z nóg zwaleni, chrapali, dwaj zaś inni po pijacku naigrywali się i znęcali nad powiązanymi; tylko herszt mało pił, leżał, łokciem podparty i ponuro całej przyglądał się scenie.

— Moglibyśmy tę bandę, od bydłat gorszą, co do nogi teraz wytępić — mówił szeptem Jerzy. — I doprawdy taki czyn byłby może najpożyteczniejszy.

— Jezus, Maria! Jerzy! Co się z tobą dzieje? — Zawołał zgorzsony doktor. — Jak to? Zabijać zbrojecką metodą niemal bezbronnych i beż żadnego sądu?

— Wszak uwolnić trzeba kupców!

— Zgoda! Nic nas jednak nie zmusza do mordowania zbójców. Niech sędzi Bóg. I może niejeden przed tym sądem więcej stanie uniewinniony, niżeli z nas który.

— Mamy pozwolić, by dalej rozbijali i grabili?

— Bynajmniej! Możemy powiązać i kupcom powiązanych oddać, aby ich podali ludzkiej sprawiedliwości.

— Nie kijem, to pałą! Niechże będzie! Trzej śpiący nie groźni; powiązemy ich łatwo, o ile po pierwszych strzałach nie dadzą drapaka. Trzech innych musimy zmóc w ręcznej walce. Ojcu wyznaczam tego z krwawą szramą na pysku, który teraz kupcowi wydobywa portfel; Hryć zwiąże owego ryżego diabła w jakimś na poły wojskowym stroju; ja uporam się z hersztem. Każdy z nas wystrzeli dla popłochu, po czym rzuci się na upatrzonogo, aby nie wydobył ani noża, ani pistoletu. Bardzo ważną rolę wyznaczam tobie, Franku. Równy ze strzałami, w lot z Chanem i Bejem skoczysz, rozwiążesz kupców i broń im porozdzielasz. Tylko dokonaj tego piorunem, aby natychmiast obezwładnić i powiązać trzech śpiących zbójów, nie dając im chwili czasu do oprzytomnienia. Pamiętaj, od szybkości zależy połowa powodzenia. Musisz, uporawszy się z kupcami, pacholkami i śpiącymi zbójami, także nam pospieszyć na wszelki wypadek z pomocą. W imię Boże! Po wystrzeleniu z krzykiem rzuci się każdy na upatrzonogo. Raz, dwa — ognia!

Huk, krzyk i dym zmieszały się z ogólnym zamętem. Prócz bezładnego ludzi i zwierząt kotłowiska, tupotania, charczenia i psów ujadania, dobrą chwilę nic więcej nie można było rozróżnić. Pierwszy Franek ze zwykłą fantazją dokonał swego zadania, niestety niezbyt pomyślnie. Zanim bowiem uwolnił powiązanych i broń im rozdał, z trzech śpiących zbójów dwóch oprzytomniawszy umknęło, tylko trzeci popadł w takie przerażenie, że go obezwładniono łatwo. Wówczas dzielny Franek rozejrzał się w sytuacji. Nie była świetna. Trzech silnych i dzikich drabów, zaatakowanych przez Jerzego, doktora i Hrycia, broniło się wściekle, z zażartą rozpaczą.

Wnet pojął, że największe grozi niebezpieczeństwo doktorowi, który nieszczęsnym trafem potknął się w zapasach i na wznak runął, z czego korzystając jego przeciwnik przygniótł mu pierś kolanami, żylastą łapą dusił za gardło, a drugą po nóż sięgał. Przyskoczyć z tyłu i chwycić zbroja za ramiona było dziełem jednej chwili. Pospieszyło z pomocą dwóch jeszcze kupieckich pacholków. Wspólnymi siłami związano draba, a doktor, który był już dobrze posiniał, odetchnął głęboko i z wolna dźwigał się z ziemi.

Tymczasem i Hryc pokonał swego przeciwnika, którego zjadł psy szarpały, ujadając z tyłu. Najdłużej trwała walka Jerzego z hersztem bandy. Był to rosty, barczysty, smukły, w pełni sił atleta; nos orli, krucza broda, twarz sępia, szyderstwem i zaciętością zionąca, oczy pełne błyskawic znamionowały niepospolity typ bandyty. Bronił się jak od niechcenia, ale przytomnie i z zimną krwią, bacząc czujnie na każdy ruch przeciwnika. Lecz i Jerzy był graczem nie lada jakim. Zwarli się, jak w cyrku, gdy dwaj siłacze wedle wszelkich prawideł zapaśniczej sztuki prężą się w kleszczach ramion i w żylastym rąk uścisku, pragnąc jeden drugiemu do reszty siły wysączyć, by potem na obie obalić łopatki. Chciano spieszyć Jerzemu z pomocą. Warknął przez zęby:

— Precz, i psy na smycze. Sam podołam! Niech wie, że nie zbrojecką modą walczę i pozna swą hańbę!

Do żywego te słowa rozjuszyły herszta. Z nadludzkim wysiłkiem chwycił Jerzego oburącz, uniósł do góry i cisnął; zdawało się, że na miazgę stłucze. Jak piłka jednak, ciśnięta o ziemię, tak Jerzy zerwał się sprężyste na nogi i znów ramionami objął herszta. Pot kroplisty zrosił czoła obu walczących. Zmagali się długo, otoczeni kołem świadków, którzy w niemej trwodze śledzili każdą zmianę walki, widząc, że herszt przytomnością i siłą bynajmniej nie ustępuje Jerzemu, a może go nawet przewyższa. Lecz widz bacniejszy byłby już dawniej zauważył na twarzy zbroja coraz wyraźniejsze ślady znużenia, coraz gęstsze strugi potu. Kropla po kropli z potem uciekała razem wszelka moc z jego ramion, twarzy i piersi.

Nie wiedziano jeszcze, że był od czyjegoś strzału ranny w piersi, że z tej rany krew drobnymi strumykami spływała mu pod odzież. Wreszcie skurcz twarz mu wykrzywił zbiełałą, jak płótno i rozluźnił mięśnie rąk, nóg i całego ciała. Zwolnił go wówczas Jerzy; on zaś chwiał się jeszcze jakiś czas, na próżno usiłując wołać ożywić mdlejące członki i nagle runął na ziemię, niby rażony gromem.

Wtedy kupcy dziękować jęli naszym kolonistom za ocalenie. Ale doktor położył kres tym podziękom.

— Nie czas na grzeczności. Opatrzeć trzeba rannych, pozgromadzać towary, doprowadzić wszystko do porządku i siły po walce skrzepić. Widzicie, jak leżąc na ziemi ciężko dyszy syn mój, który walczył z hersztem.

Więc kupcy zaczęli krzątać się po obozie i napoje krzepiące rozdawać swoim zbawcom. Inni oporzędzali wozy i konie, inni rozniecali ognisko i nad ogniem zawieszali kotły z jadem i różny z mięsiwem.

A tymczasem chmury zasłoniły zachód słońca i z nieba poczęły łagodnie, ale gęsto spadać białe, miękkie płatki śniegu.

Doktor zaś opatrzył już lekkie rany dwóch pachołków; zbadawszy, że trzeci potężnym ciosem zbójeckiego czekana był zabity, kazał kopać grób pachołkom; po czym przystąpił do herszta, który nie odzyskał jeszcze przytomności. Rozluźnił mu odzież pod szyją, odsłonił piersi, ucho przyłożył do serca.

— Żyje, tylko omdlał ze zmęczenia; ba, koszula zakrwawiona, prawie płuco blisko obojczyka przedziurawione; ktoś pewno z naszych przypadkiem go trafił, lecz rana nie zda się ciężka. Przynieście wody i flaszkę z winem.

Począł czoło i piersi zmywać zimną wodą i przez zaciśnięte zęby do ust wlewać wina. Ranny wracał do przytomności, wreszcie ciężko podniósłszy powieki, rzucił się zaczął, jakby pragnąc powstać.

— Poniechaj próżnych wysiłków — mówił doktor — ranny jesteś w piersi. Opatrzmy ranę, byś wyzdrowiał.

— Dobijcie, psubraty — jęknął, zdjęty bezsilną nienawiścią.

— Zowiesz nas psubratami, nie wiedząc, że nie znajdujemy w tym przewisku obelgi, gdyż i psom żadnej nie wyrządzamy krzywdy.

— Z tyłu dźgacie, jak żmije!

— Tyś jak napadł kupców? Strzelaliśmy dla postrachu, a ciebie trafili przypadkiem. Bóg kulę niósł, aby pokarała twoje zbrodnie. Zabiliście pachołka, trzech innych poranili, cudze mienie rozgrabili. My zaś życie stawiali w obronie niewinnie pokrzywdzonych.

— Tfu! Obłudnicy! Dobij, nie znęcaj się, albo własnym udławię się językiem.

— Jeśli się nie uspokoisz, każę cię związać i ocalę wbrew woli. Ale herszt znów popadł w omdlenie, po ocuceniu zaś — w obojętne bezwład, pozwalający zmyć ranę spirytusem i obandażować.

Nagle Jerzy, który do tej pory wypoczywał po walce, krzyknął:

— Franek, zapomnieliśmy o Zygmusiu. Czym prędzej biegnij i tu go przyprowadź.

Pobiegł Franek. A inni krzepili się jadłem, nie zapominając o powiązanych zbrojach, rozbijali namioty na nocleg i naradzali się, co uczynić nazajutrz.

Ale Franek długo nie wracał, a już dobrze zmierzchło. Wreszcie przybiegł zmęczony i niespokojny. Wszędzie szukał, wszystkie krzewy w znanym miejscu zbadał, krzyczał i nawoływał, aż ochrypł: nigdzie żadnego śladu.

Mocno tym zatrwożeni, straż przy obozie zostawiwszy, bez zwłoki wyruszyli z psami, w szerokim kręgu przeszukując okolicę, nawołując, hukając, krzycząc, z flint strzelając. Wszystko na próżno: przepadł, jak kamień w wodzie. W ciemnej nocy i z powodu nowego śniegu nawet psom trudno było tropić po śladach. Zrozpaczeni, z nóg spadając, wrócili późną nocą, postanawiając zaraz o świcie dalsze czynić poszukiwania.

Ani Jerzy, ani doktor do świtu oka zmrzyć nie mogli, wciąż rozmyślając o chłopcu: czy mu do głowy przyszło wracać do domu,

czy może uwiedli go ze sobą dwaj zbiegli zbóje. Pierwsze nieprawdopodobne, pozostało drugie, stokroć gorsze. Lecz w jakim celu zagarnęli go, sami pościgiem zagrożeni? Dokąd zawlekli? Do czego zmuszać zechcą? Czy chłopak wytrzyma trud i jak stawiać będzie czoło niebezpieczeństwu? Jak i gdzie go jeszcze szukać?

Świt ranny nie przyniósł skuteczniejszej rady. Chorego herszta, którego zmagać poczęła gorączka, niepodobna było zostawić kupcom. Uradzono tedy, by Jerzy i Franek jeszcze raz wyruszyli z psami na poszukiwania, doktor zaś, z kupiecką furmanką i pachołkiem, miał odwieźć herszta do domu kolonistów, a cała karawana zacząć na powrót tej furmanki.

Przy pożegnaniu kupcy ze łzami błogosławili swych wybawców, suto napelniając całą furę różnymi dla nich podarunkami.

XVI KARMIEŃIE PTAKÓW – DYSKUSJA

Nic tak nie dręczy, jak długie oczekiwanie w obawie nieszczęścia. W takiej obawie była Hania, zanim przyszła wiadomość o walce ze zbójami i porwaniu Zygmunusia. Zmartwiła się, ale nie beznadziejnie.

— Moja droga — uspokajał ją doktor — Zygmunusiowi nie stanie się nic złego, odszukają go. Tymczasem pomożesz mi wyleczyć tego zbrojka, którego przywiozłem. Z wielu oznak wnoszę, że w duszę on ciężiej ranny, niż w płuca; kulę z płuc wyjmę i ziołami zaognienie ugaszę, ale trudniej z duszą. Kto zgadnie, jaka kula w niej siedzi, zwłaszcza że ma się do czynienia nie z prostakiem, lecz z naturą lepszą, tylko bardzo szyderczą i na cały świat rozstrożoną. Dobrym na to lekarstwo bywa przekonać, że nie wszyscy są źli, jak sobie uroił. Postaramy się pogodzić go z ludźmi i światem, z czego obiecuje sobie dużo zadowolenia. Zbój, ale bliźni.

Hania, z natury dobra i gościnna, rozwijała wszystkie zasoby gorliwości i współczucia, byle ranny czuł się w ich domu jak najlepiej. Pomieszczony na wygodnym łóżu w obszernej i jasnej izbie stołowej, majaczył zrazu w gorączce, klnąc na świat i rzucając się niespokojnie. Niełatwo doktor wyjął mu kulę i założył bandażę, czego jedynie dzięki pomocy kupieckich pachotków dokonać zdołał.

Śnieg przestał padać; po posiłku tedy pod wieczór, pachotek kupców, złożywszy przywiezione dary – beczkę przedniego wina, sztukę sukna i drugą płótna, baryłkę prochu, puzdro roźdzynków i migdałów – odjechał. Hania zaś i doktor, zobaczyw-

szy, że ranny zasnął, ułożyli się także do wcześniejszego wywczasu. Ale długo sen nie sklejał ich powiek.

Nadszedł poranek i znowu dzień minął bez wieści. Ani następne żadnej nie przyniosły odmiany, oprócz tej jednej, że ranny herszt czuł się znacznie lepiej, gdyż zasypiał częściej, rzadziej we śnie majaczył, mniej się miotał i pokarm chętnie przyjmował. Na Hanię zaś spoglądał jakimś błędnym wzrokiem, jakby wahając się, czy dziękować ma, czy podejrzewać. Zwykle coś burknąwszy pod wąsem i twarz niecierpliwym skurczem wykrzywiwszy, odwracał się po jadle do ściany i udawał, że zasypia.

Natomiast doktorowi przy każdym zakładaniu opatrunków dogadywał:

— Godna metoda: umyślnie i podstępnie zranić, a potem rany czule leczyć; na rzeź ludzi bagnetami pędzić, potem pomniki im stawiać.

— Mówiłem prawdę: przypadkiem postrzelono cię; to, żeśmy kupców bronili, nie było grzechem.

— Cha, cha! Grzech, obraza Boża, niebo, piekło, pokuta! Dalejże, odmawiaj swą litanie, może nawrócisz zbójcejką duszę. Przekłete świętoszki! Nigdzie uciec przed wami!

— Jeszcze trudniej przed samym sobą.

— Znowu kąsasz! Zaraza na was!

— Klnij sobie, jeżeli ci to ulży, byleś nie miotał się, gdyż bandaże pozrywasz.

— Coście z kamratami mymi uczynili?

— Dwóch uciekło, inni w tych moc popadli, których pozabijać i ograbić chcieli.

— Bodaj byś przepadł!

— Bodaj byś wyzdrowiał!

— Dla korzyści jakiejś schlebiasz.

— Po sobie sądzisz.

— Czemuś nie zadusił od razu?

— Nie jestem rzeźnikiem, katem, ani zbójcem.

— Ani zbójem, pewno przebraną babą lub opatem. Licho was przyniosło. Smołę pędzicie? Szpiegujecie?

— Osadę rolną zakładamy.

— Porządni! A ta z oczyma sarny?

— Żona owego, co cię zmógł, a moja synowa.

— Byłbym mu gnaty połamiał, jak patyki, gdyby nie postrzał. Gdzież on? Wstydzi się pokazać?

— Za synem chodzi, którego mu porwali pono¹⁰⁴ zbiegli twoi kamraci.

— Nie oddadzą żywcem, jeśli porwali, chyba w zamian za mnie. Lecz i mnie odbiją.

— Nie potrzebują odbijać. Pójdiesz po wyzdrowieniu, dokąd wola. A chłopca nie zjedzą. Co im po tak młodym?

— Każą mu drogę do was wskazywać, a nie zechce, zamęczą.

— Nie wstyd kumać ci się z dzikimi bestiami?

— Wyzuci z praw, ze stryczkiem na szyjach, mają całować wasze nogi?

— Mógłbyś im posłać nakaz uwolnienia chłopca.

— Masz mnie za głupca. Z jamy ich wykurzyć chcecie. Nie-doczekanie! Nie wy do nich, oni do was znajdują drogę i raz na zawsze wykurzą.

Zmęczony rozmową umilkł, doktor zaś, groźbą zaniepokojony, pogрузił się w smutnych dumaniach. Herszt nie wyzdrowieje przed upływem tygodni. Jak go w tym czasie wymienić za Zygmu-sia? Wytropić zaś zbójnicką jaskinię i siłą chłopca odbić – jeszcze trudniej. Do zdrady go nie zmuszą, prędzej na śmierć zamęczą.

Po kilku godzinach, rannemu, który się rozbudził, przyniosła Hania posilnego rosółu. Wypił i widno tłumiał wyrazy, cisnące się na usta. Widząc okna, błonami¹⁰⁵ zakryte, prosił, by je rozwarła.

— Mróz, choć słońce świeci — zauważyła Hania.

¹⁰⁴ *Pono* – prawdopodobnie.

¹⁰⁵ *Błonami* – kotarami, zasłonami.

— Przywykłem, powietrza brak.

Więc rozwarła i równocześnie kazała Hryciowi rozniecić na kominie ognisko.

Przez wyloty okien czerniały palisady, na tych zaś w niewielkich odstępach szerokie przytwierdzone były stolnie. Właśnie przed chwilą nasypała tam Hania rozmaitego ziarna i widno co dzień o tej porze to czyniła, gdyż wielkie roje ptactwa z ćwierkaniem, gwizdaniem, czyrykaniem, szumem skrzydeł zlatywały z sąsiednich gałęzi, z dachów, z palisad, nawet z dalszych stron puszczy. Strzyżyki do góry zadzierały ostre dzióbki, migocąc to główek swych czerwienią i czupurną ich koronką, to zielenią skrzydełek. Malutkie mysikróliki, zwane także wołowymi oczkami, przekomarzały się tamtym, zalotnie białymi brewkami kokietując; zwabione ziarnem, przerywały dźwięczne trele, jedyny koncert zimy, a teraz szczebiały:

— Cek, cek! Smaczne ziarenka!

Dzięciołki różnobarwne, zarówno czarne, jak pstrokate i zielonawe, przenikliwie krzycząc: „klik-klik!”, „kirr-kirr” – falistym lotem spadają z drzew szpilkowych. Rozczarowane jednak wołają:

— Pik, pik! Zawód, zawód! Nie ma korników, nie ma mrówek, nie ma larwek.

A jednak kręcą się, nie odlatując, pilnie i ciekawie na wszystkie rozglądają strony, wypytują, o wszystko się troszczą, we wszystko swoje dzióbki wtrącają, choć nie są na ziarna łakome, gdyż wolą kuć i kuć w grubej korze.

Najwięcej zlatuje się sikorek. Świergotliwe, ruchliwe, wesołe, kręcą się i skaczą, jak pensjonarki: takie same mają białe kryzki na szyjach, takie same żółto-czerwone na głowach kapturki. Wesoło szczebiają:

— Cit-cit, cit-cit! Dobre życie, przyjemne, nawet w zimie, choć zimno i głodno.

— Jak to? I tyś tu, szczygiełku? Czy nie z samego krańca puszczy? Moje uszanowanie panu dobrodziejowi, tak uroczyście wystrojonemu w czarno-żółty fraczek! Ależ błyszczą ci czarne oczka

i czerwone na twarzy raczki! No, no, nie wstydzmy się, każdemu biesiada miła. Może byśmy tak zaśpiewali cokolwiek dla jej urozmaicenia? O, najszcześniejsze na świecie istoty! Życie sobie bez żadnej troski o jutro, ani orząc, ani siejąc, lśniącymi ciesząc się barwami piórek, wyśpiewując, latacie pod słońcem, między drzewami i krzewami, jak w raju, zawsze rozmowne, taneczne, rozbawione, nawet w mrozie, nawet w głodzie! Patrzcie, i gil, kanonik katedralny, nie pogardził uczcą. Jak to zadziera czarny beret, odsłaniając purpurowe podgardle piersi! Jak pysznie nadyma niebieskie swoje aksamity na grzbiecie! Jak dumnie kręci czarnym ogonkiem! Dziw, że nie umknął jeszcze przed śniegiem pod błękit włoskiego nieba. Widno lekka będzie zima. — Tak dogadywał doktor, stojąc przed oknami. Jego gestykulacja, jego rozjaśniona twarz, entuzjazmem pałające oczy, miłością i dobrotliwym zapałem głos tchnący, świadczyły, że szczerze i bez opamiętania rozkochany był w leśnych ptaszynach.

Ranny spoglądał z coraz większym zajęciem, podziwiając zachwycone twarze Hani i doktora. Wreszcie burknął:

— Głupie są.

— Bez świadomości, więc niewinne; bez fałszu, więc piękne; bez winy, więc wesołe.

— I bez rozumu, więc głupie. Po co to karmienie?

— Mamy pozwolić, by tysiącami ginęły w ziemie?

— Natura nie tylko tworzy, lecz zabija także. My nie stworzyliśmy, przeto zabijać nie mamy prawa. Uszkodzić, ukąsić, zranić, zabić – lada wilk potrafi. Uleczyć, ożywić, ozdobić, stworzyć jest zasługą, kulturą, sztuką. Wolimy Boga naśladować, niż wilka.

— Ach, znowu Boga! Ciągle to imię powtarzasz. Za pan brat z nim jesteście, może nawet widujecie go?

— Ani rozumem, ani wzrokiem śmiertelnym istoty Jego nikt nie ogarnie. Ale uczuciem odblask piękna i wszechmocy Bożej odczuwamy w sumieniach własnych, w przyrodzie całej, w ziarnie piasku i w gwiazd niezliczonych rojach.

— W taki sam sposób i diabła pewno widujecie?

— Jak mrok i światło, jak grzech i cnotę, jak śmierć i życie, jak chorobę i zdrowie, jak nienawiść i miłość.

— Wieczna tedy wojna między białym i czarnym Bogiem, a zwycięży mocniejszy?

— Pytać, kto mocniejszy, może tylko ten, który Boga wyobraża sobie niby żołnierza w hełmie, z toporem i dzidą, nogami deptającego buntowników. Piekło świata zwycięża Bóg mękami, na krzyżu rozpięty, a grzech każdy sam osądza i potępia siebie, sam sobie tworząc piekło.

— Na co Wszchemogący zgadza się, choć z przykrością. Tak właśnie myśli każdy klecha.

— Nie, nie, tylko myśląc o życiu, muszę równocześnie myśleć o ciągłej przemianie, zmierzającej ku coraz większej doskonałości.

— A jednak wierzysz w wieczne potępienie.

— Wolność nie może być równocześnie przymusem, daje tedy swobodę gnicia w śmierci materializmu i najcięższego z grzechów, zastoju ducha. Każdy musi wybierać, każdy zmagać się wśród męczarni i pokus ku zasłudze, ku postępowi.

— Bicz na głupców. Z podłego strachu stworzyliście sobie tyrana na wzór i podobieństwo bałwanów z koronami.

— Z podłego strachu — mówisz? Było i to ziarno; może i dziś jeszcze wydaje się jedyne krecim mózgom. Z marnego ziarna — przepychy kwiatu! Nie strachem zdumienie wobec tęczy wschodu i zachodu słońca; nie strachem wstrząs nieskończoności na widok zenitu z mleczną drogą w noc czerwcową; nie strachem w bezmiarach duszy wszelkie drgnienia miłości, zachwyty, uwielbień i górnych upojeń! Powiedziałeś: bicz na głupców. Może bicz, tylko nie tyrana, lecz ojca — na wszystko, co się szamoce w bagnach lenistwa, gnuśności, głupoty, przesądu, zastoju, zdziczenia, zmysłowych i namiętnych opętań. Bicz ten ojcowski głazom otwiera usta, drzemiące nerwy, jak struny, napręża i skażenia przodków oczyszczającym ogniem leczy w dzieciach.

— Miła naprawdę rzecz to leczenie. Od iluż to setek tysięcy lat katusze dręczą najniewinniejszych!

— Niełatwo zrozumieć — przerwała Hania — czemu cierpienie jest czymś koniecznym i pożytecznym, zwłaszcza gdy spada na niewinnych. Co do mnie, nie lubię tych kwestii roztrząsać; każdy ból jest bólem i niczym więcej. O, jakże pragnęłabym każdemu nieść ukojenie, nie zastanawiając się, ani rozumując, gdyż i sama oto, jak dręczony robak, wije się w męce na myśl o mężu i dziecku, które nie wiadomo gdzie i jak cierpi.

Wlepił w nią herszt zbójów wzrok uporczywy a błyszczący, nie odrywając, aż odwróciła twarz do ogniska i zaczęła poprawiać głownie, choć nie było potrzeby. A przez usta zbója przemknął szept mało pochwytny:

— Tak samo tamta mówiła.

Na drugi dzień rano po śniadaniu odezwał się herszt do Hani:

— Jezioro to nazywacie Dolną Tonią. Kilka dni drogi pieszej borami ku północy jest drugie, zwane Górną. Tam wyspa, na niej głąz z żerdzią. Niech kto moją kartę zaniesie, do żerdzi przyczepi i jeden dzień nad brzegiem zaczeka. Odbierze waszego chłopca, jeżeli go moi schwycili.

— O, dziękuję ci, dobry panie! — zawołała do łez wzruszona i rozradowana matka, składając obie ręce.

— Jeszcze go nie macie; a chociażby, to i tak nie mnie dziękujcie.

Rzekłszy to, oddał kartkę, a sam odwrócił się do ściany. Długo radzono, kto i jak ma wykonać zlecenie herszta. Wreszcie doktor postanowił wyruszyć sam sankami o jednym koniku, zwłaszcza że śnieg był znaczny, a w sanie zabrać można było i odzieży ciepłej, i żywności.



XVII
ZYGMUŚ I ZBÓJE —
DRUGIE NAWIEDZENIE DUCHA PUSZCZY

Zygmus, zaszyty w gęstych krzakach, siedział czujnie nasłuchując. Kilkumiesięczny pobyt w puszczy już był go znacznie zahartował i wyposażył w rozwagę. Bez obawy niebezpieczeństwa, jedynie z przezorności, obliczył na wszelki wypadek zapasy, zestawione w torbie, obejrzał strzelbę i torebkę z prochem, przekonał się, że w kieszeni ma krzesiwo, ręczny nóż i nabity pistolet. Zadowolony i syty, głaskał łasicę, która mu wskoczyła na ramiona i wydry, do nóg przytulone. Odgłos kilku równoczesnych strzałów zwiastował mu rozpoczęcie walki. Nie miał obawy.

— Oho — myślał — kilku takich zuchów, jak tato, dziaduś, Franek i Hryć, da radę nawet dużej bandzie zbójcekiej.

Niedługo potem słyszy trzask łamanych gałęzi i tuż w nagłym biegu omal nie potrąca go dwóch drabów, uciekających przez zarośla. Na widok chłopca stanęli:

— Ty co tu? Skąd? Kto?

Ale chłopak, zerwawszy się, dumnie odpowiada:

— A wy co za jedni i skąd?

Zaskomliły wydry, łasiczka z wściekłym parsaniem skoczyła do twarzy draba i byłaby mu ją rozdarła, gdyby się był oburącz nie obronił, ciskając ją w krzaki. A drugi kułakiem w plecy tak silnie ugodziwszy chłopca, że potoczył się i padł na ziemię, warczał:

— Tyś taki, szczeniaku, poczekaj, poznasz, cośmy za jedni. Po czym łąpczywie porwawszy strzelbę i torbę, a Zygmutia rękami ścisnąwszy, jak żelazną obręczą, bez zwłoki pogonili, wlokąc go ze sobą.

Pędem przez zarośla po korzeniach, łomakach i kłodach, gnali bez tchu wśród mokrych płatów padającego śniegu. I trwała ta ucieczka bardzo długo bez żadnej przerwy. Biedaczysko potykał się, padał ze zmęczenia ledwo oddychając, spocony, podrapany łomakami, do pośpiechu nagłony groźbami, kłątwaniami i kułakami. Chłopak, wszystkich sił dobywając, zaciskał zęby i powtarzał sobie w duchu:

— Wytrwać, tylko wytrwać i nie pokazać tym zbójom słabości!

Dopadli wreszcie do wąwozu leśnego, a w nim do kryjówki, zarośłami i zwałami pni gęsto przykrytej. Tam skałą i krzakami zakryci, legli na spoczynek i jęli łapczywie pożerać zapasy, z torby Zygmunta wydobyte. Chłopak długo leżał zmordowany, jak bez życia, tylko wstrząsany dreszczami. Wreszcie nie z litości, ale z obawy, by ze zmęczenia i głodu nie zamarł, rzucili i jemu kawał chleba z mięsiwem. Jadł smacznie, pragnienie ugasił ze źródła sączącego się z głazu, część zaś chleba i mięsa przezornie i ostrożnie schował sobie do kieszeni na zapas. Powoli wraz z wypoczynkiem i posiłkiem wracała mu zdolność rozmyślenia. Zakapiała krew, rozdając obrazę i chęć odwetu. Ścisnął w kieszeni pistolet.

— A gdyby tak nagle jednemu, potem drugiemu w łeb palnąć.

Równocześnie jednak z tą myślą poczuł, że czerwienieje ze wstydu.

— Czyż niczym nie różnię się od zbójów? Zdradliwie zabijając, nie dowiedziawszy się nawet, dokąd i po co wloką, nie spróbowałeś żadnego innego sposobu ocalenia? Nie, nie, nie zrobię tego. Wstydziłbym się całe życie przed sobą, przed rodzicami i dziaduniem. A więc, skorzystać z pierwszej sposobności i uciec!

Zdawał sobie jednak jasno sprawę, że chybiona ucieczka narazi go na pewną zgubę. Jak to zrobić, jak zrobić? Rozwahał i w gorącej modlitwie o dobrą radę zwracał się do Boga. Gdyby to było blisko domu, gdzie znał wszystkie kryjówki! Ale tu daleko, puszcza nieznaną, wnet wytropią, znajdują, zabiją. Gdyby zasnęli! Ale nie śpią, bez przerwy szwargocą w jakimś nieznanym

żargonie i po wypoczynku powleką pewno dalej, chociaż śnieg bez przerwy sypie i noc dawno zapadła.

Jakoż nie zmyliły go przypuszczenia. Po paru godzinach, zbóje, rozdzielwszy zapasy, znalezione w torbie, rozłączyli się: jeden odszedł w kierunku powrotnym, zapewne na zwiady; drugi zaś sznurem do swego pasa przytroczywszy z tyłu Zygmuś, wyruszył w dalszą drogę. I znowu brnęli przez całą długą noc po zaśnieżonych wertepach leśnych, bez wypoczynku, jednak już wolniej. Ciężyły Zygmuśowi nogi, jak kłody, w uszach mu dzwoniło i huczało, jakby kto młotem kuł w głowie, zdrętwienie i znieczulenie przytępiło wszystkie zmysły. To bezwiednie zasypiał podczas chodu, to potykając się upadał i nagle budził się wściekle targany za linę. Szczęściem mróz niezbyt dolegał, powietrze było bez wiatru, tylko wilgotne i zaśnieżone.

Wreszcie, dobrze w parę godzin po zamglonym świtaniu, dobrnęli do sterczącej w lesie samotnej skały i przez ciasną szczelinę, zaspę śnieżną zgarnawszy, wpełzli do groty w jej wnętrzu.

Nie był już Zygmuś zdolny ani patrzeć, ani myśleć; jak padł na twardej skale, tak zaraz usnął, nie wiedząc, ani czując, co się z nim dzieje. I nigdy potem nie mógł sobie zdać sprawy, jak długo w tym śnie był pogrążony.

Sen miał zrazu twardy, kamienny, bez żadnych zjaw i rojeń. Po kilku może godzinach dopiero, gorączką, czy głodem i zimnem rozdrażnione nerwy zaczęły drżeć i tkać na kanwie wyobraźni niejasne zrazu, coraz jednak wyraźniejsze i jaskrawsze obrazy senne z przędiwa wszystkiego, co przeżył, co roił, co kiedykolwiek z ksiązek lub opowiadań nauczył się i wyczytał.

DRUGI SEN ZYGMUSIA

Śnieg sypie i białą płachtą pokrywa ziemię, skały, drzewa. Zimno do szpiku kości przenika.

Cóżto? Cóżto? Po śnieżnej bieli widać ruch czegoś od śniegu bielszego, powolny, cichy, jak sań na płozach. Już można głowę rozróż-

nić z włosami, w których gwiazdki śniegu drżą blaskiem brylantów; jako świeceki świecą oczy, jak macki, wyciągają się długie ramiona.

— Ktoś ty?

— Nie poznajesz ducha puszczy? Jakom obiecał, jeszcze raz przychodzę.

— Byłeś piękny, barwy rozsiewałeś i kwiaty, teraz śnieg i ziarna śmierci.

— Śmierci? Nie znam jej. Wszak mówiłem: każdy zachód słońca jest równoczesnym wschodem.

— Lecz zmizerniałeś, widocznie cierpisz.

— Bez cierpień nie istniałaby radość.

— Wychudłeś, zbrzydłeś, wybladłeś... Może ci zimno? Możesz głodny? Mam chleba kawałek.

— Nie samym chlebem człowiek żyje, duch puszczy tym bardziej. Czyż tak bardzo zbrzydłem?

— Zbrzydłeś niestety!

— Ach, zmysłowy chłopcze! Kiedyż ducha piękno odczujesz? Nie zachwyca cię wychudła twarz, tylko pyzata? Nie rozumiesz piękna i pożytku cierpienia. Czemu płaczesz?

— Trudno nie płakać, gdy ból dokucza. Porwali mnie zbóje, po wertepach włoką, kułakami trącają, pewno zabiją.

— Cierp ze wszystkimi, jak wszyscy, takie prawo.

— Jak mam się bronić?

— Każdemu własna moc rady, doświadczeń i przykładu najskuteczniejsza — takie prawo.

— Nie odmawiają mi rady rodzice, nie odmawia dziaduś.

— Przestań, jak dziecko, dreptać po maminych śladach i trzymać się maminej sukni. Bądź młodzianem.

— Myślałem, żeś życzliwszy.

— Puszcza mówi: zwycięża, kto sam patrząc, nie da się podpatrzeć; kto podsłucha, sam żadnym nie zdradzając się ruchem; kto zwęszy, sam niezwęszony. Źle uzbroiłeś się. Czemu odzieży nie

upodobniłeś do śniegu? Czemu nie wdziałeś pancerza, jak żółwie, ani kolców, jak jeże, ani odrażającej woni, jak tchórze, ani jadowitego zęba, jak żmije? Czy w niebezpieczeństwie przykucnąłeś bez ruchu i ległeś, jak martwy, ani plamą na śniegu czarną, ani żadnym nie zdradzając się ruchem? Na zieleni traw zielonego owada, między brunatnym, suchym liściem do suchego liścia podobnej larwy, białego na śniegu gronostaja nie wysledzą wrogowie.

— Próżna mądrość po szkodzie.

— Czy wytropiony stanąłeś w postawie odstraszałającej, grożąc walką na śmierć i życie, by zmusić napastnika do ucieczki?

— Brakło mi sił do walki.

— Czyś tedy użył podstępu, tej potężnej broni słabszych? Czyś usiłował wydać się większym i niebezpieczniejszym, niż jesteś; czy rozdałeś ciało, zapaliłeś płomień w oczach, nastawiłeś rąk i nóg szpony, jak czyni każdy kot, nastroszony i parszający, gdy mu grozi cios wroga, każdy pająk, każdy jelonek?

— Byliby mnie wnet zabili.

— Więc ratowałeś się potężnym skokiem, jak jaszczurka z wysokości drzewa skacząca przed wrogiem w głąb leśną, jak żaba w toń wodną?

— Zamierzałem tak uczynić.

— Puszcza mówi: długie zwlekanie — pewna klęska. Co musisz czynić, bez zwłoki czyn, jak piorun, który zabija prędzej, niż błyska.

— Boję się, by mnie oni nie chwycili i nie zabili.

— Puszcza mówi: bojaźń rychlej, niż śmierć, zabija; ocala zaś i zwycięża odważne rzyko.

— Lecz nierozważne gubi!

— Puszcza mówi: rozważ w momencie, co zaś zdecydujesz, czyn z determinacją i wiarą.

— Rady sypiesz, a wszystkie poniewczasie, pomoc zaś nie chcesz, czy nie możesz. Bez serca jesteście i ty i twoje prawa, albo bez mocy.

— Jestem, jakim jest. Przeszłość dodaję, terażniejszość odejmuję, przyszłość ścigam, piękność w bukiety wiążuję, praw nie stanowią, przestrzenia i czasem się żywię.

— Ale czego chcesz ode mnie?

— Podobasz mi się, pragnę cię wchłonąć i nie zatracić. Jeżeli zechcesz, pobujemy po puszczech różnych i krajach. Nie myśl, że na bliską tylko metę pętać mogę. Umiem nagle w wielką dal skokiem sięgać, iskry czasu w płomień rozniecać, a płomień znów zaduszać w iskrę. Nieważcy, ciężką materię, lotny czas i wolną przestrzeń w głąb chłonąć i przenikać będziemy. Chodź, nie lękaj się. Pyłkiem cię drobnym uczynię, przyłgniesz do mnie i razem na krańce ziemi, dokąd zechcesz, pomkniemy.

— Czemuż pyłkiem mam zostać?

— Natury swej nie zmienisz, a najdrobniejszego pyłku bogatsza toń różnaitości, niż pycha ludzkich głów, przypisujących sobie moc anielstwa.

— Lecz mnie z powrotem odniesiesz, abym mógł od zbójów do rodziny uciec. Najgorszą rzeczywistość wolę, niż złudne, choć zachwycające majaki.

— Nie majakami, lecz rzeczywistością karmić cię będę. Oto już pyłkiem jesteś. Powiedz, czy pragniesz na własne oczy zobaczyć, jak teraz wygląda życie w kraju podbiegunowym, a potem od bieguna pomknąć pod równik i zajrzeć w głąb morską i w głąb puszczy dziewiczej?

— Niechże stanie się, jak zyczysz sobie, lecz powiadaj mi o górach, jeziorach, morzach i krajach, które mijać będziemy, a gdy poproszę, zatrzymaj się.

— Dobrze! Wichru pędem, w śnieżnej kurzawie wzbiliśmy się nad dach puszczy. Nie widać lodem ściętej Prypeci, ani Be-rezyny, dopływu głównego Dniepru. Gdzie oko sięgnie, wszędzie równina, zawiana śniegiem. Wron tylko stada kraczą, wilk wyje z głodu, lis skrada się pod chaty ludzkie, czasem w śnież-

nej wydmie czarną znaczy się plamą trójka koni do sań przyprężona, a w saniach ludzie w futrach niedźwiedzich.

— Nie zatrzymujmy się, lećmy dalej.

— Jesteśmy nad Dźwiną. Błyszczą z dala światła w oknach mieszkańców Dyneburga, a tam dalej — Wielkiego Nowogrodu.

— Lećmy, lećmy dalej.

— Nie zaciekawia cię ani Ładoga, ani Onega, ani Północna Dźwina. Więc ponad zamarzłymi tundrami, ponad Kaninem i Katgujewem, ponad lodami Oceanu Północy zlatujemy na ostatnie krańce Nowej Ziemi, w wiecznych lodów krainę. Mów czego w zmysłach, rozumie i sercu doznajesz?

— Zimno mi, tak zimno, że krew zamarza w żyłach, a bólu do szpiku kości przenikającego, nikt nie wysłowi. Konam.

— Nie skonasz. Oto wkładam ci do życia w lodach pancerz odporności stu epok, jaki mają brunatny wodorost, między lodami żyjący lub tłuszczem, puchem, fortem zabezpieczone foki, morsy, niedźwiedzie, nurzyki. Jak teraz się czujesz?

— Żyję, tylko zawsze zimno mi, smutno i tęskno. Odporność tylko dałeś, nie ukochanie. A odporność skąd wzięły żyjące w tym piekle mrozy i ciemnicy istoty?

— Skąd owady i ptaki skrzydła, a inne zwierzęta zęby, rogi i pazury wzięły? Skąd mięśni moc, zmysłów i podstępów bystrość? Czy ci nie mówił dziadunio, jak w ciągłej walce z otoczeniem o zachowanie bytu i gatunku każda żywa istota przyswaja sobie i swemu potomstwu przekazuje różnorakie zdobycze i w jakie formy wyrasta ten długi łańcuch nabytków, ciągnący się od zarania życia wszelakiego na ziemi z pokoleń na pokolenia?

— Tak, mówił o prawach, wedle których żaden mięśni skurcz, żadne nerwu drgnienie nie mija bez skutku; lecz dodał, że duch przełamywać mocen¹⁰⁶ te prawa, coś i ty potwierdził, obdarzając mnie w momencie odpornością do życia w lodach.

¹⁰⁶ *Mocen* – dawn. jest w mocy, mocny.

— Rozwoju życia ostatnich krańców nikt nie dociecze. I ty poprzestań na tym, co zmysłami obejmujesz.

— Nie, nie! Nie zrzeknę się natury własnej. Tęsknię, cierpię!

— Patrz na tę noc, osrebrzoną blaskiem księżyca. Blade jego smugi lśnią i drgają w szczybach gór lodowych zmiennymi barwami, a z zenitu wyiskrzonego gwiazdami nieb, a kaskadami spływają na lodozwały strugi granatu, zielonych lilii i fioletu; od strony południowej nieba, na lodów krawędzi kropelkami spadają róże. Tam znowu na północnym skłonie oceany różnobarwnych zórz zwijają się, kurczą, buchają wstęgami pożaru, nagle gasną i znów strzełście tryskają tęcz promieniami. Tam meteor mknie po niebie i ginie w gwiazdach Łabędzia. Czy nie doznajesz zachwyty?

— Zdumienie raczej czuję i trwozę. Ze wszystkich stron bowiem słyszę trzaski, huki i grzmoty lodów, pękających w rysy, bloki i wąwozy w ścisku straszliwego mrozu. Ryczy świat w katuszy okrutnego bólu, stęka, drży i miota się udręczona ziemia, jakby u kresu bytu rozprysnąć się miała w nicłość. Z tych huków, jakby na szyderstwo, opromienionych tęczami i bukietami różnych barw, jakże straszliwie wrażają się w serce bolesne wrzaski mew, ryki fok i przeciągłe, rozpaczliwe wycia zgłodniałego lisa. Nie, nie! Nie pięknie tu! Raczej straszno, ponuro i tęskno! Samotnym czuję się tu, zapytując, czy Bóg na wieczne zatracenie skazał tę krainę? O ziemię moja rodzinno! O leśną puszczo podlaska z jeziorem i brzożami. Teraz dopiero czuję, jak mi droga, jak kochana jesteś!

— Każdemu własna ojczyzna najmiłsza. Lecz i tu w innej porze roku pięknie będzie. Oto już leci na skrzydłach wiosennego wiatru i płynie prądem z oceanu łagodne ciepło. Już na skłonie widnokregu promienne zorze słońca rozlewają całe potopy życiodajnego światła. Pękają lody i ożywcze spadają deszcze. Życia dreszcz wstrząsa wszelkim ciałem: i dorsza, między krami płynącego, i tej niedźwiedzicy z dwojgiem małych szukającej żeru,

i lasów morszczyzny, łomikami, mięczaków, zwierokrzewów. Tu, na bazaltowej skale, jakim warem kipi życie! Niezliczone stada niebieskich mew składają jaja, obok skrzydłami łopocą i wrzeszczą w upojeniu roje nurzyków, poświeerek, dzwońców. Tam stado gęsi za słońcem leci z krzykami zachwytu. Tam o płytę lodu kłami oparty mors wlepia ciekawe oczy w lisy, wydzierające sobie porwanego nurzyka. Lećmy ku wyspie, skąd dochodzą ryki. Patrz! Gdzie spojrzeć po wybrzeżach, tysiące to morsów, to fok, drzemiących w tłuszczu. Przeciągają się, ryczą, wzajemnie potracają się kłami. Tak że wygląda ziemia, na zatracenie skazana? Wszędzie, we wszystkich stronach świata tętnią źródła życia.

— Może prawda. A jednak, nawet wiosna stokroć, tysiąckroć smutniejsza tu, niż nasza, z bukietami czeremchy, z rozśpiewaniem skowronków i słowików.

— A jednak nie upodobałby sobie biały niedźwiedź w podlaskiej puszczy, ani krokodyl w Wiśle.

— Tam ryki i wrzawa walki?

— Intruz mors z morza wdrapał się na brzeg kłami i leżał obok innych. Lecz gromada nie znosi intruzów. Z rykiem porwali się sąsiedzi i potężnymi kłów ciosami jęli odpychać go do morza. Na siłacza i śmiałka trafili. Patrz, jak broni się, jak dzielnie paruje cioś, jak sam na wszystkie strony razi. Pierzchają. Krwią zboczony, ale zwycięski, przemocą zdobył, czego nie dali mu dobrowolnie.

— Siła przed prawem?

— Bynajmniej! Prawo dzielności i siły!

— Ach, i tu znowu te prawa siły, tak różne od pięknych praw serca, w ludzkim wykwitających duchu!

— Larwa puszczy w ludzkiego przetwarza się motyla? Czy nie przedwcześnie?

— Krok ku uduchowieniu nie może być przedwczesny. Odnieś mnie teraz, jak obiecałeś, na morskie dno pod równikiem.

— Dobrze! Trzymaj się mocno skrzydeł. Wichru lotem lecimy nad Morzem Karskim, już jesteśmy nad ujściem sybirskiej rzeki

Ob, już nad dopływem jej, Irtyszem, i nad murami Tobolska, już mijamy ponad lodowatym garbem Altaja granicę Sybiru i Chin i mkniemy ponad Dżungarią, ponad potężnym płaskowzgórzem tybetańskim, wciąż na południe. Oto najwyższy szczyt na kuli ziemskiej, Gauryzankar w Himalajach¹⁰⁷, na granicy dwóch szczepów: mongolskiego i aryjskiego. Czy pragniesz stąd spojrzeć w dolinę Gangesu?

— Lećmy wciąż dalej.

— Więc mijamy deltę świętej Indusów rzeki i mkniemy nad Zatoką Bengalską ku Sumatrze nad równikiem i Jawie. Byś nie cierpiał pod uciskiem gór wodnych, daję ci odporność koralowin. Już w głębi morza jesteśmy. Widzisz te żółte, te niebieskie krzaki? To madrepory¹⁰⁸ owinięte cielistymi rosochami alcyonii¹⁰⁹, głowami sinych poritów, brudnożółtym nastroszeniem grzybników, czerwienią rozgałęzionych koralowin i gąsiołów.

— Myślałem, że ciemności panują w głębi morza. Jakież tu wszystkie kształty dziwaczne, potworne, zdumiewające!

— Słońce do dna wód przenika i wszędzie rozsiewa ziarna życia. Przysiadziemy tam w szczelinie, gdzie najwięcej się kłębi robaństwa, owadów, muszli, krabów, rozgwiazd, jeżowców, strzykw, gąbek, ukwiałów, ryb różnobarwnych i perłopławów. Czy widzisz w naszym sąsiedztwie tego czarno-białego gada, który zwinął się w kłębek, upodobił do skały i od kilku godzin tu czatuje na nieostrożne łupy? Stary to, chytry i jadowity potwór, *hydus platurus*. Nasycił się już, więc zadowolony i możesz z nim porozmawiać. Uczynię cię jego kuzynem. Pozdrów go przyjaźnie, życz powodzenia i zapytaj, jak mu się powodzi. Ja tymczasem odpędzę stado delfinów, które mogłyby nam przeszkadzać.

¹⁰⁷ 8840 m. n.p.m. (przypis M. M.). Chodzi o Mount Everest – dokładnie 8848 m n.p.m. (A. N.)

¹⁰⁸ *Madrepory* – koralowce.

¹⁰⁹ *Alcyonia* – rodzaj skamieliny.

— Bądź pozdrowiony, mistrzu, ozdobo rodu! Jak ci dziś powodzi się w łowach?

— Witaj, mały! Nie najgorzej, nie najgorzej, co zawdzięczam cierpliwości własnej i przeczornej zwinności. Spodziewam się, że nie przyszedłeś wykradać mi z pyska zdobyczy. Na próżno byś się trudził.

— Nie jestem głodny: przy trawieniu miła rozmowa, jeżeli sen nie zbiera.

— Snu nie brak na czatach między jednym daniem a drugim. Pierwszy raz cię widzę w tym rewirze. Czy przypadkiem, czy na stałe tu przypląnąłeś?

— Zapędziłem się w pogoni i zaraz wrócę na własne wody.

—W pogoni? Znać, żeś młody myśliwy. Lecz czyn, jak ci najdogodniej. Każdy ma własny sposób zrzucania starej skóry i napełniania sobie żołądka. Dobrze, że rychło wrócisz na własne wody. Na jednym miejscu i kamień morszczyną¹¹⁰, mchami i gąbkami porasta. Ucz się od starego.

— Byleś, mistrzu, nie skąpił mi doświadczeń starości. Czemu nie pochwalasz mojej pogoni?

— Ogon, w kłębek zwinięty, najbezpieczniejszy, mój synu, do tego wygodny, a w potrzebie rozmach daje. Kto zbyt ugania, zwykle w zasadzkę wpada. Młodych niecierpliwość i ciekawość pędzą do rozczarowań i zguby; stary, cierpliwie w miejscu siedząc, bezpieczny. Patrz na ryby, kraby, owady, robactwo. Kręci się to niepowsściągliwie w kółko albo z miejsca na miejsce, tańczy, głupie stroi miny, gzi, przekomarza się, szukając, czego nie zgubiło i samo włazi w gęby czyhających wrogów. Ha, może to i dobrze; gdyby nie było tylu głupich, przymierałby z głodu mądry.

— Ale ruch bawi! Tu, na przykład, między rafami wolno krążą jeżowce, do góry wystawiając długie, ostre, grzebieniaste, do płetw rybich podobne kolce; strzykwy to czerwone i pękate, to

¹¹⁰ Chodzi o *morszczyn* – rodzaj wodnych glonów.

ogoniaste i z sękami, jak u koralowin; ryby zaś pięknymi błyszczą barwami: czerwienią, fioletem, srebrem, złotem. Warto wiedzieć to wszystko i podziwiać.

— Tere, fere! Co komu po barwach? Barwy nie pożresz, rybę pożresz. Radzę ci więcej zważać na smaczny kąsek, niż na piękną barwę. Nie patrzeć karmi, lecz połykanie! Gdy z głodu zdychać będziesz, nikt nie wlezie ci dobrowolnie do pyska, ale za to gdy zdechniesz, wszystko nie tylko do pyska wlezie, do brzucha wlezie i do głowy, rozgryzie, roztoczy, rozdrapie, ani małego szczątka nie zostawiając; żadna ci wtedy barwa nie pomoże. Dobra ona na przynętę dla głupich. Patrz, jak chytrą swą zielenią i łagodnością znęca „kwiat morski”¹¹¹. Miły kwiatusek, udający piękne niewiniątko, drapieżny potwór! Rozłożył się wygodnie, do góry rozdziawił gębę, na wszystkie strony nastroszył do wody podobne, więc niewidoczne macki — i cierpliwie czeka. Taki jeden, drugi i dziesiąty krab lub robak, ciekawy przygód i na piękne barwy łakomy, włazi mu prosto w szpony i paszczę. A gdy jego brzuch, nadmiarem łupów przeładowany, nie może już podołać trawieniu, resztki wyrzuca, z czego cieszą się owe czerwone rybki, siedzące cicho blisko żarłocznej gęby i żyjące z jej wymiotu. Oto prawdziwa mądrość życia!

— Prawo serca nakazuje dbać nie tylko o własny brzuch, lecz także o potrzeby potomstwa, gatunku i gromady.

— Dla siebie schowaj serce, młokosie, który chcesz uczyć starców! Prawo serca nakazuje!... Doświadczenie starości jedynym jest prawem. Ono mówi, że wodna żmija nie żyje w gromadzie, jak śledzie i kraby, że w wodzie pływa, nie w pięknych barwach, że od chwili wyjścia ze skorupy jaja sama siebie broni jadowitym zębem i sama dbać musi o swe jądło. Dość mam tej gadaniny. Spać będę. Wynoś się, jeżeli nie chcesz pogawędzić z moim zębem.

¹¹¹ *Ukwiał – discosoma kenti* (przypis M. M.).

— Jakże ci podobała się ta żmija?

— Cała mądrość jej w brzuchu. Nie różni się od ukwiału, którego sposób życia za wzór mi stawiała. Lećmy w głąb dziewiczej puszczy.

— Nieodległa podróż. Już jesteśmy u samych stóp kolosów.

— Mroczno tu i duszno, jak w cieplarni, pełnej liści i kwiatów, przesyconej parą wodną i gęstym aromatem. W gęstwinie begonii, na podkładach liści wilgotnych z gniazdami pajaków, termitów i jaj jaszczurzych ruszyć się trudno. Podnieś mnie wyżej nieco pod sklepienie splecionych gałęzi, liści, lian i kwiatów, skąd pod obłoki strzelają palmy damary¹¹² i araukarie ze szczytami w pióropuszcach. Cóż za rozrukana orgia żądź zmysłowych i upojeń! Jakże potworne wyuzdanie życia! Jakie płataniny lian i powietrznych korzeni, jak te węzowe kłębowiska roślin, kwiatami obsypane, zwieszają się w pomostach i sieciach od szczytów ku samej ziemi, okręcają się pędami, chwytają wąsami, włosami i warkoczami, zahaczają kolcami, zajadłe i na przebój walcząc o dostęp ku górze!

— Zmienimy się w tubylcze papugi, aby zrozumieć wszelakie głosy, odzywające się w tym mrowisku roślinnych i zwierzęcych istot. Oto krzykliwą krytyką rozzłoszczę i podrażnię ich namiętności:

— Hola, hołoto, krwią cudzą żyjąca, mchy, paprocie, storczyki, grzyby, pnącze, porosty! Kiedyż przestaniecie krew z żywych istot wysysać albo padliną żyć, jak hieny, a zaczniecie własną pracą na utrzymanie zarabiać?

Jak z węzów kłębowiska zasyczało na ten krzyk i zapiszczało ze wszystkich stron kłótwami, śmiechami i złorzeczeniem, zakolebały się w sploty lian, zatrzęsły bukiety krwawych storczyków,

¹¹² Chodzi o *agatis*, *soplica*, *damara* – wysokie, zielone drzewa z rodziny araukariowatych.

zakotłowało w mchach, grzybach i porostach, zaszumiało w dzi-
kim winie! Od nagłego ruchu olbrzymi konar drzewa łamie się
z trzaskiem, lecz nie spada na dół, zawisa w sieciach i szurach
roślinnych, płosząc stada owadów, małą i ptactwa.

— Przekłeta papuga — woła najgrubsza i najdłuższa liana,
której liczne odnogi od ziemi do szczytu araukarii obwijały sple-
tami kilkanaście konarów — że głos ma chrapliwszy, niż mała,
a pióra jaskrawsze, niż kwiat begonii, znieważa puszcze. Powiedz,
jak i czym ty sama żyjesz?

— Małpom służy, żywią ją za to, że im plotki znosi — zawo-
łały storczyki.

— Przytrzymajcie ją kolcami i zaduście wąsami — zawołały
porosty.

— Dumna, że na skrzydłach wzlecieć umie na same szczyty,
na gody słońca i owoców— mówiły ponuro grzyby.— Gdyby jej
przyszło żyć, jak nam, w zmroku i bez ruchu, nie wiem, jak by
poradziła sobie.

— Nie wie, co to za trud i jaka podróż od ziemi z listka na
listek, z konara na konar drapnąć się powoli na wierzchołek —
narzekała jaszczurka.

— Masz przyłgi, kolce i macki — mówi żaba — ja tego nie
mam, a także drapać się muszę.

— Śmieszne, wstrętne i podłe mrowie — wołały motyle —
prawdę krzyczała papuga, życie cudzą krzywdą.

— Tulung-tumpung! Ungut-ungkut! — zadzwoniły mono-
tonnie z wierzchołków drzew ptaki, jakby do zgody wzywając.

— Mnie tam wszystko to mało obchodzi — mruczał cicho do
samego siebie figowiec, który na tamaryszkowym wyrósł drze-
wie, ścisnął, jak boa, spleciami swego żywiciela i wysysał z niego
wszystkie soki żywotne.

— Huzia, huzia! Kłóćcie się i zryjcie między sobą ze złości —
piszczal olbrzymi, pomarańczowy pająk. — Co do mnie, nie mam
czasu na zwady, wołę nasycić łaknący żołądek ucztą.

To mówiąc, dopadł szponami chrząszcza, który rozpaczliwie zatrzepotał w nastawionej sieci.

— Tulung-tumpung! Ungkut-ungkut! — zadzwoniły na wieczny sygnał zgody z wierzchołków ptaki.

A krople ciepłej wody, rzewne i łzawe, z liści na liście z głuchym jękiem wciąż spadały ze spoconych drzew.

A z dziwnym, tajemniczym szmerem, jakby od rozdarcia twardych kartek papieru, tu obok, tam w górze, gdzieś naraz równocześnie z kilku dalekich stron, odrywały się od macierzystych pni suche liście bambusów i spadały na cmentarną ziemię.

A wąż boa, nasycony nocną ucztą, smacznie spał, owinięty między konarami i tak liśćmi i kwiatami zakryty, że go najbystrzejsze oko nie zdołałoby wyśledzić.

— Dość mam, dość tej dziewiczej puszczy — mówił chłopak do swego ducha. — Rodzinna moja, podlaska, sto razy, tysiąc razy miłsza, taka rzeźwa, taka spokojna, zdrowa i swobodna, tak kochana! Z jodłami, brzozaami i dębami, których przeciągły po wierzchołkach szum, jak na organach granie, do Boga podnosi i wszelkie smutki uśmierza. To wzajemne pożeranie się, ta dzika i krwawa o byt walka, to żarów zmysłowych i niczym nienasyconej pożądlivosti rozpasanie jakże mi do głębi obrzydło, jak do upodlenia za włosy wlecze, jak odczłowiecza! Dosyć! Coś zgoła innego w duszy mej wyrasta, moc, która pragnie ramiona ku światu podać uprzejmie, a choćby i życie dla drugich, zwłaszcza najbliższych, poświęcić. I nigdy nie uwierzę, by kiedykolwiek trwale mogła zwyciężyć siła, która duchowi urąga. A piękno, które mi pokazywałaś, zda mi się teraz powierzchowne i zmienne; przeczuwam stokroć wspanialsze i głębsze: w cierpieniach, zmaganiach się i zachwytach ludzkiej duszy.

— Świątynia tego piękna, o którym mówisz, na stromym i wysokim szczycie; nim do jej przedsióneków dojdiesz, mózg wysuszysz, nerwy stargasz, głowę siwizną ubielisz. Ani młode skrzydła tam nie sięgną, ani stare nie zadźwigają nogi.

— Ku tym właśnie szczytom lecieć pragnę. Dopomożesz mi i przeniesiesz ponad siedliskami ludów, które przetwarzały zwierzęce swoje instynkty w miłość, prawdę, sprawiedliwość i piękno.

— Zwaliska tylko zobaczysz i gruzy.

— W zwaliskach i gruzach szukać będę kwiatu.

— Więc trzymaj się mocno moich skrzydeł i lećmy. Czy słyszysz, jak pod nami huczą fale Oceanu Indyjskiego, a teraz, jak szumią piaski Pustyni Arabskiej? Przelećmy w poprzek Morze Czerwone, przez które suchą stopą Mojżesz przeprowadzał Izraelitów. Nil! Memfis i Teb gruzy! Luksoru i Karnaku pogruchothane obeliski, świątynie, posągi, filary, pylony! Przenieś się wyobraźnią, jeśli zdołasz, w czasy kilku tysięcy lat przed naszą erą, gdy czarny lud zeschniętych mumii żył, gwiazd drogi mierzył, piramidy budował, Sfinksa ociosywał, kanały, tamy i sztuczne jeziora kopał, płaskorzeźbami grobowców i świątyń ściany ozdobił, w wyprawach wojennych aż po Tyr i Eufrat do rozkosznej Babilonii chaldejskiej i do srogiej, wojowniczej, straszliwej Niniwy asyryjskiej sięgał, albo i sam w jarzma wilczych plemion popadał.

— Solonie, Solonie! Mówiłeś ty prawdę. Coście mieczem zdobywali, wszystko miecz wam zabrał i nikt przed kresem nie mógł mienić się ani pewnym, ani szczęśliwym. Wszystkim wam sen spokojny płoszyły straszliwe słowa, *mane, tekel, fares!*¹¹³ Tylko ducha zdobywcze nie doznawszy zagłady przeszły do potomości, by z nowych związków w nowe wykwiatać kwiaty i nowe na przyszły rozwój nasiona sypać.

— Może oglądać pragniesz ruiny greckie, gdzie, jak z morskiej piany Afrodyta, plastyczne i harmonijne wyłoniło się piękno w architekturze, rzeźbie i słowie; gdzie ludzki Prometeusz najpotężniej targał pęta, którymi był do skały przykuty; Platona duch

¹¹³ *Mane, tekel, fares* – aram. *policzone, zważone, podzielone*; w biblijnej Księdze Daniela przepowiednia upadku Babilonu.

pod obłoki wlatywał; Arystotelesa skalpel ciosał wszelakiej wiedzy podwaliny, a Eschyla¹¹⁴ i Sofokla geniusz za bary brał się z przeznaczeniem. Może uczcić pragniesz to sławne miejsce, gdzie w obronie wolności przed zagładą barbarzyństwa poległ Leonidas z 300 Spartanami, o czym tak głośno woła cichy napis: „O przechodniu, obwieść Spartanom, że tu leżymy, posłuszni ich rozkazom!”. Lub może dalej chcesz polecieć nad kopuły wiecznego miasta i zajrzeć w katakumby, gdzie przed zmartwychwstaniem cicho śpią ciała chrześcijańskich męczenników? Oni śmiercią śmierć samą zwyciężyli.

— Wiem. Z oparu łoż i krwi, z pierwotnych w przyrodzie drgnień miłości wyłonił się duch, który sam przeżywa swój rozwój, sam go poznając i udoskonalając. Stąd pierwszy śpiew pokoju w krwawej o byt walce, miłość, w tysięczne rozpryskująca fazy: bliźnia, patriotyczna, wszechludzka, stająca się pięknem, które przybytek wspólnego szczęścia powoli dźwiga. Znikomy przybytek ów bez innego uświęcenia! Blisko nas leży uroczne Betlejem, nad którym ongiś zabłysła cudowna gwiazda łaski i ofiary, ze wszystkich najświętszej. Tam zanieś mnie choć na krótką chwilę, bym pyłkiem przypadł do ziemi i w pokorze modlił się o cząstkę dla siebie, dla najbliższych swoich i dla ojczyzny.

— Nie sięga tam moje skrzydło, ale ci wedle możliwości pomogę. Tu na szczycie Synaju, gdzie On w trzęsieniach ziemi, błyskawicach i grzmotach wręczał Mojżeszowi tablice dekalogu, zaczekam na ciebie. Moc lotu wzięwszy, kieruj się wzdłuż odnogi, potem za górskim pasmem aż ku Morzu Martwemu. Stamtąd dalszą drogę do Betlejem wskaże ci gwiazda. Nie zabłądź i szczęśliwie wracaj...

— Z leśnej płonki z wolna przetwarza się drzewo szlachetniejsze; obsypane kwiatem, obciążony kiedyś gałęzie swoje bujnym owocem. Czy wiara jest mu teraz nowych soków zaszczępieniem?...

¹¹⁴ Eschyl – Ajschylos.

— Jak to? Już wracasz? Czy z dobrą nowiną?

— Pełni serca nie wysłowią usta. Ukrzepiłem ducha modlitwą. Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

— Dawno już mielibyście ów błogi pokój, gdyby nie zależało to od waszej dobrej woli.

— Pyłkiem leżąc u stóp świętego żłobu, potem w Jerozolimie na brzegu grobu zmartwychwstania, rozważałem moc ofiary i znikomość celów egoistycznych wobec wielkości wspólnego dobra.

— Byłeś również pięknie działał, jak pięknie mówisz. Czy teraz do rodzinnej wrócimy puszczy?

— Zanieś mnie do ojczyzny, do Polski, żebym jej ślubował cały trud życia do ostatniego tchu poświęcić.

— Lećmy tedy i mocno trzymaj się moich skrzydeł. Już w si-nej mgle znika za nami delta Nilu; na lewo w słońcu błyszczą bukiet Krety; przed nami Morza Egejskiego rubiny i szmaragdy. Czy zatrzymać się nad gruzami Troi? Czy w miejscu, gdzie nad Hellespontem most budował Kserkses? Czy nad kopułą św. Zofii, półksiężycem zhańbioną?

— Nieś mnie ku północnym brzegom Czarnego Morza: nad Dniestr, nad Boh i Dniepr. Tam cecorską i chocimską ziemię ucałuję, krwią naszych bohaterów pobroczoną. A potem... sam się domyśl... Może gdzieś między borami nagi krzyż na pagórku z pękiem suchego zielska wydłuża ramiona; gdzieś na mogiłkach między zagonami ponuro sterczy kaplica na poły rozwalona, dalej w wianku słomianych strzech kościółek z drzewa, a w nim za wiecznie płonąca lampą w złotej błyszczą koronie dobra Matka Boża, uśmiecha się i łaski zsyła sercom pokornym... Tam to jedna lipa rozłożysta między ulami i gruszami cień gęsty rzucała w skwarne lato; tam za ogrodami w wilgotnych rowach rosły trawy szmaragdowe, pochylały się nad drogą wierzby, a między trawami ku słońcu lśniła złota lilia... O zanieś mnie tam, niech na zawsze pozbędę się pacholących łkań z wątlęgo serca i uzbroję na

życie w twarde hart stali... Ha! Spełniłeś moje życzenia! Bądźcież mi pozdrowione, a za śladem moim nie ciskajcie kamieniem, jako i ja dobrym tylko słowem pamięć waszą znacę.

— Przystań już płakać..

— Nie mogę. Tak do głębi przenika myśl o znikomości wszystkiego, a zwłaszcza niepowrotnej stracie anielskiego dzieciństwa.

— Jeszcześ nie postarzał, a drżysz, jakby zgrzybiały starzec. Wstydz się. Własnej wiedzy i wierze w poprzek stajesz.

— Zaiste, prawdę mówisz. W górę czoła i serca! Do jaskini teraz mnie zanieś i radź, jak się uwolnić od zbójów.

— Mówiłem i powtarzam: każdemu własna moc rady i doświadczeń najskuteczniejsza.

— Więc, żegnaj. Niepotrzebny mi już jesteś.

— Jak król sobie poczynasz. Odchodzę i nigdy cię nie nawiedzę, chyba na trzykrotne zaklęcie.



XVIII

OCALENIE – MIESZKANIE W NORZE – POGROM WILKÓW

Obudził się Zygmus i rychło smutna rzeczywistość pomogła mu do zwalczenia silnych wrażeń, doznanych we śnie. Pragnął wstać i rozejrzeć się po jaskini, ale poczuł, że ręce i nogi ma skrępowane. Smuga światła padała przez szczelinę, obok szemerało źródło i leżał kawałek chleba. Z na poły wygasłego ogniska przeświecały przez popiół iskry.

Pomagając sobie łokciami i kolanami, zdołał podsunąć się do źródła i spragnione usta zanurzyć w wodzie. Pił z rozkoszą, przypominając sobie bajki o źródłach życiodajnych. Poczłogał się potem do chleba i rozgryzał go zębami, myśląc:

— Oto żreć muszę, jak pies albo krowa!

Pierwszy głód nasyciwszy, uważnie obejrzał całą grootę. Wejście zawalone było głazem, zza którego przez szpary nawiało nieco śniegu; po stronie przeciwnej z wąskiej szczeliny spływał strumyk i przepływając grootę w poprzek ginął w skale blisko wejścia; całe wnętrze zakopcone ze śladami wygasłych ognisk. Zresztą nigdzie nic więcej. Widocznie grotą służyła do chwilowych wypoczynków. Łatwo też poznać można było po najświeższym ognisku, że zbój wyszedł niezbyt dawno i może tylko dla upolowania posiłku.

— Jeżeli mam uciekać — myślał Zygmus — to uczynić to muszę natychmiast. Ale jak? Ręce mam z tyłu związane pasem, toż samo nogi; o zerwaniu lub przetarciu tych więzów nie może być mowy. Trzeba szukać innej rady.

Począł z wielkim mozołem podpełzać na brzuchu w kierunku szczeliny, pragnąc zbadać, czy tamtędy nie dałoby się wydobyć;

i znowu przyszło mu na myśl, że tak pełzną, naśladuje ruchy węża. Blisko szczeliny przekonał się, że bez znacznego jej rozszerzenia nie przepęłnie na zewnątrz. Zmęczony legł, ciężko oddychając, wypoczywał i rozmyślał.

— Może uda mi się rozluźnić rzemienie na nogach.

Miarowo i cierpliwie długi czas to kurczył, to rozpręzał nogi. Jednak wreszcie i tego zaniechał, doszedłszy do przekonania, że sposób ten chyba po kilku dniach dopiero mógłby mu dać wyzwolenie, o ile by do tego czasu zbój nie wrócił, a siły do szczętu nie wyczerpały się z głodu.

— Muszę uwolnić się, muszę, muszę! — powtarzał zacięcie.

I gdy biedził się z rozmyślaniami, w jaki sposób tego dokonać, usłyszał przy szczelinie groty silne drapanie, w strumyku zaś plusk i cichy skowyt. Ledwo głowę w kierunku tych szmerów odwrócił, gdy nagle przypada mu do twarzy... co?... łasiczka jego, a ze strumyka zwinnie i z radosnym skowytem wyskakują obie wyderki jego i kręcą mu się po piersi, po twarzy, przytulają główki, łaszą się, piszczą, skaczą, okazując oczkami i każdym ruchem szaloną radość. Nie mogąc rękami utulić, całował chłopak ich kochane główki i szeptał pieszczoty:

— Szłyście w ślad za mną, tęskniłyście, nie bałyście się ani zbója, ani głodu, ani trudu? Kochane, kochane! Nie mogę was rękami utulić.

Odwrócił się i pokazał ręce, rzemieniem skrępowane na plecach.

Ale łasiczka, jak rozumna istota, pojmująca powód obezwładnienia, zawzięcie jęła¹¹⁵ ostrymi zębami szarpać rzemienie, wyderki zaś do nóg się rzuciły obie i tak zapalczywie gryzły rzemień, że co chwila któraś z nich przewracała się, dawała koziołka i wnet skokiem wracała znowu do gryzienia i szarpania.

¹¹⁵ *Jęła* – od *jąć*: książk. zacząć.

Nie upłynęło pół godziny – Zygmunt był wolny. Z rozkoszą zerwał się na nogi i prostował zdrtwiałe członki, a na ten widok zwierzątko do piersi mu podskakiwało z radości.

Bez zwłoki podskoczył do głazu, zamykającego wejście; nie zdołał go jednak odwalić, ani szczeliny w twardej skale rozszerzyć. Więc pobiegł w przeciwną stronę, którądy spływał strumień. Tu w syrkim szutrze rozszerzał otwór, w czym znakomicie pomagały mu wydry. Podrapał sobie palce, połamał paznokcie, ale dopiął celu i już miał wyłazić, gdy mu przyszło na myśl, że zbyt pobieżnie zbadał był groty. Wrócił tedy i starannie obmacując ściany, znalazł w skalnej szczelinie spory kawałek szabli z rękojeścią. Równocześnie zauważył, że wydry zawzięcie grzebią w samym kącie groty. Po dłuższym rozkopywaniu w tym miejscu, znalazł drewnianą skrzynię z wielkimi zapasami strzelniczego prochu, kul, pakuł, lontów, a nadto kilkanaście strzelb i różnej innej broni. Wybrawszy sobie strzelbę i zaopatrzwszy się w torbę z kulami i prochem, resztę zasypał na powrót ziemią i udeptał nogami. Wreszcie wydobył się na zewnątrz groty, której otwór przezornie przysypał kamieniami i szutrem.

Z dumą, acz zmordowany do upadłego, rozglądał się po drzewach i śnieżnych zaspach, zdecydowany na śmierć i życie bronić swej wolności,

— Prędzej zginę — powtarzał — niż dam się im teraz schwytać! W którą jednak iść stronę? Gdzie i jak szukać pożywienia i spoczynku? W kieszeni, prócz nożyka i krzesiwka, miał tylko mały kawałek chleba. Lada chwila mógł powrócić zbój i rozpocząć pościg. Położenie tedy nie było przyjemne.

Tymczasem łasiczka i wydry bez wahania pobiegły przodem, to przystając, to oglądając się, jakby dla zachęty. Widocznie pragnęły wskazywać mu drogę. Szedł za nimi, odłamkiem szabli starannie zasypując za sobą ślady. Miejsce było skaliste, pełne wyrw i nierówności, śniegiem zasypanych krzaków i korzeni. Gdzieniedzie na kilkanaście metrów w górę sterczały nagie

skałki, miejscami z głębszych pokładów ziemi wysoko w górę strzelały drzewa.

Brnął tak ostatnim wysiłkiem za przewodnikami, aż zatrzymał się nad stawkiem, do którego wpadało poznane w grocie źródółko.

— A nuż — myślał — w stawku tym znajdują się ryby? Pyszny mielibyśmy pokarm!

Palcem pokazując wodę, kilka razy na próbę zawołał ku wyderkom: „hul! hul!”, zwykłą zachętę do połowu. W mig obie wskoczyły, dały nurka i po pewnym czasie wydobyły się, trzymając w pyskach karasie. Toż samo powtórzyło się kilka razy, tak zawsze skutecznie, że nie tylko wydry mógł suto nakarmić, ale i sam miał zabezpieczony posiłek; rozmyślał tylko, gdzie by rozniecić ognisko i upiec złowioną rybę.

Ale łasica niespokojnie kręciła się, to obwąchując gruby i stary pień drzewa, to grzebiąc u potężnych jego korzeni, to nawet znikając w ich wnętrzu i znowu wyłaząc i podbiegając do Zygmutia. Zachęcała widocznie do grzebania.

Jakże się zdziwił, gdy po dłuższym w tym miejscu kopaniu odkrył wylot głębokiej i ciemnej nory, ukrytej między korzeniami tuż pod samym drzewem. Ostrożnie nasłuchiwał, czy nie będzie tam mruku jakiego albo ruchu. Potem długim kijem badał rozległość nory. Wreszcie krzesiwkiem roznieciwszy płomyk i zapaliwszy smolny koniec kija, zajrzał do wnętrza. Puste było. Włazł tedy do środka, trzymając w ręku kawałek zapalonego łuczywa i zobaczył rzecz zgoła nieoczekiwaną i niezwykłą: kilka korzeni grubości dorosłego człowieka wrastało w głęb ziemi, dźwigając, niby filary, olbrzymi pień ze spróchniałym od dołu wnętrzem. Między korzeniami była wolna przestrzeń wielkości sporej izdebki, z dnem w próchnicy wyżłobionym, z bokami w gliniastej ziemi ustalonymi gęstą siecią drobnych korzonków, z sufitem, wysoko kończącym się w dziupli. Miejsce to było na dłuższe nawet mieszkanie dogodne, od wiatru i śniegu zakryte, suchego

mchu i liści pełne, przytulne. Przezimowało też ono niejednego już pewno lisa, a może i niedźwiedzia. I teraz szmer, z górnej części dziupli dochodzący, wskazywał, że siedzi tam i niepokoi się jakaś żywa istota, zapewne wiewiórka, bo co do drobiazgu innych różnych istot, rozbiegł się on zawczasu w różne strony. Dym zapalonego łuczywa z wolna szedł do góry i ginął, widocznie mając odpływ w górnym otworze na zewnątrz.

Nie zwlekając, począł Zygmunt zgartywać suche mchy, liście i próchno w jedno miejsce na wygodne legowisko; następnie wylazłszy z nory i nazbierawszy sporo kamieni i paliwa, wszystko to powciągał do środka, wykopał na środku komory dół, włożył go szczelnie kamieniami i na urządzonym w taki sposób palenisku rozniecił płomień.

Kręciły się i skakały w miłym cieple obie wyderki, łasiczka zaś wylazła w górę dziupli i spłoszywszy wiewiórkę, *iure caduco*¹¹⁶ zagarnęła jej spizarnię, o czym zaświadczył grad bukiew i orzechów, z góry na dół spadający. Żal było chłopcu biednej lasów tanecznicy, pozbawionej zapasów, skrzętnie zebranych na zimę; pocieszał się jednak zwykłym w podobnych wypadkach rozgrzeszeniem, że orzechy były wysmienite, wiewiórka zaś nie zginie z głodu, mając w lesie dostatek buczyny, szyszek i różnego innego jadła.

— Pierwsza rzecz — rozważał — zaspokoić głód i dobrze wyspać się; później postanowimy, co czynić dalej.

Karasię, nożykiem wypatroszone, z łuski oskrobane i starannie w wodzie wymyte, już skwierczały na węglach, wydając zachęcający aromat. Zanim zwęgliły się, zjadł je z wielkim apetytem, przegryzając kruszynami chleba. Na wety posilił się orzechami i popił czystą, jak kryształ, wodą.

— Miał tatuś rację — pomyślał — że głód i fizyczne zmęczenie są każdego jadła najsmaczniejszą przyprawą. Ciekawym, czy równie sprawdzi się twierdzenie mamy, że po skrzętnej pracy

¹¹⁶ *Iure caduco* – łac.: prawem kaduka, bez podstawy prawnej.

i dostatecznym posiłku twardy sen daje czyste sumienie, po śnie zaś — dobrą radę. Byle mi zimno snu nie spłoszyło.

Dołożył łuczywa, zakopał się w mchu, przytulił do siebie obie wyderki i zasnął.

Wydry, jakby rozumiejąc, o co chodzi, leżały cichutko, a łasiczka, korzystając ze swobody, pomknęła na polowanie, myśląc:

— Wszystko to bardzo pięknie, jednak nie zawadzi własnemu także żołądkowi dogodzić.

Długo spał; łasiczka z nasyconym żołądkiem wróciwszy z polowania, zwinęła się w kłębek i także zasnęła, a zamiast bladego słońca jeszcze bledszy księżyc ciekawie zza chmur wyjrzał przez gałęzie na białą w śniegu puszcę, wtargnął promykami do jaskini i bardzo się dziwił, że w pieczarze dawno już ognisko wygasło. Wreszcie, znudzony skrzywił twarz i z wolna odszedł ku zachodowi, po przeciwnej zaś stronie widnokregu bojaźliwie, jak na zwiadach, zamigotało kilka smutnych promyków świtu.

Słońce wychyliło się już ponad las, gdy Zygmund wstał ze snu pokrzepiony, wypoczęty i pełen otuchy. Nie zapomniał pomodlić się, a potem łowił z wydrami świeże ryby i rozłukiwał orzechy.

— Muszę mieć — rozmyślał — dostateczny zapas gotowego jadła, zanim ku Toni wyruszę. Nic mnie do pośpiechu nie zmusza. Mam wygodną i bezpieczną kryjówkę, mam ryby w wodzie, których, ile zechcę, nałowić i nasuszyć mogę. Upoluję nieco zwierzyny, a może jeszcze jedną dziuplę z orzechami znajdę. Zresztą, sama przezorność każe mi poznać całą okolicę leśną i dobrze się zorientować, którędy iść trzeba do domu najprostszą i najbezpieczniejszą drogą.

Tego dnia i następnych robił w głąb puszczy wycieczki w różne strony, przypominając sobie kierunek drogi, odbytej ze zbójcami. Ale łupy myśliwskie zupełnie go zawiodły. Zwierzyna jakby powymierała, chociaż na śniegu sieć rozlicznych śladów, w różne krzyżując się zygzaki, nie potwierdzała tak smutnego przypuszczenia. Nie powymierały zwierzęta, tylko chytrzej umiały unikać

młodego myśliwego, niżli ten je tropić. Za to ze znacznym uspokojeniem zobaczył, że jaskinia zbójcka, z której umknął, ciągle była głazem zawalona, co dowodziło, że zbój albo wcale nie wrócił, albo wróciwszy i nie znalazłszy więźnia, odszedł, zawalivszy wejście.

Już wszystko przygotował do podróży i miał ją nazajutrz rano rozpocząć. Właśnie po południu leżał na swym miękkim barłogu z mchów i liści, czując, że mu nieco żal będzie na zawsze opuszczać to ciche schronienie: gdy nagle z niemałym zdziwieniem usłyszał pojedynczy strzał, rozlegający się echem między drzewami, a niemal równocześnie przeciągłe, skowyczące, gromadne i przeraźliwe jakieś wycia.

Zerwał się; skoczyły z legowiska drżące ze zjeżonym włosom wydry i łasica. Wilki! Drugi strzał. Znowu piekielny wrzask wilczej gromady. Wszystko to mniej więcej w odległości zbójckiej grotty i w tamtej stronie.

— Napadły kogoś głodne wilki — pomyślał Zygmunt. — Straszny to wróg, z którym nie ma żartów. W jednej chwili rozszarpną na kawałeczki, jeżeli napadnięty w porę nie wdrapie się na drzewo lub na niedostępną skałę. Dobrze, że mocny wiatr dmie ku mnie. Byłem już raz węzem w grocie, spróbuję być nim drugi raz, aby jak najbliżej podpełznąć i zobaczyć, czy nie zdołam dać napadniętemu pomocy.

Lecz nagle zachwiał się w postanowieniu.

— A nuż wilki napadły zbója, który mnie uwięził w grocie? To bardzo prawdopodobne! Sprawdziłoby się przysłowie: *Niósł wilk, ponieśli i wilka*¹¹⁷.

Rychło jednak dobra w chłopcu zwyciężyła natura.

— Jeżeli wilki napadły zbója, tym piękniej będzie z mojej strony, jeżeli zdołam mu w czym pomóc i za zło odwdziżyć się dobrem. Tylko mądrze i chytrze weźmy się do rzeczy, naśladowac

¹¹⁷ Mowa o przysłowiu: „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka”.

przebiegłość węża i zwinność odważną łasicy. Pamiętajmy także, co mówił duch puszczy i bieliznę włóżmy na wierzch odzienia, by do śniegu się upodobnić. Strzały powtarzają się w równiejszych odstępach, widno napastowany z bezpiecznego już strzela miejsca. Tak będzie strzelał, dopóki mu prochu i kul nie zabraknie. Teraz naprzód, byle cichutko, ostrożnie, od krzaczka do krzaczka. Cicho, wyderki, nie skomleć! Czy chcecie zgubić mnie i siebie? Powtarzam wam, z wilkami nie ma żartu! A ty, łasiczko, pełnij ciągle naprzód i prowadź; masz węch o wiele czulszy od mojego i znacznie bystrzejsze oczka, słusznie tedy należy ci się przewodnictwo. Mądrze robisz, że nas prowadzisz ku tylnej szczelinie grotu. Tam można bezpiecznie schronić się albo na cypel skalny, albo i w samej grocie; a także widok stamtąd lepszy. Prawda, prawda! Proch, pakuły, lonty i broń tam zakopane! Kto wie, czy rychło nie przyjdzie odkopywać tego skarbu.

Mińęło pół godziny, zanim przyczołgał się do miejsca, w którym źródło wpływało do jaskini. Przez ten czas strzały coraz były wyraźniejsze i coraz głośniejsze wycia, szczeki i ujadania wilczej gromady. Zwinnie, z wolna i z największą ostrożnością wdrapał się Zygmunt na skalny cypel, wychylił zza krzewów nad urwiskiem głowę i zdrętwiał ze zgrozy. Tuż pod sobą o jakie 30 do 40 łokci w dole, niemal przy samym głównym wejściu do grotu zobaczył liczne stado wilków. Przeciągłe, przeraźliwe ich wycie i kłapanie zębami przejmowało dreszczem i włosy podnosiło na głowie. Rozwarte ich pyski i rude kudły krwią były zbroczone, kose ślepia rzucały wściekle błyski. Niektóre kłębiły się jeszcze obok wywróconego wozu, potężnymi szczękami rozgryzając do szczętu jakieś grube kości, zajadle przy tym charcząc i gryząc się między sobą. Inne ze świeżą krwią na pyskach pokładły się na ziemię. Tamte, półkołem stanawszy na zadach, to wyły wniebogłosy, to zgrzytając zębami lub ciężko dysząc, z wywalonymi ozorami wściekle ślepia zwracały w jedną stronę, ku gorze. Te zgrzytając zębami wspinały się przednimi łapami na drzewo lub podskakiwały zajadle ku jego gałęziom.

Spojrzał Zygmus na to drzewo i ledwo całą siłą woli i przytomności zdołał wstrzymać się od okrzyku: dziadunio! Tak, nie inaczej, on we własnej osobie, siedzi na konarze drzewa w zimowej swej wilczurze, z baranicą na głowie. Spokojnie nabija strzelbę, potem mierzy, daje ognia, a za każdym strzałem jeden wilk ze straszliwym wrzaskiem wywraca w powietrzu koziołka i pada martwy na ziemię. Gromada każdy taki cios przyjmuje wyciem, szczekaniem, skakaniem ku gałęziom drzewa.

— Gdybym był nie powstrzymał się od okrzyku na widok dziadunia, okrążyłyby wilki skałkę i miałbym je pewno na karaku. Ale dziadunio w trudnym położeniu! Skąd tu wziął się sam jeden? Co zrobić, żeby go od oblężenia uwolnić?

Pogrążył się w cichych, skupionych rozmyślaniach. Wreszcie zabłyśły mu oczy radością.

— Tak — szeptał — tak, przygotuję im dobrą łąźnię. Wieczór już, noc rychło zapadnie. Ale przez tę noc jeszcze dziadunio wytrzyma.

Jakoż rychło noc zapadła; wilki ani myślały odejść; przeciwnie, usadowiły się wygodnie pod drzewem, z którego strzały coraz rzadziej raziły.

Co przez tę noc robił Zygmus, łatwo się domyślmy, zobaczywszy scenę, która rozegrała się skoro świt nad ranem.

Wzdłuż skalnego cypla leżało kilkanaście nabitych i do strzału gotowych strzelb, niektóre z nich, lontowe garłaczce, gdzieś z okopowych obwarowań zrabowane, mogły od razu pełną garścią kulek sypnąć. Leżał także obok pokaźny stos jakby piłek, a każda strzelniczym prochem napełniona, szczelnie pakułami i szpagatem owinięta — miała lont, wnikaający do środka prochu i na zewnątrz wystający. Obok w ukrytym dołku przygotowane było ognisko do szybkiego zapalania lontów.

Ledwo świtać zaczęło, przystąpił Zygmus do ataku, a związał się szybko, aby w stadzie wilczych zbójów wywołać jak największe przerażenie i zamieszanie: najpierw po kolei zapalał lonty

garłaczy i raz po raz ze wszystkich powystrzelał. Nie sposób opisać, jak piekielnym wyciem przyjęło stado wilków tę kanonadę, zwłaszcza gdy zaraz potem nastąpiło bombardowanie pociskami, które, padając, wybuchają i zapalały wilcze kudły. Przerazającym, przeciągłym, wrzaskliwym wyciem w niebogłoty przyjęły wilki ów atak. Powstał nieopisany zamęt; wrzeszczał Zygmus z całych sił, nie posiadając się z radości na widok wilków, gromadnie uciekających w zupełnym rozbiciu i popłochu; krzyczał także z całych sił na swym drzewie doktor, który nie posiadał się ze zdumienia i radości na widok Zygmutia i jego dzieła.

Na dobytek wszystkiego zaszedł nowy najmniej spodziewany wypadek, który popłoch wilczej gromady zamienił w zupełny jej pogrom. Zagrzały od strony drzewa, na którym siedział doktor, nowe jakieś strzały i tuż potem z gwałtownym szczekaniem na karki uciekających wilków rzuciły się dwa ogromne psy.

Z jaką radością, z jakim zdumieniem w psach tych poznali doktor i Zygmus Chana i Beja, a tuż za psami z leśnej gęstwiny wydobywających się na widownię walki Jerzego i Franka we własnych osobach.

Nikt już nie zważał na bohaterskie czyny rozjuszonych psów i na ich pogoń za wilkami. Doktor w komicznym pośpiechu zląził z drzewa, a Zygmus z wydrami i łasicą pędem wiatru gonił i skał po skałach, aby czym prędzej paść w ramiona ojca i dziadka.

Na pobojuwisku, wilczą posoką mocno zboczonym, rozegrała się żywa scena wykrzykników, uścisków, krótkich pytań, urwanych odpowiedzi, której inny, weselszy obrót nadał dopiero Franek żartami.

— To jegomość na tym drzewie nocował? Wygodna musiała być taka pościel. Nikt mnie jednak nie przekona, że jegomość własną mocą wlaź na tak wysoką i bez konarów sosnę; że jednak zląził sam i to bardzo zwinnie, widziałem na własne oczy.

— Gdybyś był w moim położeniu, pewno byś nie zdołał umknąć na sosnę, ale by zjadły cię wilki razem z koniem. Teraz

żartujesz, bo masz pełny żołądek; mnie z pustym nie do żartów. Z głodu omal nie spadłem na śniadanie w rozwarte paszcze tych bestii. Dajcież mi wreszcie co zjeść do licha, jeżeli nie chcecie, abym was pożarł.

Nikt jednak nie miał przy sobie pokarmu, więc Zygmus z wielką dumą i uroczyście zaprosił wszystkich na posiłek i wypoczynek do własnego domu. Wkrótce też i psy, pogonią mocno zziajane, powróciły; cała tedy familia w krótkim czasie zasiadła w norze Zygmuta dookoła roznieconego ogniska, z zadowoleniem racząc się jego skromnymi zapasami ryby i orzechów. Opowiadano sobie przy tym najświeższe przygody; zwłaszcza Zygmus wszystko, co go spotkało od chwili uprowadzenia, opowiadać musiał z najdrobniejszymi szczegółami. Z zajęciem słuchano także opowiadań doktora, który przed bandą wilków ledwo uszedł z życiem, rzucając na ich pastwę konika i wóz, zapełniony zapasami i ciepłą odzieżą.

— Szelmy zaskoczyły mnie najniespodzianiej; bo kto mógłby przypuścić, że już w grudniu zaczną się zrzeszać, gdy dzieć się to zwykło dopiero koło Gromniczej. Najwięcej żał mi konika i nie wiem, jak z jednym damy sobie rady. Co do zbója, o którym Zygmus opowiadał, myślę, że go rozszarpały wilki, gdyż po drodze blisko jaskini oglądałem liczne wilcze ślady oraz szczątki ludzkiego odzienia, co mi kazało mieć się na baczności.

— I na pierwszy widok wilków wdrapać się na wysoką sosnę — dodał Franek.

— Nie wstyd umykać na drzewo przed głodnym stadem wilków. Straszny to wróg, przed którym nie ostoi się ani żubr, ani niedźwiedź. Wilcze stado zmoże nawet liczną gromadę dzików, dościga w nieznużonej pogoni każdego wroga, nawet szybkonogiego jelenia. W tym dowód, jaką stanowi potęgę zrzeszenie się jednostek dla własnej obrony lub zgodnego dążenia do wspólnego celu.

— Ładny mi dowód, skoro sam jegomość twierdzi, że dzikom nic to zrzeszenie się nie pomaga do obrony przed wilkami.

— Ty, Franku, dobry byłbyś na posła sejmowego, lubisz bowiem wszystkiemu przeczyć i na nic się nie zgadzać.

Tak gwarzyli, zanim zmęczenie do snu ich nie skłoniło. Przed samym snem mówił Jerzy do syna:

— Dzięki Bogu, żeś się nam znalazł, a nie mniej, że dzielnie się spisałeś, z czego w swoim czasie wypłyną korzystne dla ciebie skutki. Nie zwlekając zaraz jutro rano udamy się w powrotną drogę, a po drodze zabierzemy kilka cennych skór, które mnie i Frankowi udało się zdobyć w naszej włóczędze po puszczy.

XIX
POWRÓT — KISIEL — POSŁANIEC —
BOŻE NARODZENIE — PROŚBA ZYGMUSIA —
OFIARA HERSZTA ZBÓJÓW

Zmęczeni, zabłoceni, zziębnięci i głodni wracali do osady, która z daleka jak czarodziejskie wyglądała siedlisko, tak roiła się od różnego ptactwa, tak była obleşona różną zwierzyną, Hania bowiem nie tylko ptakom rozsypywała ziarna, lecz za palisadami rozrzucać kazała pokarm dla wszelkich innych zwierząt.

Radość jej na widok wracających nie da się wysłowić. Zwłaszcza Zygmunia ze łzami w oczach ścisnęła. Na wiadomość o jego przygodach łzy te zmieniły się w błysk szlachetnej i błogiej dumy.

— Odwagą swoją i roztropnością udowodniłeś, że już nie chłopcem jesteś, lecz młodzieńcem. Jestem dumna z ciebie!

— Mamusiu złota — szeptał odwzajemniając uściski — pragnę być w całym życiu dobry, pracowity i pożyteczny.

— Niech Bóg błogosławi cię, mój synu i umocni w tym postanowieniu.

Niedługo wypoczywali nasi koloniści po ostatnich przygodach. Jedni na żarnach przerabiali świeżo wymłócone zboże w grubą mąkę, inni w stępie tłukli jęczmień i proso na kaszę. Gospośnia już rozmyślała o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia, postanawiając zwłaszcza wigilijną ucztę urządzić jak najwspanialej. Dostatku ryb była pewna, o to nie bolała głowa; wypiek razowego chleba również nie nastęczał trudności, gdyż miała w dzieży kwas na rozczyn, miała dostatek żytniej mąki i soli, a dla przysmaku wisały w spizarni pełne woreczki kminku i czarnuszki, zebranej w lecie na łąkach; miała także zapas miodu,

maku, starannie obtłuczonej na kutię pszenicy, dostatek grzybów i orzechów, a z daru kupców nawet rodzynki i migdały. Natomiast kłopot był z masłem i mlekiem, gdyż krowy na wycieleniu poskąpiły mleka; żadnego także zapasu jaj nie było, ani pszennej mąki cieniutko mielonej, o drożdżowych tedy struclach nie mogło być mowy i musiała poprzestać na pieczywie pszennym z grubej mąki i bez drożdży, osłodzonym tylko miodem, rodzynkami, migdałami i makiem.

Ale z niespodzianą pomocą w tych kłopotach przyszedł doktor.

— Nauczę cię, jak bez pszenicy można mieć mąkę tak delikatną, że zakasuje wszelkie nulki¹¹⁸. Z ziemniaków ją zrobimy, a z tej mąki ziemniaczanej wyśmienity kisiel, jeżeli tylko między kuchennymi sprzętami posiadasz blaszaną tarkę.

Okazało się, że tarka była. Obrane tedy ziemniaki rozcierano na tarce do wody. Ich mączny osad, należycie wysuszony, okazał się jak śnieg bielutki i delikatny, jak puder.

— Widzisz — mówił doktor — z tej mąki możesz na mleku ugotować kisiel.

— Ależ nie mam mleka!

— Prawda, nie mamy mleka! No, nic to. Obejdziemy się bez krowiego mleka. Wszak mamy orzechy i migdały. Zrobimy z nich mleko smaczniejsze od krowiego. Mamy także owocowe soki. Kisiel migdałowym zabarwiony sokiem będzie biały, a sokami z jagód – kolorowy. Czyż nie wspaniale wypadnie uczta wigilijna? Pomyśl: barszcz z uszkami, ryby, grzyby, kutia z makiem, kisiel, słodkie ciasta, gorący krupnik na miodzie. Czegóż więcej żądać? Nawet opłatki jakoś wymajstrujemy.

Jerzy tymczasem z Frankiem inne mieli zajęcia, w których także Zygmunt uczestniczył: polowania. Chodziło im o to, aby skorzystać z zimowej pory i zaopatrzyć się w cenniejsze futra zarówno na codzienny użytek, jak na sprzedaż. Każdego dnia

¹¹⁸ *Nulki* – prawd. od *nulka*, dawn. – rodzaj cyrkla.

skoro świt wyruszali z psami w puszcę na łowy, a co dzień wracali ze skórami lisów, bobrów, kun leśnych, gronostajów, rysiów i żbików. Resztę dnia poświęcali na pracowite odczyszczenie owych skórek i należyte nacieranie ich tłuszczem.

Rozkoszne były to dla Zygmunia wyprawy. Mężniał on, krzepiąc nie tylko fizyczne siły, lecz wzbogacając bystrość swą, przytomność umysłu, wytrwałość i odwagę. W ustroniach puszczy wytropiono nawet w paru miejscach legowiska niedźwiedzi i zamierzano urządzić zbiorową wyprawę na tego zwierza. Na szczęście śladu stad wilczych dotychczas nie spotkano. Miano się jednak na ostrożności, wiedząc, że w swoim czasie zgłodniałe wilki poczną niepokoić całą okolicę puszczy.

W owym czasie herszt zbójów, który coraz szybciej wracał do zdrowia, wstawać począł ze swego postania i już nawet przebąkiwał o rychłym opuszczeniu dotychczasowej gościny. Ani słyszeć nie chcieli o tym nasi koloniści, którzy przywykli już do swego małomównego gościa, zwłaszcza że od pewnego czasu znacznie on złagodniał.

— Całe życie za waszym tu przypieckiem mam spędzać? — pytał.

— Tak długo w każdym razie, dopóki nie skrzepnie ci zdrowie — odpowiadali Jerzy i doktor.

Ów szczególnie herszt zbójów okazywał, rzecz dziwna, coraz wyraźniej niezwykle w owych czasach wykształcenie, lubo krył się z tym widocznie. Obcował najchętniej z Zygmuntem i w rozmowach z nim najwięcej jeszcze odsłaniał duszę, zwłaszcza że Zygmunt, kierowany wrodzoną naturalnością, swobodą i żywością umysłu, zwierzał mu się ze wszelkich myśli, zamiarów i uczuć. Instykt chłopca odczuwał tragiczny ból w krótkich, szyderczych zdaniach zbója; ból ten uśmierzał bezwiednie i łagodził gorącymi wybuchami żywotności, pełnej zapału i wiary. Herszt, oceniając szczerą, nie posuwał się do drwin cynicznych, a nawet z mimowolną przyjemnością poddawał się koją-

cym wpływom, nawzajem obdarzając chłopca niejedną uwagą, z doświadczenia i znajomości życia zaczerpniętą.

Zbliżały się święta i wszyscy mniej lub więcej ulegali wpływom tej okoliczności, a najbardziej gospoia.

Parę dni przed samą wigilią w południe zdarzył się najmniej oczekiwany wypadek. Jakiś chrapliwy krzyk poza palisadami, przyjęty ujadaniem psów, zdziwił i zaniepokoił naszych osadników. Okazało się, że przybył pieszy posłaniec z Gnojna od brata Jana. Nad Dolną Toń dobrnął on po długim błędzeniu w puszczy, a w jakim stanie, trudno wysłowić: wynędzniały, obszarpany, zziębnięty, głodny, ledwo mógł utrzymać się na nogach. Czym prędzej zaprowadzono go do izby, zdjęto z pleców spory tobół, ogrzano przy ognisku, pokrzepiono gorącym, do wili przygotowanym, krupnikiem, a potem jadłem. Był jak oszołomiony, ale wreszcie rozwiązał mu się nieco język:

— U, chwała Bogu — powtarzał — zem trafił wreszcie. Myślałem już, że w puszczy zamarzną, jak suchy pień. Kupcy mówili, opisywali, nawet rysowali. Cóż? Puszcza – nie żarty, jeszcze w zimie. Sto razy zabłądzisz, z mrozu i głodu zdechniesz. U, no! Chwała Bogu. Listy tam jegomość oddać mi kazał, zaraz wyjmę zza pazuchy¹¹⁹.

Brat Jan wyjaśniał w liście do doktora, że długo rozważał, jak by nawiązać z kolonistami stosunki. Ułatwili sprawę kupcy, których spotkał wracających z towarami. Opowiadali oni o walce ze zbójami i roli, jaką w niej odegrali koloniści. Dowiedziawszy się o tym i dokładnie wypytawszy o drogę, miał zamiar wyruszyć zrazu sam wózkami lub sankami. Rozwaga jednak nakazała mu odłożyć wykonanie tego zamiaru na kilka miesięcy, zwłaszcza, gdy znalazł się ochotnik, znający puszcę, jak własną kieszeń, chłop silny, kłusownik zawołany, który obiecał najpierw pieszo wypróbować drogę, listy i przesyłkę odnieść, najpilniejsze po-

¹¹⁹ *Zza pazuchy* – dawn.: z zanadrza, spod ubrania.

trzeby wybadać, a po swym szczęśliwym powrocie na pewniaka już jezdnej wyprawie przewodniczyć. Niech tedy wraz z opłatkami, które posyła, przyjmą uściski, pozdrowienia i życzenia świąteczne; prócz paru setek zrazów do szczepienia, listów i pism do doktora, przysłanych z zagranicy, nie przesyła im nic więcej, aby posłańca nie obciążyć. Za to w maju, gdy osobiście na parę tygodni przyjedzie, przywiezie, czego najpilniej potrzebują.

Ów pierwszy w puszczy poseł z siedzib ludzkich był nie byle jakim świątecznym podarunkiem pocziwego Jana. Zrazy grusz, jabłoni, śliw i innych drzew szlachetnych spełniały najgorętsze życzenia doktora, pragnącego na wiosnę jak najwięcej szczepić. Również listy i naukowe pisma ogromnie go ucieszyły, gdyż zawierały chlubne oceny dawnych jego prac przyrodniczych i wyróżnienia zagranicznych naukowych instytucji. Radość była powszechna.

Dzień wili¹²⁰ Bożego Narodzenia nadszedł, a Hania zapowiedziała z góry, że aż do pierwszej wieczornej gwiazdy wszyscy tego dnia muszą suszyć i być jej pomocni.

— Jest coś szlachetnego — mówiła — w zachowywaniu tradycji, żaden naród lekceważyć jej bezkarnie nie śmie. Niektórzy śmieją się z postów. A jednak, pominąwszy korzyść higieniczną, szczerzy post jest gimnastyką woli, jest triumfem ducha nad cielesnym popędem, jest tradycją przodków, przekazaną potomkom.

Od samego rana dnia tego osada była w ruchu. W okolicy jej rozsypano dla zwierząt podwójną porcję pożywienia, na stolniach zaś palisad podwójną porcję ziarna dla ptaków. Całe mieszkanie odczyszczono i umajono zielenią. Zygmus zajął się choinką, którą ozdobił stoczkami, zawiesiwszy na gałęziach orzechy, migdały i pierniki. Wielki stół w jadalni pokryto cienką warstwą siana i białym obrusem; w jednym jej kącie postawiono snop żyta z pełnymi ziarna kłosami.

¹²⁰ *Wili* – od *wilia*, dawn.: wigilia.

Gdy wieczorem na niebie zabłysła pierwsza gwiazda, zebrali się wszyscy w jadalni i w uroczystym nastroju dzielili się opłatkiem, składając sobie życzenia. Nie było przy tym ani zbytków, ani nieprzystojnych żartów. Powaga Hani, Jerzego i doktora tak była wielka, że pohamował się nawet Franek, nawet herszt zbójów w milczącej zadumie i bez żadnych uwag uczestniczył w tradycyjnym obrzędzie.

Dopiero podczas uczty gorący krupnik rozwiązał języki. Wszczęły się rozmowy, wspomnienia, anegdoty. Gdy zaś wstano od stołu i zapalono świeczki na drzewku, śpiewano kolędy.

Wreszcie Jerzy po radzie z ojcem i żoną w te odezwał się słowa:

— Sprawiedliwość każe mi wynagrodzić dziś tego, który w ostatnim czasie w największym był niebezpieczeństwie, a zniósł wszystko cierpliwie, postąpił także roztropnie i odważnie. Mówię o Zygmuśiu, którego dotychczas uważaliśmy za chłopca, a który okazał się młodzieńcem. Myślę, że zgodzimy się wszyscy na to, by odtąd był nam równy pod każdym względem, w dowód czego wręczam mu tę strzelbę, narzędzie obronnej walki i znak samodzielności, żywiąc przekonanie, że władać nim będzie godnie, honorowo i rozsądnie.

Zygmuś, po białka oczu zaczerwieniony, odebrał broń z rąk ojca i ścisnął się po kolei ze wszystkimi. Po czym Jerzy mówił dalej:

— Nie jest to żaden dar łaski, lecz własna twoja zdobycz. Jako ojciec, pragnąłbym ofiarować ci coś takiego, czego sam najwięcej byś sobie życzył. Zawsze byłeś szczery, bądź nim i teraz.

Na to odpowiedział Zygmuś :

— To, czego bym sobie teraz życzył z całej duszy, trudne jest na razie do spełnienia, ale gotów byłbym poczekać, byle spełniło się możliwie rychło.

— Mów tedy śmiało.

— Pragnę wszystkich was, kochani moi, porzucić, a nie tylko was, lecz i tę piękną puszcę leśną.

— Wytlumacz się, mój drogi, nikt cię nie rozumie.

— Życzenie to jest ofiarą, ciężką dla moich uczuć, ale konieczną; do tego przekonania doszedłem po długim wahaniu się i zastanawianiu. Nie przeczę temu, co mi ojciec, mama i dziadunio mówili, że dużo skorzystałem z dotychczasowego pobytu w puszczy. Nie miejcie mi za złe jednak, że z pożytku tego nie zupełnie jestem zadowolony, a sama myśl o dłuższym tu pozostaniu dręczy mnie, powodując ciężkie wyrzuty sumienia. Prawda, że kilka lat już uczyłem się w szkołach, że poznałem nieco dziejów, geografii i łaciny, że i tu nie byłem bez nauki. Czymże jest jednak ów zasób nabytej wiedzy wobec jej ogromu i różnorodności? Cóż stanie się ze mną, jeżeli nie zdobędę praw korzystania z fachowej wiedzy w wyższych uczelniach? Jeżeli prawdą jest, co mi tyle mówiliście razy i czego sam się domyślałem, że duch ludzki w stopniowym swym rozwoju tak wysoko wzniosł się nad pierwotny poziom ducha tej puszczy w religii, sztuce, literaturze, w różnych gałęziach wiedzy, w społecznym prawodawstwie i w ekonomicznym wszelkim postępie – to czemuż mam młode lata więzić tylko w pierwocinach z dala od olbrzymiego wiru wszelkiej cywilizacji? Wiem że i tu można pożytecznie dla ojczyzny i dla ludzi pracować. Pozwólcie mi jednak rozwinąć i wypróbować siły do tej pracy w głównym jej ognisku, między ludźmi, dopóki jestem młody; a gdy moje skrzydła zapału i woli zwątleją wrócę skromnie i z rezygnacją choćby do garncarskiego krążka.

— Spełni się twoje życzenie — odpowiedział z rozwagą i namyśłem Jerzy. — Nie zamierzaliśmy zatrzymywać cię długo w puszczy. Będzie nam przykro bez ciebie, lecz taki jest porządek rzeczy, że rodzice dla dobra dzieci muszą niejedną przyjmować przykrość. Mamy już pewien zasób futer, upolujemy więcej na twoje kształcenie w szkołach, a tymczasem nadejdzie cieplejsza pora i będziesz mógł odjechać.

Z wdzięcznością i rozrzewnieniem ścisnął Zygmunt ojca, matkę i dziadka. A herszt zbójów, który w milczeniu słuchał rozmowy, zbliżył się do Jerzego, odprowadził go w kąć izby i mówił:

— Pogratulować ci syna. Wszystko, co mówił, słuszne i nad wiek jego rozsądne. Mam znaczny skarb, ukryty w jaskini, a mnie niepotrzebny. Przyjmij na jego kształcenie, jako zwrot za moje tu leczenie.

Żachnął się Jerzy:

— Postąpiłeś porywczo w szlachetnym może, ale nierozważnym popędzie. Chcesz mi płacić za gościnę? Pomyśl tylko! Gdybym przyjął, sam w duchu miałbyś mnie za szubrawca.

— Więc Zygmus przyjmie.

— I on nie przyjmie.

— Tak? Chyba przeceniacie wartość złota, które mam na równi z piaskiem?

— Mylisz się. Nie taki powód.

— Nie taki powód? Jakiż tedy? Ach, wiem już! Kramarski wzgląd na tak zwaną obrazę publicznej moralności. Zawsze i wszędzie to wpychanie w beznadziejny dół potępienia. Tak, wolno wam mnie obrażać. Ale i mnie wolno natychmiast się wynieść.

— Ty nas więcej obrażasz.

Ale doktor, zauważywszy jakąś zwadę, podszedł, a dowiedziawszy się, o co chodzi, jął uśmierzać gniew zbója.

— Wiem — mówił — co cię gniewa. Nie lękaj się prawdy. Chcesz zlikwidować skarb, który parzy ci ręce. Rozważ, czy wolno nam przyjąć go, czy w naszym będąc położeniu sam byś przyjął. Ale zamiar twój szlachetny jest i godziwy, wykonania tylko sposób mylny. Skarb twój winien pójść na jakikolwiek użytek dobroczynny. Słyszałem, że w Warszawie zbierają fundusz na szpital i przytułek dla porzuconych, bez opieki dzieci. Błogosławić cię będą sieroty, gdy skarb na ten cel ofiarujesz.

— Żadnego nie pragnę błogosławieństwa!

— Tedy bez błogosławieństwa daj, a w sumieniu własnym skarb posiądziesz, który błogim spokojem cię obdarzy, uciszając wszelkie udręki.

— Udreka miła mi, a spokój obmierzły. Ale dobrze! Rób, jak chcesz i po swojemu, byleś zrobił i byłem nie potrzebował o tym myśleć.

— Zrobię, z radością zrobię, a Zygmus nam pomoże. Przyjmujemy to zadanie, jeżeli już koniecznie tak życzysz sobie, jako zapłatę za pomoc tobie udzieloną, abyś dogodzić mógł własnej dumie, przez co czyn twój nie przestanie być pięknym.

— Noc teraz, jutro zaprowadzę was i zdam wszystkim.

— W gorącej kąpanyś¹²¹ wodzie. Jutro święto.

— Cóż przeszkadza święto? Droga daleka, mnie pilno, więc jutro! Przewozić tu nie trzeba, ukrycie bezpieczne. Poznacie kryjówkę, a na odjezdnym Zygmus zabierze.

— Ty zaś jakie względem siebie masz zamiary?

— Zamiary moje należą do mnie, a czynu nie przyspieszą słowa.

— Dumnyś¹²² i prędko.

— Wiem. Tego nie zmieni już nikt i nic.

Nazajutrz dobrze uzbrojeni i w żywność na kilka dni należycie zaopatrzeni, ruszyli Jerzy, Franek i Zygmus z psami pod przewodnictwem herszta, okrążając szybkim marszem brzegi jeziora i kierując się ku północy. Poważne niebezpieczeństwo mogło im grozić tylko od stada wilków; obliczali jednak, że w najgorszym razie, zawczasu czujnością psów ostrzeżeni, schronić się będą mogli przed wilkami na drzewa, a ponieważ każdy miał w zapasie dużo kul i prochu, więc strzelając celnie, zwalczą nawet większe stado.

Nie był to łatwy spacer, ale przeprawa bardzo mozolna. Lubo śniegu niewiele było i pogoda sprzyjała, brnąć jednak musieli z wysiłkiem po leśnych bezdrożach, zapadając gdzieś w doły śniegiem nawiane, potykając się o kłody i korzenie, zważając o krzaki. Szli jednak wytrwale, zwyciężając trudności,

¹²¹ *Kąpanyś* – kąpany jesteś.

¹²² *Dumnyś* – dumny jesteś.

tym łatwiej znosząc mróz i trudy, że mieli odzież najpraktyczniejszą, która zabezpieczając przed zimnem, niezbyt zawadzała i obciążała: ciepłe futrzane kurty i spodnie łośiowe, od chodaków do kolan szczelnie owinięte szerokimi skórniami.

Noce spędzali w znanych nam z przygód Zygmunta i innych podobnych kryjówkach. Wreszcie po kilku dniach dobrnęli do jeziora, zwanego Górna Tonia, którego malowniczy, acz nieco ponury wygląd pochodził od wapiennych pagórków i nagich nadbrzeżnych skałek.

Nie zwlekając, skierował się herszt zbójów w ciasny, gęsto zarośnięty wąwóz i stanął przed otworem ukrytej w gęstwinie groty. Tu skinął na towarzyszących ręką, by zaczekali, sam zaś wydobywszy ze szczeliny pochodnię, zaświecił ją i wszedł do wnętrza. Nie wracał jednak tak długo, że zniecierpliwieni jęli wreszcie rozniecać ognisko, aby ogrzać się, posilić i wypocząć.

Upłynęło parę godzin, zanim wyszedł wreszcie, zgasił pochodnię i legł przy ognisku, mówiąc:

— Jeszcze zaczekamy.

Jakoż po upływie kilku minut głuchy huk rozległ się z wnętrza groty, wstrząsnęły się wapienne posady i dym począł wydobywać się ze wszystkich otworów i szczelin.

Ze zdziwieniem spojrzano na herszta. Spokojny, nieco szyderczy uśmiech towarzyszył jego odpowiedzi na nieme pytania:

— Eksplozja prochu, do której pomogły lonty i parę beczek rozlanego spirytusu. Gdy zgorzeje, co trzeba, a dym się rozejdzie, wejdziemy.

Lecz z powodu dymu, który bardzo powoli opróżniał groty, musieli już przenocować u jej wejścia.

Dopiero na drugi dzień rano dostali się do środka. Tu nie zatrzymując się w głównym wnętrzu, zawalonym okopconymi kamieniami, zaprowadził herszt bocznym chodnikiem do ciasnej kryjówki, gdzie wskazując na dwie spore beczułki, powiedział:

— Uczynicie z tym wedle woli.

Po czym bezzwłocznie rozpoczęli powrotną drogę i szczęśliwie, bez żadnych przygód, wrócili do własnej osady.

Ale na drugi dzień herszta zbójów już nie było w ich siedzibie. Bez pożegnania odszedł nocną porą nie wiadomo dokąd.



XX ZAKOŃCZENIE

Zapewne zapytacie, młodzi czytelnicy, jakie były dalsze losy naszej leśnej osady: czy udały się polowania na niedźwiedzia, czy dużo cennych skór na kształcenie Zygmunia upolowano, czy staczano jeszcze jakie walki z wilkami, kiedy i jak spełnił się zapowiedziany przyjazd brata doktora, Jana, i odjazd Zygmunia.

Wszystkiego tego sami musicie się domyślić, a w domysłach radzę zachować jak najwięcej optymizmu, gdyż koloniści nasi, jak mogliście zauważyć, nie tylko pracowici byli, lecz także przeczorni, praktyczni i skromni, nie zrażając się drobnymi trudnościami, wytrwale działać umieli i dążyć do pożytecznych celów. Z tych powodów mieli we wszystkim stałe powodzenie.

Brat doktora, Jan, przyjechawszy do nich w odwiedzin na wiosnę, nadziwić się nie mógł, jak wiele w tak krótkim stosunkowo czasie dokonali, a odjeżdżając razem z Zygmuntem, prócz skarbu herszta zbójów, zabierał ogromną furę, pełną najcenniejszych, znakomicie wyprawionych i zakonserwowanych futer.

Zygmunt w dzień przed swym odjazdem długą miał rozmowę z rodzicami. Nie należy dziwić się, że ci, choć znali piękne zalety umysłu i serca swego syna, choć zapewnioną mieli w Warszawie troskliwą nad nim opiekę, jednak z wielkim niepokojem na świat go wysyłali, dobrze wiedząc, jakie w tym świecie na każdym kroku niebezpieczeństwa grożą ludziom młodym, przeto niedoświadczonym.

— Niech cię, mój drogi synu, Najświętsza Matka, której wizerunek na piersi nosisz, ustrzeże od złego! — mówiła ze łzami matka.

— Popadniesz — mówił ojciec — w wir interesów ludzkich i namiętności, w wir różnych wpływów, zarówno godziwych, jak przewrotnych i niecnych. Będziesz ciągle musiał sam własną wolą wybierać, z własnym borykać się rozumem, z własnym sumieniem. Łatwiej zabłądzić w świecie pełnym mamideł, niż w pierwotnej puszczy, która jest brutalna, lecz szczerą. Wiem, że przestrogi, rady, morały rodziców mało ważą, zwłaszcza tam, gdzie sama natura jest zawodna, nie znajdując w sobie samej oporu, hartu, pomocy, rady. Gimnastykuj wolę, ćwicz powściągliwość i władzę nad popędami! Oto pospolita rada, którą od początku świata z różnym niestety skutkiem starzy rodzice dają na drogę życia młodym swoim synom. Innej i ja dać ci nie umiem. Com mógł, tom już dał. Masz w sobie ducha prawości i zapału, masz dar osobistej godności. Nie przepadniesz! Obyś tylko zdołał uniknąć wielu złudzeń i doświadczeń, których zwykliśmy żałować poniewczasie!

Ścisnął Zygmuś matkę i ojca z rozrzewnieniem, powtarzając:

— Przyjadę tu za rok, mateczko, przyjadę, ojczu, przyjadę dziaduniu. Żadnych nie składam przyrzeczeń. Co będę mógł – uczynię, może, przyjechawszy tu, już zdołam złożyć wam jakieś dowody mocnych moich postanowień.

KONIEC



**CZĘŚĆ
TRZECIA**



Konteksty interpretacyjne



I
W kręgu pisarstwa dla dzieci i młodzieży
z motywem Puszczy Białowieskiej.
Duch puszczy podlaskiej Mikołaja Mazanowskiego¹

Poszukując problematyki i motywu Puszczy Białowieskiej w polskiej literaturze dla niedorosłych, wypada wspomnieć jeden z najstarszych tekstów, w których pojawia się żubr i środowisko puszczańskie, to znaczy Mikołaja Hussowskiego *Pieśń o żubrze, jego postaci, dzikości i o polowaniu na niego*, napisana na przełomie 1521/1522 roku, a wydana w 1523 roku². Jest to prawdopodobnie pierwsza ogłoszona drukiem książka dotycząca Puszczy Białowieskiej, zawierająca barwny opis żubra i jego obyczajów oraz opis polowania na żubry, które było szkołą odwagi, męstwa, waleczności, ale też szkołą szacunku do przyrody dla szesnastowiecznej młodzieży. Zofia Ożóg-Winiarska tak pisała o dziele Hussowskiego w swej monografii *Przyroda w liryce dla dzieci u schyłku XX wieku*:

Pierwszą i najdawniejszą lekcją miłości do przyrody ojczystej oraz rozumienia jej stworzeń przyniosła w dziejach poezji naro-

¹ Pierwowzorem tekstu jest mój artykuł pn. *Puszcza Białowieska w literaturze dla dzieci i młodzieży do okresu międzywojnia – zarys historii motywu*, „Bibliotekarz Podlaski” 2016 nr 2, który został częściowo zmieniony i poszerzony.

² Warto zwrócić uwagę na piękne, wielojęzyczne wydanie *Pieśni o żubrze* z 2007 r., przygotowane przez Stowarzyszenie Uroczysko. Zob. M. Hussowski, *Pieśń o żubrze, jego postaci, dzikości i o polowaniu na niego*, Supraśl 2007.

dowej łacińska *Pieśń o żubrze* Mikołaja Hussowskiego. Wskazywała ona środowisko puszczańskie jako środowisko społeczne, ludzkie. Igraszki dzieci-żubrzątek miały „oddemonizować” świadomość włoskiej, śródziemnomorskiej elity i uwolnić ją od lęku przed światem niedostępnym dla człowieka³.

Piękno puszczy, w tym białowieskich ostępów, odkryli jednak przede wszystkim romantycy, między innymi Adam Mickiewicz, Wincenty Pol, a później także kolejni twórcy: Henryk Sienkiewicz⁴, Zygmunt Gloger, który w swej książce *Białowieża* pisał:

„Nie przynosi to wcale chluby naszemu piśmiennictwu, że żubrem i Białowieżą więcej stosunkowo zajmowali się cudzoziemcy niż my, że gruba nieświadomość nasza bywa czasem wprost nieprzyzwoitą”⁵.

Warto podkreślić, że zarówno Gloger, jak i wcześniejsi pisarze (przede wszystkim Mickiewicz) wywarli bardzo duży wpływ na twórczość dla dzieci i młodzieży, poświęconą tematyce przyrodniczej, puszczańskiej.

Okazuje się bowiem, że przynajmniej już od czasów pozytywizmu podkreślano, zwłaszcza w nurcie prozy krajoznawczej dla młodych czytelników, ważność różnych zakątków Polski o dużych walorach przyrodniczych (miedzy innymi Maria Julia Zaleska, Władysław Umiński, Wiktor Gomulicki, Zofia Urbanowska, Mieczysław Brzeziński). Oczywiście niekwestionowane i uprzywilejowane miejsce miały wśród nich Tatry oraz Bałtyk, ale również polskie puszcze stanowiły cel wędrówek i podróży krajoznawczych bohaterów powieściowych. Krystyna Kulickowska zwraca-

³ Z. Ożóg-Winiarska, *Przyroda w liryce dla dzieci u schyłku XX wieku*, Piotrków Trybunalski 2001, s. 111.

⁴ H. Sienkiewicz jest autorem szkicu *Z Puszczy Białowieskiej*, Warszawa 1907 (wcześniej wydane w prasie), będącego pokłosiem wycieczki Sienkiewicza i Glogera do Puszczy Białowieskiej w 1882 roku.

⁵ Z. Gloger, *Białowieża*, Warszawa 1907, s. 35.

ła uwagę, że nie bez powodu w drugim konkursie na powieść dla młodzieży „Tygodnika Ilustrowanego” z 1887 roku nagrodzono opowieść krajoznawczą *Dwa dni w podróży* Stefana Gębarskiego, która zapoczątkowała rozkwit i popularność tego typu beletrystyki⁶. Jej zdaniem „podtrzymywanie ducha patriotycznego w latach niewoli poprzez krzewienie umiłowania ziemi ojczystej, jej bogactw i zabytków, piękna jej przyrody stanowiło istotny element ideału wychowawczego epoki”⁷.

Warto też niewątpliwie zatrzymać się na wierszowanej „geografii” Polski dla dzieci *Abecadło polskich dzieci w krajobrazach*, z 1906 roku, autorstwa Artura Oppmana. Zofia Budrewicz podkreślała, że książeczka ta była „oryginalnym artystycznie pomysłem na propagowanie wiedzy o ojczystych krajobrazach przyrodniczo-kulturowych. Elementarz kształtował pierwsze dziecięce wyobrażenia przestrzenności regionalnej oraz świadomość granic kraju”⁸. *Abecadło* Oppmana posiadało wyraźny cel patriotyczny, miało wzbudzać miłość, przywiązanie do ojczystej ziemi, wskazywać piękno i urok polskiego krajobrazu, co zresztą zostało wyrażone *expressis verbis* w wierszu rozpoczynającym dziełko. Autor zwracał się tu bezpośrednio do dzieci i informował, iż książeczka: „swojską nutą dzwoni / O naszej ziemi ukochanej / I opisuje czar tych błoni / I kwietne łąki, zbożne łąny”⁹.

Na wyobrażonej mapie Polski autor wyznaczył jednocześnie miejsca ważne, które „od dziecka znać należy”. Wśród nich, pod literą „B” znalazły się: Bałtyk, Beskidy, Bieszczady, Berezyna, Bielany i Białowieża, której wizytówkami są puszcza oraz żubr:

⁶ Zob. K. Kuliczowska, *Literatura dla dzieci i młodzieży w latach 1864–1918. Zarys monograficzny. Materiały*, Warszawa 1981, s. 56.

⁷ Tamże, s. 57.

⁸ Z. Budrewicz, *Lekcje polskiego krajobrazu. Międzywojenna proza podróżnicza dla młodzieży*, Kraków 2013, s. 89.

⁹ A. Oppman, *Abecadło polskich dzieci w krajobrazach*, Warszawa 1906, s. 7.

Wielka puszcza Białowieży
Nadnarwiańską zdobi stronę,
Tutaj jeszcze żubry żyją
W innych krajach wytępione¹⁰.

Białowieżą interesował się niewątpliwie zapomniany już pisarz dla dzieci, Bohdan Dyakowski (1864–1940). Był on biologiem i pedagogiem, popularyzatorem wiedzy przyrodniczej oraz ochrony przyrody (współzałożycielem Ligi Ochrony Przyrody w Polsce), nauczycielem biologii i fizyki w szkole realnej Władysława Górskiego¹¹. Zajmował się także programami i metodyką nauczania przyrody, stąd ważną część dorobku pisarskiego Dyakowskiego stanowiły publikacje dla dzieci i młodzieży, które przybliżyły wiedzę przyrodniczą. Duża ich część, ujęta w formy opowiadań, powieści, pogadanek, dotyczyła przyrody, fauny i flory rodzimej – *Nasz las i jego mieszkańcy* (1898); *Z naszej przyrody* (1903); *W góry, w góry, miły bracie: opowiadanie na tle wakacji uczniowskich w Tatrach* (1912); *Wąż Władka* (1922); *Myszka babuni* (1931); *Leszek jedzie na Podole: opowiadanie o jaszczurkach, węzłach i żółwiach krajowych* (1938).

W obszernym dorobku Dyakowskiego znaleźć też można utwór dla młodzieży w całości poświęcony Puszczy Białowieskiej *Z Puszczy Białowieskiej*, opublikowany w 1908 roku (w 1926 autor wydał poszerzoną wersję). Ma on formę powieści podróżniczo-krajoznawczej, w której trzej 15-letni chłopcy – miłośnicy przyrody, wraz z przewodnikiem, dwudziestoletnim Jankiem, słuchaczem wydziału przyrodniczego – wyruszają na kilkudniową wycieczkę z Warszawy do Białowieży. Słusznie stwierdził Grzegorz Leszczyński, że w konwencji i formie pisarstwa poz-

¹⁰ Tamże, s. 10.

¹¹ Zob. hasło *Bohdan Dyakowski* w: *Encyklopedia Puszczy Białowieskiej*, tryb dostępu: <http://www.encyklopedia.puszcza-bialowieska.eu/index.php?dzial=haslo&id=536> (03.01.2016).

stał Dyakowski „wierny pozytywistycznemu modelowi prozy dla młodego odbiorcy, działalność pisarską traktował jako drogę do szerzenia wiedzy, rozwijania zainteresowań otaczającym światem natury”¹². Obok funkcji popularyzatorskiej i poznawczej, wyeksponował Dyakowski również problematykę i potrzebę ochrony Puszczy Białowieskiej. Dlatego też fabuła *Z Puszczy Białowieskiej*, oparta na motywie wakacyjnej wyprawy, przeplatana jest wieloma pogadankami, czy wręcz popularnonaukowymi wykładami na temat historii i stanu obecnego puszczy, włożonymi w usta protagonisty powieści – Janka. Uatrakcyjniającą i dynamizującą dla nich powieściową ramę stanowią przy tym przygotowania do wyprawy krajoznawczej (rozdział I), podróż kolejną z Warszawy, przez Białystok, gdzie należało się przesiąść do pociągu podążającego na południe, w stronę Białowieży, z kolejną przesiadką w Bielsku i postojem w Hajnówce (rozdział II, III) oraz codzienne przygody, spotkania z ludźmi i zwierzętami w samej puszczy.

W partiach „wykładowych” utworu pojawiają się przy tym nie tylko liczne odwołania do badaczy i miłośników oraz prac naukowych o Puszczy Białowieskiej, ale też cytaty i inspiracje literackie, dziełami takich pisarzy, jak: Władysław Syrokomla, Adam Mickiewicz, Wincenty Pol, Henryk Sienkiewicz, Zygmunt Głogier. Najwięcej oczywiście przytoczeń *Pana Tadeusza* – młodzi bohaterowie cytują całe ustępy epopei Mickiewicza, dotyczące puszczy (wszak o Białowieży również wspomina się w epopei), jak choćby ten rozpoczynający się słowami: „W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory: / dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcza imperatory...”¹³. Wychowani na dziełach wieszczka, rozkochani w *Panu Tadeuszu* (znają całe ustępy na pamięć, a w ra-

¹² G. Leszczyński, hasło: *Dyakowski Bohdan*, [w:] *Słownik literatury dziecięcej i młodzieżowej*, red. B. Tylicka i G. Leszczyński, Wrocław 2002, s. 94.

¹³ B. Dyakowski, *Z Puszczy Białowieskiej*, Warszawa 1908, s. 15.

zie potrzeby sięgają po księgę, którą oczywiście noszą zawsze przy sobie), traktują Mickiewiczowskie opisy puszczy nie tylko jako swoisty przewodnik, ale jednocześnie sprawdzają ich prawdziwość (stosując się do pozytywistycznej idei praktycyzmu). Niekiedy nawet wadzą się z wieszczem. Stąd Janek, umilając czas swym kolegom opowieścią o dawnej Puszczy Białowieskiej (w trakcie podróży pociągiem z Warszawy do Białegostoku), dowodził między innymi: „I stosunki między zwierzętami nie były tak pokojowe i patriarchalne, jak to przedstawił Mickiewicz”¹⁴. Aluzja ta dotyczyła oczywiście Księgi czwartej *Pana Tadeusza*, *Dyplomatyka i łowy*, a zwłaszcza fragmentu:

Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzkie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kęsa, ni bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpał, chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny¹⁵.

Wyraźną inspiracją dla powieściowego promotora wycieczki – Janka – są też kilkakrotnie przywoływane w powieści podróże Zygmunta Glogera do białowieskiej puszczy (między innymi z Sienkiewiczem w 1882 roku), uwiecznione w albumie *Białowieża w albumie* z 1903 roku oraz dziełku *Białowieża* z 1907 roku. Młodzieńczą wyobraźnię młodych bohaterów *Z Puszczy*

¹⁴ B. Dyakowski, *Z Puszczy Białowieskiej*, Warszawa 1926, s. 14.

¹⁵ A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, Lwów 1882, s. 91(I wyd. Paryż 1834), tryb dostępu: <https://polona.pl/item/pan-tadeusz,MjEwODE0Mjg/116/#info:metadata> (03.05.2019).

Białowieskiej podsycają spisane przez Glogera opowieści na temat żubrów, ich siły, upartej natury, a także szkód wyrządzanych przez te zwierzęta ludziom i ich gospodarstwom. Znamienne jest opowiadanie o strzelcu (przytoczone w utworze Dyakowskiego z zaznaczeniem, że to „z Glogera”), który uszedł z życiem ze spotkania z żubrem, bo „padł, jak długi, na ziemię, wiedząc, że żubr ma za krótkie rogi, aby je podsadzić pod leżącego człowieka. I uratował się w ten sposób, tylko brodacz pomacał go rogami po łopatkach i popruł mu burkę”¹⁶.

Analizując prozę krajoznawczą i podróżniczą dla młodzieży z okresu dwudziestolecia międzywojennego, Zofia Budrewicz zwracała uwagę, iż Puszcza Białowieska to dosyć częste miejsce akcji oraz kierunek wypraw młodych bohaterów literackich tego okresu¹⁷. Ślady inspiracji białowieskimi ostępami można znaleźć między innymi w prozie przywołanego wyżej Bohdana Dyakowskiego (*Z Puszczy Białowieskiej*), ale też Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego (jako autora *W polskiej dżungli* i *Puszczy polskich*), czy wreszcie Mikołaja Mazanowskiego. W powieści *Duch puszczy podlaskiej* pisarz zawarł najciekawszy, w zestawieniu z innymi realizacjami tematu, beletrystyczny obraz samej puszczy oraz jej mieszkańców. Puszcza Białowieska, nazywana niejednokrotnie „zielonym złotem” Ojczyzny, porównywana z amerykańskim Yellowstone, pozwalała na wydobywanie wartości narodowych i obywatelskich (symbolizowała między innymi siłę i wielkość państwa). W dwudziestoleciu międzywojennym spotkać też można było beletrystyczne przykłady ujęć idealizujących, uwznioślających, pokazujących nie tylko wartości krajobrazowe Puszczy Białowieskiej jako puszczy naturalnej, wielkiej i tajemniczej, będącej domem, schronieniem dla wielu gatunków zwierząt. Przy okazji jej przywoływania

¹⁶ B. Dyakowski, dz. cyt., s. 71.

¹⁷ Z. Budrewicz, dz. cyt., s. 104-113.

i portretowania, pisarze niejednokrotnie wskazywali na wartości uniwersalne, na pozytywne siły i wzorce postępowania, dające się zaobserwować w naturze. Pod piórem pisarzy międzywojnia odżywały więc mity powrotu do natury, tendencje naturocentryzmu i witalizmu. Zwracano uwagę na wychowawcze znaczenie obcowania z naturą, tworzone swoisty program ochrony przyrody ojczyzny, ale też wskazywano, przez losy fikcyjnych młodych bohaterów, że życie w bliskim kontakcie z naturą kształtuje „człowieka prawdziwego” — silnego, męznego, pracowitego, który to ideał współgrał niewątpliwie z etosem harcerskim¹⁸.

Z piśmiennictwa międzywojennego kierowanego do młodzieży, a poświęconego problematyce białowieskiej, warto przypomnieć też zapomniany tekst gawędy dla dzieci i młodzieży z 1936 roku *Jak białowieskie rysice zostały warszawiankami* Antoniny Żabińskiej (żony wieloletniego dyrektora Ogrodu Zoologicznego w Warszawie Jana Żabińskiego, autorki wielu utworów dla dzieci, popularyzujących wiedzę przyrodniczą, w postaci gawęd o losach i przygodach zwierząt z warszawskiego zoo). Autorka z wielką pasją, w mowie pozornie zależnej, opowiada, rekonstruuje losy ciężarnej rysicy mieszkającej w Puszczy Białowieskiej. Próbuje przy tym wnikać i zaprezentować młodemu czytelnikowi myśli, ulotne, sensualne doznania, wrażenia i odczucia zwierzęcej bohaterki:

Zeskoczyła miękko i bezszelestnie na ziemię. Zapach mięty przyjemnie łaskotał w nosie: kichnęła mocno parę razy, wciągnęła ponownie w nozdrza miłą woń i zabrała się do skubania obficie tu rosnącej, prostej, wysokiej trawy, wyróżnianej przez smakoszy jej plemienia¹⁹.

¹⁸ Tamże, s. 105.

¹⁹ A. Żabińska, *Jak białowieskie rysice zostały warszawiankami*, Warszawa 1936, s. 5.

Puszczą jawi się tu jako przestrzeń tajemnicza, budząca grozę, jako gąszcz zarośli, pokryty „tajemniczym mrokiem potężnych pni”, ale też jako przestrzeń oswojona, przyjazna, pełna pożywienia. Znaczenie symboliczne ma wędrówka rysicy do miejsca „bliskiego sercu”, do miejsca swego legowiska, do białowieskiej dziupli wśród „wywrotów”²⁰, by tam stać się matką. Autorka gawędy pokazuje zatem odwieczny ład i porządek, wskazuje, że puszcza to dom, to przestrzeń macierzyńska. Na przykładzie rysicy ujawnia się piękno narodzin oraz miłości matki do dziecka. Zarysowane w utworze obrazy pielęgnacji i karmienia potomstwa można interpretować jako emanację uniwersalnego misterium *maternitas*:

Z przejściem, przesłaniającym jej własne niedomaganie, witała każdego maleńkiego przybysza dokładnym wylizaniem – kąpielą, tak jakby chciała jak najprędzej pokazać światu osuszone i upiękzone swe ślepe, bezradne dzieci, tulące się do jej ciepłego, nabrzmiątego mlekiem łona. Pełna czułości oglądała i obwąchiwała maleństwa, szturchając nosem i przewracając do góry brzuszkiem to jedno, to drugie²¹.

Idyllę puszczańskiego życia rysicy z młodymi burzy – w świetle gawędy Żabińskiej – człowiek. Został on pokazany jako odwieczny wróg naturalnych praw natury, wróg ingerujący w jej ład i porządek. Również w prezentacji tej prawdy posługuje się autorka punktem widzenia opisywanego zwierzęcia – matki rysicy, która wróciwszy z polowania do swego legowiska, nie zastała tam swych dzieci (zostały one uprowadzone przez gajowego). W utworze Żabińskiej czytamy, że rysica: „zbliżywszy się do swego mieszkania, poczuła

²⁰ „Wywrot” to drzewo wyrócone z korzeniami (objaśnienie A. Żabińskiej).

²¹ A. Żabińska, dz. cyt., s. 8-9.

zapach nienawistnego wroga – człowieka”²². Pokazana jest też tu rozpacz matki po stracie swych dzieci, ale też dalsze dzieje małych stworzeń – dwa z nich trafiły do Ogrodu Zoologicznego w Warszawie.

Duch puszczy podlaskiej Mikołaja Mazanowskiego

Na tle międzywojennej beletrystyki dziecięco-młodzieżowej z motywem Puszczy Białowieskiej, wyróżnia się *Duch puszczy podlaskiej* z 1924 roku, autorstwa Mikołaja Mazanowskiego. Tę zapomnianą powieść przywołała w monografii *Lekcje polskiego krajobrazu* Zofia Budrewicz, sytuując ją w kręgu międzywojennej prozy podróżniczej dla młodzieży, zaznaczając jednak, iż „nie jest typową relacją z podróży krajoznawczej”²³. Utwór Mazanowskiego sytuować należy też niewątpliwie w kręgu powieści przygodowej, zawierającej elementy robinsonady, powieści przyrodniczej, inicjacyjnej, dydaktycznej, czerpiącej inspiracje z folkloru i baśni.

Odnosząc się do wyżej zacytowanych słów Zofii Budrewicz, warto podkreślić, że podróż została w powieści sfunkcjonalizowana. Dużo więcej miejsca poświęca się tu bowiem celowi podróży. Puszcza Białowieska – bo o niej mowa – to pełnoprawny bohater *Ducha puszczy podlaskiej*. To miejsce docelowe wędrowni rodziny (trwającej 7 lub 14 dni, co można wyczytać, a raczej wywnioskować z fabuły utworu), która otrzymawszy w darowiźnie trzy tysiące morgów lasu, tak zwane królewszczyzny, chce się tam osiedlić. Jak czytamy w powieści Mazanowskiego, podróż ma swój początek we wsi Gnójnie (obecnie Gnojno) nad Bugiem, skąd wyrusza tabor, podążający na północ wzdłuż borów. Jej punktem do-

²² Tamże, s. 18.

²³ Z. Budrewicz, dz. cyt., s. 112.

celowym jest przestrzeń w granicach Puszczy Białowieskiej, nad jeziorem Dolna Toń, gdzie bohaterowie znajdują ruiny dawnego domostwa (są tam smolarnie, pozostałości po domu i inne)²⁴. Peregrynacja powieściowych bohaterów kończy się nie bez powodu w niedzielę, dzień święty. Puszcza w takim kontekście jawi się jako najcenniejszy dar, nagroda za trudy. Ujmowana zaś jest wyraźnie w konwencji symboliki ziemi obiecanej, raj, ewokowanej przez subtelne nagromadzenie barw błękitu, odcieni słonecznych i towarzyszących im doznań olśnienia, epifanii:

Wreszcie któregoś poranku z radością spostrzeżono smugi jasnej przestrzeni, prześwietlające coraz więcej zza konarów i liści; gdy podjechali dalej, wychyliła się szeroka na całe mile, jak kryształ jasna toń jeziora w dalekim widnokręgu ze wszystkich stron okolona czarną ścianą puszczy. Rozradowali się, jakby na widok obiecanej ziemi, olśnieni błękitem wód i blaskami słońca, którego pełni przez cały czas podróży byli pozbawieni²⁵.

Sam las, na dodatek topograficznie określony, usytuowany w konkretnej geograficznej przestrzeni, staje się miejscem inicjacji, wtajemniczenia, dojrzewania bohatera dziecięcego, kształtowania jego charakteru, ale przede wszystkim duchowości. Bycie w naturze, rozumianej w duchu romantycznym jako żywy organizm obdarzony duchowością, czujący, staje się tu niejako warunkiem osiągnięcia pełni człowieczeństwa, duchowego zjednoczenia ze światem małego protagonisty utworu – Zygmunta.

²⁴ Opisy z powieści Mazanowskiego sugerują, że „królewszczyzna” obejmuje te obszary Puszczy Białowieskiej, na których Niemcy prowadzili w czasie I wojny światowej rabunkową wycinkę drewna. Tworzyli oni osady pracowników leśnych, budowali smolarnie (o których mowa w powieści), a nawet kolej wąskotorową prowadzącą m.in. od Hajnówki do osady pracowników leśnych Topiło.

²⁵ M. Mazanowski, *Duch puszczy podlaskiej. Powieść z niedawnej przeszłości dla młodzieży*, Warszawa 1924, s. 29.

Słusznie zauważyła Zofia Budrewicz, iż „liczne sceny sycenia się chłopca wrażeniami oraz zdobywaniem doświadczeń uzasadniały znaczenie kontaktu z naturą w rozwoju psychofizycznym młodego człowieka”²⁶.

To „sycenie się” puszczaą wszystkimi zmysłami, jej niepowtarzalnym zapachem i brzmieniem dotyczy nie tylko Zygmunia, ale też wszystkich bohaterów powieściowych, którzy niejednokrotnie doznają epifanii, wzniosłych uczuć i doznań: „W zachwycie i ciszy słuchali, by nie uronić ani akordu z dziwnego koncertu, w którym nic sztucznego nie było, tylko czar niewyszukanej prawdy, tylko raj krótkiej, wiosennej rozkoszy”²⁷.

Widoczna jest tym samym sakralizacja natury w dziele Mazanowskiego. Puszcza Białowieska to dom, to kościół, to miejsce magiczne, przepełnione mocą, potęgą ale przede wszystkim wartościami wertykalnymi, wyzwalającymi sferę ducha. Charakterystyczne są w opisach kontaktów, zwłaszcza dorastającego bohatera powieści Zygmunia z Puszcza Białowieską, elementy uwznioślające, które służą zarysowaniu doniosłej roli przyrody w kształtowaniu życia wewnętrznego, doświadczania pełni szczęścia, pełni istnienia:

Tam wysokopienny bór sosnowy filarami strzelał w górę, jak wspaniały tum gotycki. Cisza w nim poważna i uroczysta, czasem tylko niby cicha na organach gra, niby szeroko rozlewny morza szum na wierzchołkach, niby gromadne modlitwy szep-tanie. W nadmiarze uczuć, rozsadzających piersi, klękał chłopak, ramionami do grających kolosów puszczy przylegał, jakby zjed-noczyć się pragnął z ich modłami²⁸.

²⁶ Z. Budrewicz, dz. cyt., s. 112-113.

²⁷ M. Mazanowski, dz. cyt., s. 14.

²⁸ Tamże, s. 83.

Widać w nich niewątpliwie inspiracje i intertekstualne powinowactwa z opisami puszczy, które wyszły spod pióra romantycznych pisarzy i podróżników, między innymi Adama Mickiewicza, czy Wincentego Pola. Ten ostatni, z wędrówki po puszczech północnego wschodu Europy w kierunku Puszczy Białowieskiej i Białowieży, zostawił taki oto uwznioślony opis:

Czarodziejską jest ta gra puszczy i wprawia umysł w jakieś dziwne zadumanie. W tym poświęście milionów zielonych igieł, które w powietrzu grają, kołysząc się na konarach drzew, leży jakiś wątek dziwnej pieśni, dzikiej i rzewnej, a osobliwym jest widok takiej puszczy w czasie, gdy szumi. Patrzącemu na nią z wierzchu wysokiej sosny, rozściela się ona jak ciemna, równa tarcza, dokoła nakryta szarym kielichem niebios. Zda się, że nic nie widać, jak nic nie widać na morzu; wierzchołki drzew się mącą, i płyną, i biją, jak łany kłosów, jak fale morza, a po nich duch puszczy się pławi i owiewa skronie jędrnym oddechem tej dziczy²⁹.

Już w tym dziewiętnastowiecznym opisie, tak jak później w powieści Mazanowskiego, uwidaczniała się symbolika wertykalna, symbolika morza oraz aura zachwytu misterium natury, atmosferą puszczy. Pojawił się też w poetyckim wyznaniu Pola motyw ducha puszczy, tak ważny w omawianej międzywojennej powieści dla młodzieży.

Duch puszczy podlaskiej to zatem powieść po części podróżniczo-krajoznawcza i przyrodnicza, uwzględniająca specyfikę fauny i flory północno-wschodniej Polski. Jej opisowi, z uwzględnieniem detali realistycznych, ale też „duchowości” czy psychologii roślin i zwierząt, poświęca się bardzo dużo miejsca.

²⁹ W. Pol, *Obrazy z życia natury. Seria I (Północny wschód Europy)*, Kraków 1869, s. 101.

Charakterystyczny pod tym względem jest zwłaszcza rozdział VII *O czuciu roślin – Sanitariusze przyrody – Bunt mrówek*, który pozwala widzieć w Mazanowskim swoistego kontynuatora Maurycego Maeterlincka, jako autora między innymi *Życia pszczół, Życia termitów, Życia mrówek czy Inteligencji kwiatów. Duch puszczy podlaskiej* to zatem takie spojrzenie na przyrodę, które zwraca uwagę i uprzywilejowuje „nie ludzkie” formy życia. To spojrzenie bardzo nowoczesne, można zaryzykować stwierdzenie „posthumanistyczne”. Można zatem czytać i interpretować tę powieść w kontekście współczesnych metodologii, a zwłaszcza „krytyki ekologicznej” i „bioregionalizmu”, a chyba jeszcze bardziej w zestawieniu z takimi nurtami filozoficznymi, jak „ekofilozofia”. To ostatnie pojęcie odnosi się oczywiście do koncepcji Henryka Skolimowskiego, opisanych w takich publikacjach, jak: *Filozofia żyjąca. Eko-filozofia jako Drzewo życia czy Ocalić Ziemię. Świt ekologii filozoficznej*³⁰, ale też do innych tekstów analitycznych i interpretacyjnych, inspirowanych ekologią, filozofią ekologiczną, sakralnym wymiarem świata przyrody³¹.

³⁰ Ekofilozofia w rozumieniu H. Skolimowskiego to całościowy pogląd na świat, w którym kosmos i ludzie stanowią część tej samej struktury, a kosmologiczny opis świata inspirowane pytania o sens ludzkiego życia. Skolimowski przyjmuje humanizm ekologiczny, odcina się od biocentryzmu, promuje wzorzec człowieka ekologicznego i wzorzec ewolucyjnej jedności człowieka i świata, świata rozumianego jako sanktuarium, czyli miejsce, gdzie wszystko jest święte. S. Fiut pisze: „Jedynym – według Skolimowskiego – właściwym źródłem «nowej etyki» jest przykład działalności św. Franciszka z Asyżu i warto, by się dzisiaj ta postawa moralna odrodziła, bo jest ze swej istoty «ciepła moralnie» i etycznie inspirująca. Jej kontynuacją dzisiaj mogłaby być proponowana przez myśliciela etyka kosmiczna (...). Powinna stworzyć jasną «matrycę rozumienia», która koresponduje z twórczą i ewolucyjną «matrycą kosmosu», bo człowiek pochodzi z kosmosu i pozostaje w fundamentalnym związku z jego Logosem (...). Głównym jej zadaniem byłoby kształtowanie wśród ludzi wrażliwości aksjologicznej na sacrum tkwiące w przyrodzie i kosmosie (...)”. S. Fiut, *Idea rozwoju zrównoważonego w perspektywie filozofii Henryka Skolimowskiego*, „Problemy Ekorozwoju” 2009, nr 4, s. 36-37.

³¹ Mam na myśli takie publikacje, jak choćby: Z. Świerczek, *Ekologia. Kościół i św. Franciszek*, Kraków 1990; K. Waloszczyk, *Planeta nie tylko ludzi*, Warszawa 1997 czy inspirującą książkę Z. Ożóg-Winiarskiej, *Przyroda w liryce dla dzieci u schyłku XX wieku*, Piotrków Trybunalski 2001.

Warto bowiem podkreślić, że w powieści Mazanowskiego prymarna jest idealizacja i sakralizacja przyrody, co wykazano powyżej. Wynika ona z przyjęcia religijnej koncepcji stworzenia świata i człowieka. Nasuwają się myśli Józefa Marii Bocheńskiego, który w *Ku filozoficznemu myśleniu*³² podkreślał, iż człowiek nie jest „panem przyrody”, ale też rozważania Ernsta Cassirera. W *Eseju o człowieku* pisał:

W odczuciu mitycznym i religijnym przyroda staje się jedną wielką społecznością, społecznością życia. W tej społeczności człowiek nie otrzymuje specjalnej pozycji. Jest jej częścią, ale pod żadnym względem nie stoi wyżej, niż wszyscy inni jej członkowie. Życie ma tę samą godność religijną w najwyższych i najniższych formach³³.

Ślady takiego właśnie myślenia o świecie, człowieku i przyrodzie znajdujemy z powieści młodzieżowej z międzywojnia. Światopogląd religijny zostaje w niej wyrażony *expressis verbis*. Dziadek Zygmusia pyta: „Czyż ziemia ze wszystkimi roślinami i zwierzętami nie jest przede wszystkim własnością Stwórcy?”. Z przyjęcia takiej koncepcji wynikają dalsze konsekwencje w postaci obowiązków człowieka wobec przyrody. „Nie panami jesteśmy, lecz czynszownikami własności Bożej. Włodarzyć tedy winniśmy owym dziedzictwem roztropnie, umiarkowanie i godziwie, aby nie niszczyć, nie znęcać się, lecz pomnażać i uszlachetniać, czego się domaga nie tylko sama zasada, ale także własny nasz interes” – mówi doktor do swego wnuka i synowej. Maksym dotyczących ważności przyrody, zwłaszcza złotych myśli o charakterze ekologicznym, znajdziemy w *Duchu puszczy podlaskiej*

³² J. M. Bocheński, *Ku filozoficznemu myśleniu: wprowadzenie do podstawowych pojęć filozoficznych*, przeł. B. Białecki, Warszawa 1986.

³³ E. Cassirer, *Esej o człowieku. Wstęp do filozofii kultury*, przeł. A. Stanińska, Warszawa 1977, s. 177.

dużo więcej. Nie znaczy jednak, że autor rezygnuje z prezentacji również „czarnej” strony natury, opartej na „krwiożerczej walce o byt”, o przetrwanie, co doskonale oddaje rozdział IV, mówiący między innymi o nocnym życiu puszczy, kiedy to wszystko „wre teraz żywiołową żądzą jądła i rozplodu: o to stacza krwawe walki, tym żyje i kona”³⁴.

W powieści znajdziemy bardzo drobiazgowo, wnikliwe opisy życia roślin i zwierząt, charakterystycznych dla podlaskiej puszczy. Pojawiają się zatem typowe gatunki grzybów i owoców lasu, a także drzew: sosny, jodły, buki, dęby, brzozy, i dynamiczne opisy zjawisk atmosferycznych z ich udziałem – jak we fragmencie opisu burzy:

Nagle, niby z zasadzki, wionął potężny wichur, zakręcił półkolem i wstrząsnął całą puszcza tak silnie, że białe brzozy kładły się prawie do ziemi, rozkolebały się sosny, jodły i buki, a nawet dumne dęby z wielkim szumem jęły potrząsać konarami. Ściemniło się, jakby noc zapadła. Liść, trawa, suche łomaki szły z wichrem, siekąc o pnie drzew³⁵.

Również świat fauny podlaskiej puszczy ukazany został jako bardzo obfity i różnorodny. Reprezentują go liczne gatunki ptaków, między innymi: cietrzewie, puchacze, sokoły, kosy, gołębie, wróble, wrony, zięby, sikorki, sroki, szczygły, żurawie, jaskółki, pliszki, czaple, zimorodki, makolągwy; zwierząt: łasice, kuny, dziki, wilki, lisy, sarny, zające, wydry, niedźwiedzie; łosie, żubry, zmijsy; w tym – owadów: muchy, komary, pszczoły, ważki, mrówki. Zwłaszcza te ostatnie zyskały na kartach powieści szczegółową, bardzo interesującą charakterystykę, na miarę Maurycego Maeterlincka. Mazanowski z wielkim znanstwem przywołuje też różne przyrodnicze ciekawostki dotyczące istot zamieszku-

³⁴ M. Mazanowski, dz. cyt., s. 22.

³⁵ Tamże, s. 20.

jących różne zakątki puszczy, zarówno na lądzie, jak i w wodzie – w jeziorze (np. rozdział VI).

Pisarz wprowadza dodatkowo, zwłaszcza przez partie wykładowe i pogadanki, włożone w usta dziadka – naukowcy i przyrodnika, bardzo szerokie konteksty przyrodnicze i krajoznawcze, oparte na własnych obserwacjach oraz badaniach naukowych. W takich pierwszoosobowych partiach utworu widoczne są liczne porównania polskiej (podlaskiej) puszczy z puszczeniami amerykańskimi, roślin polskich z obcymi, jak choćby we fragmencie:

W podróży po świecie istotnie podziwiałem kolosy drzew zdumiewające. Osobliwością świata są na przykład w Kalifornii lasy mamutowców (...). Pomimo to wolę ja nasze dęby lub sosny. Choć mniejsze wzrostem i mniej długowieczne, wydają mi się powściągliwsze i jakby więcej uduchowione (...). Drzewa i rośliny naszego kraju mniej są od południowych żarłoczne (...)³⁶.

Z ust powieściowego dziadka padają również liczne pochwały swojskich drzew, roślin, a także owoców: „dla nas nasze drzewa najpożyteczniejsze są i najzdrowsze. Naszych szlachetnych jabłek i gruszek nie oddałbym za żadne daktyle, banany, pomarańcze i figi”³⁷.

Takie porównania i pochwały pełnią funkcję perswazyjną. Mają na celu pokazanie wyższości tego, co swojskie, narodowe oraz łagodnego charakteru słowiańskiej natury, a także modelowanie postawy patriotyzmu i szacunku, umiłowania ojczystej przyrody.

W swej powieści młodzieżowej Mazanowski wyzyskuje też również chętnie niektóre **motywy baśniowe i rodem z powieści przygodowej (robinsonady)**, wskazujące na nieco inny obraz puszczy

³⁶ Tamże, s. 17.

³⁷ Tamże, s. 19.

jako miejsca tajemniczego, groźnego, miejsca odosobnienia, inicjacji, próby i egzaminu z dorosłości czy też symbolu wewnętrznych zmagani duchowych (las w takim kontekście symbolizowałby duszę młodego protagonisty). Zarówno w baśniach ludowych, jak i w robinsonadach (które przejmują niektóre motywy baśniowe), bohater opuszcza dom, by znaleźć się w miejscu odosobnienia lub w takiej przestrzeni, w której czekać będą na niego próby, trudności, niebezpieczeństwa. Będzie musiał wykazać się wówczas rozumem, pomysłowością, zdać tym samym egzamin z człowieczeństwa, dorosłości³⁸. Zarówno baśnie, jak i robinsonady przynosiły pomyślne zakończenie, *happy end*³⁹. W przypadku robinsonady mamy do czynienia zazwyczaj z powrotem do cywilizacji – takie też jest zakończenie losów Zygmunta, który wyrusza do Warszawy, by się kształcić (jego rodzice, wraz z dziadkiem pozostają w puszczy).

Autor wyraźnie stylizuje Puszcę Białowieską na swoistą bezludną wyspę, miejsce dziewicze, pozbawione cywilizacji (są tam jedynie ruiny dawnego domostwa). Oddają to między innymi epitety i określenia: „zapadła puszcza”, „z dala od całego świata”, „Ani dróg, ani znaku, po gwiazdach chyba kierować się, jak po morzu”⁴⁰ (s. 6-7). Rodzina Zygmunta tworzy tu – w zapadłej puszczy – nową cywilizację, nowy świat, który świetnie funkcjonuje w najmniejszych detalach, a każdy członek tejże rodziny ma swoje zadania i funkcje. Wszyscy zaś „koloniści” żyją w zgodzie

³⁸ Gertruda Skotnicka zwraca uwagę, że „nieodzownym składnikiem schematu fabularnego [robinsonady] pozostaje jednak zawsze izolacja bohatera lub bohaterów od cywilizacji i organizowanie życia w trudnych warunkach”, G. Skotnicka, *Robinsonada*, w: *Słownik literatury dziecięcej i młodzieżowej*, red. B. Tylicka, G. Leszczyński, Wrocław 2002, s. 340. Na temat polskich robinsonad zob.: J. Ruszała, *Robinsonada w literaturze polskiej: teoria – typologia – bohater – natura*, Słupsk 2000.

³⁹ W niektórych robinsonadach, zwłaszcza współczesnych, pisarze rezygnują z optymizmu, wpisano w klasyczną odmianę tego typu powieści. Zazwyczaj jednak wówczas mowa o antyrobinsonadzie (przykładem może być *Władca much* W. Goldinga).

⁴⁰ M. Mazanowski, dz. cyt., s. 6-7.

z przyrodą, w przyjaźni ze zwierzętami. Część z nich oswajają i „cywilizują”, zakładając swoisty domowy „zwierzyniec”. Stąd osada „z daleka jak czarodziejskie wyglądała siedlisko, tak roiła się od różnego ptactwa, tak była oblężona różną zwierzyną, Hania bowiem nie tylko ptakom rozsypywała ziarna, lecz za palisadami rozrzucić kazała pokarm dla wszelkich innych zwierząt”⁴¹. Symboliczne znaczenie mają przy tym nie tylko codzienne prace i czynności, odbudowywanie czy budowanie zabudowań dla ludzi i zwierząt, ale przede wszystkim rodzinne i religijne rytuały: wspólne posiłki, wyciosanie i ustawienie krzyża, niedzielne wspólne modlitwy, wieczera wigilijna.

Mazanowski pokazuje też, krok po kroku, przemianę i dojrzewanie bohatera dziecięcego – Zygmunta, co pozwala czytać *Ducha puszczy podlaskiej* jako powieść **dydaktyczną i inicjacyjną**. Początkowo widzimy go jako chorowitego, słabego, kilkunastoletniego chłopca, który nabawił się „niemocy” w konwikcie pijarów. Dopiero z dala od cywilizacji, w puszczy dojrzewa, zarówno fizycznie, jak również psychicznie i intelektualnie. Taki ideał wychowawczy niewątpliwie odsyła do koncepcji wychowania naturalnego, zaproponowanego przez Jana Jakuba Rousseau w *Emilu* (1762), który wywarł ogromny wpływ na pedagogikę i literaturę dziecięcą XIX i XX wieku. Już bowiem Rousseau w swym traktacie pedagogicznym podkreślał, że „wątle ciało osłabia duszę”⁴². Namawiał, by traktować przyrodę jak matkę, wsłuchiwać się w jej głos, uczynić z niej ideał w wychowaniu dzieci, bo ma moc uzdrawiającą. Mówi o tym już samo motto *Emila*, zaczerpnięte z dzieła Seneki: „Nie, nie jest to choroba nieuleczalna. Przyroda, która stworzyła nas do cnoty, wesprze wysiłki nasze, jeżeli chcemy się poprawić”⁴³.

⁴¹ Tamże, s. 147.

⁴² J. J. Rousseau, *Emil, czyli o wychowaniu*, t. 1, przeł. W. Husarski, wstęp i kom. J. Legowicz, Wrocław 1955, s. 33.

⁴³ Tamże, s. 3.

Nawołując do powrotu do natury, obcowania z nią, obserwacji i zdobywania praktycznych umiejętności, hartowania ciała (także przez proste, niewyszukane pożywienie) i umysłu, oświeceniowy pedagog wskazywał, że dopiero wówczas staniemy się ludźmi. Pisał między innymi: „Niechaj Emil z rana biega boso o każdej porze roku, po pokojach, po schodach, po ogrodzie; zamiast gniewać się na niego, będę go naśladował; pamiętać będę tylko o usunięciu szkła (...). Niechaj umie skakać na odległość, na wysokość, drapać się na drzewa, przełazić przez płot; niech umie zawsze znaleźć równowagę...”⁴⁴.

Tak jak przed Emilem stawiał jego wychowawca coraz to nowe zadania i wyzwania, mające go ukształtować, tak młody bohater powieści Mazanowskiego uczy się w Puszczy Białowiejskiej wielu praktycznych umiejętności – począwszy od pomagania w pracach domowych, gotowania, prania, wyrabiania różnych przedmiotów, po polowanie i sposoby zdobywania pożywienia w lesie, skończywszy na zdobywaniu wiedzy o samej puszczy – jej prawach i mieszkańcach.

Autor wskazuje bardzo ważną rolę najbliższej rodziny w dojrzwaniu i zdobywaniu mądrości życiowej przez Zygmunta – matki, ojca, a przede wszystkim dziadka, z którym łączą chłopca nie tylko więzy rodzinne, ale też pasja przyrodnicza. Wiele z tych nauk ma charakter osobistego przykładu, niemniej sporo jest także w powieści życiowych maksym, złotych myśli, przestróg, wypowiedzianych przez dorosłych: „Cały świat (...) jest jednym wielkim, niezbadanym cudem” (matka); „Nie panami jesteśmy, lecz czynszownikami własności Bożej”, Zabijać zwierzyńę dla pofolgowania myśliwskiej chuci – wstyd, grzech i niepotrzebna mitręga”, „Gdzie głupi człowiek wytępi lasy, tam kraj rychło szczerym piachem lub nagą skałą zaświeci, z czego na pokolenia zagłada, głód i śmierć nieuchronna” (dziadek).

⁴⁴ Tamże, s. 160.

Zygmus doznaje inicjacji, wtajemniczenia w naturę świata i swoją własną nie tylko pod wpływem rodziny, kontaktu z przyrodą, ciężkiej codziennej pracy, ale też piętrzących się niebezpieczeństw, z których zawsze (jak to bywa w baśniach) wychodzi zwycięsko. Przykładem może być trafienie w ręce zbójców grających w puszczy, zakończone ucieczką, czy uwolnienie dziadka od watahy wilków, kiedy to Zygmus wykazał się męstwem i pomysłowością. Warto jednak zwrócić uwagę, że również w tym wypadku natura (zwierzęta) przychodzi protagoniście utworu z pomocą, jak to ma miejsce w baśniach. To dzięki temu Zygmus przechodzi swoistą drogę, na której zdaje pomyślnie kolejne egzaminy z dorosłości, odpowiedzialności, hartu ducha.

Życie w zgodzie z Bogiem i naturą, kierowanie się miłością świata i człowieka, a także pracowitością i pomysłowością w ekstremalnych warunkach to zasady etosu często wskazywanego w utworach baśniowych, ale też robinsonadach, a którym hołduje rodzina Zygmutusa, opisywana na kartach *Ducha puszczy podlaskiej*. Etos ten posiada moc przemieniającą, kształtuje nie tylko dziecięcego protagonistę, ale też innych, drugoplanowych bohaterów. Fabuła powieści Mazanowskiego wyraźnie wskazuje, zwłaszcza na przykładzie herszta bandy zbójckiej, który zraniony trafia do tejże rodziny, że staje się on postacią pozytywną. Za doświadczone dobro i opiekę odpłaca darem w postaci beczki z kosztownościami. Dobro zostaje więc, jak w baśniach, sownie nagrodzone. Warto w tym miejscu przypomnieć, iż inspiracją dla takiej właśnie kreacji zbójcy (który w wielu baśniach, powieściach przygodowych utrwalił się jako postać jednoznacznie negatywna), była też niewątpliwie ballada Adama Mickiewicza *Powrót taty*. Nie bez przyczyny jej fragment posłużył Mazanowskiemu jako motto powieści *Duch puszczy podlaskiej*. W utworze wieszczka, dziecięca modlitwa wzbudza w „starszym zbójcy” dobro, litość (ocala ojca dzieci – kupca oraz jego dobytek), ale też wspomnienia własnego domu i żony: „ojczyste przyszły na myśl

strony, / Buława upadła z ręki; / Ach! ja mam żonę i u mojej żony / Jest synek taki maleńki”⁴⁵. W powieści Mazanowskiego zaś, momentem przełomowym, wyzwalającym z herszcie zbójców litość i dobro i wdzięczność za ocalenie życia, był widok kobiety (Hani), cierpiącej z powodu porwania syna (Zygmunusia).

Kluczową rolę w dojrzewaniu i inicjacji dziecięcego bohatera przypisuje Mazanowski sferze duchowej, która dopiero w puszczy, w momencie powrotu do rodzimej natury, ma szansę prawidłowego rozwoju. Ujęta ona została w symboliczną figurę **ducha puszczy podlaskiej**. Duch puszczy, opisywany niegdyś przez Roberta Mongomerego Birda, jako moc niszcząca, demoniczna⁴⁶, w powieści Mazanowskiego zyskuje narodową, a przez to nową, złagodzoną wykładnię. W kontekście Puszczy Białowieskiej opisywany jest jako demiurg, moc opiekuńcza, postrzegana dodatkowo przez pryzmat dziecięcej fantazji, podsycanej opowieściami piastunki. Duch puszczy jawi się jako postać baśniowa – depozytariusz magicznego rekwizytu – wianka czarodziejskiej mocy, pozwalającego przemieniać się w zwierzęta. Zygmunt mówi o nim następująco:

Że mu posłuszne są wszystkie zwierzęta; że w lecie rozsypuje po puszczy kwiaty, a w zimie drży skulony od zimna, jak chusta biały, z głodu przymierając; że ulubieńców swych obdarza wiankiem czarodziejskiej mocy; człowiek, włożywszy sobie na głowę ów wianek, zmienia się w dowolne istoty: wiewiórki, mrówki, motyle, w cokolwiek zapragnie, albo nawet niewidzialnym stać się może. Takie bajki!⁴⁷

⁴⁵ A. Mickiewicz, *Powrót taty*, w: tegoż, *Ballady i romanse*, Warszawa 1909, s. 29.

⁴⁶ Mam na myśli *Ducha puszczy* R. M. Birda w opracowaniu Władysława Ludwika Anczyca z 1872 r.

⁴⁷ M. Mazanowski, dz. cyt., s. 14.

Duch puszczy to jednak także emanacja marzeń, pragnień dziecięcego bohatera dotyczących posiadania nadnaturalnej mocy do przekraczania czasu i miejsca, ale też głębszego odczucia natury i praw nią rządzących, głębszego zrozumienia życia. Świadczy o tym pierwsze spotkanie Zygmunta z duchem puszczy, podczas snu. W czasie, gdy leżał w gorączce, ukąszony przez żmiją, wyznawał: „Wszystko widzę, wszystko słyszę, wszystko czuję. I tyle mam siły! Zda mi się, że wszystkiego dokonać mogę, co tylko zechcę. Nieś mnie w światy nieznane, ponad ziemię, między gwiazdy...”⁴⁸. Drugie spotkanie Zygmunta z duchem puszczy (również w trakcie snu) przynosi zrozumienie sensu cierpienia, ale też zaspokojenie żądzy podróży, zwiedzania różnych zakątków świata. Duchowe doświadczenia zdobyte przez Zygmunta w czasie „nadziemskiej” podróży do dziewiczej puszczy, przez Ocean Indyjski, Betlejem (gdzie bohater modli się za siebie, najbliższych i Ojczyznę), ku północnym brzegom Morza Czarnego (tu chłopak chce ucałować ziemię cecorską i chocimską „krwią naszych bohaterów ubroczoną”⁴⁹), kończy refleksja o marności i znikomości wszechrzeczy, ale też „niepowrotnej stracie anielskiego dzieciństwa”⁵⁰.

Bardzo istotne dla inicjacji i osiągnięcia dojrzałości przez dziecięcego bohatera wydają się zatem w powieści Mazanowskiego nie tylko realne doświadczenia i wędrówki po puszczy (samodzielne lub w towarzystwie dziadka), wpływ rodziny, ale też „podróże duchowe”, odbywane we śnie, w towarzystwie ducha puszczy. Również ten ostatni jest wyraźnym przewodnikiem, mentorem, mędrcem, który przekazuje chłopcu różnorakie prawidła życia, szereg złotych myśli (z największych ich nagromadzeniem mamy do czynienia w rozdziale X). Te partie powieści, w których mowa

⁴⁸ Tamże, s. 61.

⁴⁹ Tamże, s. 135.

⁵⁰ Tamże, s. 136.

o spotkaniach Zygmunta z duchem puszczy podlaskiej, skłaniają do symbolicznych odczytań utworu. Dominuje w nich konwencja snu, metaforyka oniryczna, pozwalająca przekraczać czas i przestrzeń, unosić się w powietrzu (symbolika lotu), wcielać, przeistaczać w zwierzęta. Oniryczne podróże po świecie, puszczy można odczytywać bowiem jako wędrówki w głąb siebie, swej duszy. Pozwalają one zdobyć rozeznanie w wartościach, zyskać dystans do siebie i świata, spojrzeć nań z perspektywy ludzkiej, ale i „niehumanicznej”: roślinnej, zwierzęcej.

Przegląd i analiza beletrystyki dla dzieci i młodzieży, podejmującej tematykę Puszczy Białowieskiej pozwalają na wysnucie wniosku, iż do okresu międzywojnia przeważają ujęcia idealizujące. Pisarze chętnie realizują warianty „leśnych utopii”⁵¹. Przywołują w intertekstualnych nawiązaniach wątki i schematy baśniowe, powieści przygodowych, podróżniczych, zwłaszcza tzw. robinsonad. Umieszczając akcję zdarzeń w Puszczy Białowieskiej, bądź czyniąc ją celem wędrówki krajoznawczej młodych bohaterów literackich, autorzy starają się przekazać jak najwięcej krajoznawczych informacji, ciekawostek z życia przyrodniczego, które wybierają niejednokrotnie kształt pogadanek, a nawet wykładów popularno-, a także często naukowych. Wkładane są zazwyczaj w usta bohaterów literackich wyposażonych w wiedzę. Przypomnijmy, że w przypadku *Ducha puszczy podlaskiej* takimi nauczycielami byli dziadek (naukowiec i przyrodnik) i rodzice Zygmunta, ale też sama puszcza (zantropomorfizowany duch puszczy).

⁵¹ Również Joanna Papuzińska zauważyła niezwykłą trwałość „leśnych utopii” oraz idealizującej topiki lasu-schronienia, lasu-domu w polskiej literaturze dla dzieci i młodzieży. Zob. J. Papuzińska, *Zatopione królestwo. O polskiej literaturze fantastycznej XX wieku dla dzieci i młodzieży*, Łódź 2008, s. 122.

Beletrystyka o tematyce puszczańskiej lansuje dodatkowo obowiązujące, aprobowane społecznie ideały wychowawcze. Wskazuje takie wartości, jak: umiłowanie ojczystej ziemi (rozumianej niejednokrotnie symbolicznie), ochrona przyrody; etos pracy, ale też etos skautingowy, harcerski, promujący wędrówki po puszczy; zgłębianie jej tajemnic, historii; sztuka radzenia sobie w trudnych warunkach puszczańskich; kształtowanie hartu fizycznego i hartu ducha. W niektórych analizowanych tu tekstach, zwłaszcza w *Duchu puszczy podlaskiej* uwidaczniają się inspiracje koncepcją wychowania naturalnego Rousseau, ale też słychać pogłos Percy'ego B. Shelleya, który wołał w *Lesie sosnowym*: „Precz, precz od miast i ludzi, do dzikich borów i wydm, do cichych puszczy, gdzie dusza może nie tłumić swej muzyki”⁵², czy Marii Konopnickiej, która pisała w księdze V *Pana Balcera w Brazylii*:

Jest wieczna mądrość i jest wieczna chwała
W przeróżnych głosach i pogwarach ziemi;
Alić największa ta mi się wydała,
Która poszumia borami naszymi.
Gada do ciebie bór, jak żyw — bez mała,
Słowami gada nad wszystko tajnymi...
A miałbyś czysty duch onego czasu,
To i głos Boga posłyszałbyś z lasu!⁵³.

Niewątpliwie aktualne jeszcze do okresu międzywojnia są też słowa wypowiedziane przez Artura Oppmana na początku XX wieku, że Puszcza Białowieska zalicza się do tych miejsc, któ-

⁵² Cyt. za W Kopaliński, *Słownik symboli*, Warszawa 1990, s. 189-190.

⁵³ M. Konopnicka, *Pan Balcer w Brazylii*, w: tejże, *Poezje*, wydanie zupełne, krytyczne, t. 10, Warszawa 1925, tryb dostępu: https://pl.wikisource.org/wiki/Pan_Balcer_w_Brazylii/V/I (15.02.2019).

re „od dziecka znać należy”, które – odpowiedzieć można – są atrakcyjne i ważne pod względem krajoznawczym, ale też aksjologicznym, egzystencjalnym i duchowym. Pozwalają na zrozumienie nie tylko tego, co nas otacza, ale też siebie samego, swego wnętrza, swego stosunku do przyrody (który wcale nie musi być autorytarny), a w konsekwencji – umożliwiają znalezienie harmonii i szczęścia.

II

Motyw Puszczy Białowieskiej w literaturze dziecięcej przełomu XX i XXI wieku – proza, poezja, komiks. Rekonesans⁵⁴

Puszcza Białowieska jako motyw, ale też miejsce akcji utworów dla dzieci i młodzieży przeżywa swój renesans na przełomie XX i XXI wieku, na co ma wpływ co najmniej kilka czynników. Jeden z nich to niewątpliwie „zwrot topograficzny” w literaturze (dający się zaobserwować także w najnowszym literaturoznawstwie), inicjujący większe zainteresowanie pograniczami, przestrzeniami rzadko stanowiącymi do tej pory przedmiot opisu. Drugi z czynników wygenerowały zmiany w programach nauczania dzieci i młodzieży po 1999 roku oraz wprowadzenie ścieżek edukacyjnych, w tym edukacji regionalnej⁵⁵ co spowodowało większe zapotrzebowanie na „literaturę miejsca”. Być może na większą popularność motywu Puszczy Białowieskiej oraz puszczańskich zwierząt wpłynęła w ostatnich latach także kultura popularna, w tym reklamy telewizyjne piwa z żubrem w roli głównej, ale też liczne akcje ekologiczne w obronie naturalnego ekosystemu. Najważniejszym jednak czynnikiem popularności i pojawienia się dużej liczby utworów dla dzieci i młodzieży o tematyce puszczy

⁵⁴ Pierwowzorem tekstu jest artykuł mego autorstwa, *Puszcza Białowieska w literaturze dziecięcej przełomu XX/XXI wieku*, opublikowany w czasopiśmie „Ars Inter Culturas” 2016, nr 5. Został on nieco poszerzony.

⁵⁵ Wprawdzie ścieżki edukacyjne zostały zlikwidowane w 2008 r., ale ich treści nadal są wprowadzane w ramach różnych przedmiotów. W przypadku edukacji regionalnej duże zasługi mają w regionie podlaskim nauczyciele-bibliotekarze oraz animatorzy kultury pracujący w bibliotekach publicznych dla dzieci.

na przełomie XX i XXI wieku jest przede wszystkim obecność pisarzy dla dzieci, związanych miejscem urodzenia czy zamieszkania z Białowieżą i jej okolicami. To w ich dziełach puszcza północno-wschodniej Polski oraz jej mieszkańcy stają się (jak niegdyś, zwłaszcza w międzywojniu) pełnoprawnymi i atrakcyjnymi bohaterami literackimi. Do tej grupy należy zaliczyć takich pisarzy, jak: Mikołaj Hajduk, Mikołaj Patejuk, Borys Russko, Simona Kossak jako autorka *Sagi Puszczy Białowieskiej*⁵⁶, Adam Wajrak, Tomasz Samojlik, Bogdan Dudko, Dagmara Widanow (która jest animatorką, przewodnikiem, autorką publikacji dla dzieci poświęconych Puszczy Białowieskiej: *Drzewa puszczy*, 2015, przede wszystkim zaś prowadzi Fundację i Wydawnictwo Biała Wieża⁵⁷, specjalizujące się w piśmiennictwie dla dzieci i dorosłych, związanym z Białowieżą oraz w jego promocji).

Motyw Puszczy Białowieskiej występuje w wielu baśniach, które można określić mianem regionalnych. Powołując się na ustalenia Gertrudy Skotnickiej i refleksje Zofii Adamczykowej, Bernarda Niesporek-Szamburska zwracała uwagę, iż po 1980 roku pojawiło się dość dużo baśni osadzonych w konkretnym regionie, w topografii, historii, obyczajowości danego miejsca⁵⁸. Ustalenia badaczki można z powodzeniem odnieść także do piśmiennictwa regionu podlaskiego. Pod koniec XX wieku można zaobserwować

⁵⁶ W wywiadzie na temat *Sagi Puszczy Białowieskiej*, na pytanie „Do jakiego czytelnika jest skierowana książka?”, Simona Kossak – profesor biologii, znawczyni i miłośniczka Puszczy Białowieskiej, pisarka i gawędziarka – odpowiedziała: „– Piszę wyłącznie po to, żeby ludzie czytali. Nie należę do osób, które tworzą do szuflady lub pojmują literaturę jako zabieg autoterapeutyczny. Dlatego moje książki są skierowane zarówno do tzw. zwykłych ludzi, jak i specjalistów przyrodników i historyków. Powstają w konkretnym celu: mają łagodzić obyczaje. Cała struktura i objętość książki jest podporządkowana czytelnikowi w wieku od 11 lat wwyż. Każdy znajdzie tu coś dla siebie”, *U Pana Boga za piecem*, tryb dostępu: <http://puszcza-bialowieska.republika.pl/publikacje/simona.htm> (20.01.2016).

⁵⁷ Por. <http://bialawieza.org/ksiazki.html> (17.01.2019).

⁵⁸ B. Niesporek-Szamburska, *Baśń*, w: *Literatura dla dzieci i młodzieży (po roku 1980)*, [t. 1], red. K. Heska-Kwaśniewicz, Katowice 2008.

bowiem swoiste „ożywienie” twórcze w zakresie baśni, mających swe źródło w folklorze Polski północno-wschodniej. Do omawianej grupy należy zaliczyć między innymi takie utwory, jak: *Białowieskie opowieści* Mikołaja Hajduka wydane w 1990 roku; *Tam, gdzie szumi Puszcza Białowieska* (1999), *Baśnie białoruskie* (2000), *Lilia wodna z Puszczy Białowieskiej* (1998) Mikołaja Patejuka; antologia *Zapomnianych tajemnic czar. Legendy, podania, opowieści okolic Puszczy Białowieskiej* (2006); wybrane *Legendy Podlasia* autorstwa Tomasza Lippomana wydane w 2008 roku (zwłaszcza *Duch puszczy; Skarb Mateusza; Za grobową deskę – białowieskie kurhany; Białowieskie miejsca mocy, Naznaczony dzik; Królowa drzew; Witek Ptasznik; Puszczyk*).

W odniesieniu do wymienionych przykładowych baśni tak zwanych białowieskich, czy szerzej – regionalnych, słuszne są ustalenia badaczy, iż tego rodzaju utwory są zazwyczaj synkretyczne, czerpią i asymilują różnorodne motywy i wątki oraz bardzo często zbliżają się do takich form, jak baśń magiczna, legenda i podanie⁵⁹. Fantastyka przeplata się tu z wątkami realistycznymi, pojawia się często motyw walki dobra ze złem, szczęśliwe zakończenie. W przeciwieństwie jednak do tradycyjnych baśni magicznych, są one bardziej zindywidualizowane. Dotyczy to nie tylko miejsca akcji, które jest konkretne, rzeczywiste, ma swą nazwę geograficzną, ale także występujących w baśniach regionalnych postaci. Bohaterowie, jak dowodzi Bernadeta Niesporek-Szamburska, „ukonkretniają się, przestają być anonimowi, mają też bogatsze rysy psychologiczne”⁶⁰. Gertruda Skotnicka, badając

⁵⁹ R. Wąksmund zwracał uwagę, że w baśni regionalnej realia geograficzne, topograficzne i etnograficzne – zbliżające ją do podania – są w zasadzie obojętne dla biegu fabuły, niemniej „kontaminacja stylów gatunkowych wydaje się pisarzom i pedagogom najskuteczniejszym sposobem wyprowadzenia dziecka z ułudy świata baśni w rzeczywisty świat historii i geografii ojczystej”, R. Wąksmund, *Od literatury dla dzieci do literatury dziecięcej (tematy – gatunki – konteksty)*, Wrocław 2000, s. 236.

⁶⁰ B. Niesporek-Szamburska, dz. cyt., s. 70.

baśni regionalne o morzu i wybrzeżu, zwracała uwagę, że „czynnikiem decydującym w procesie ich indywidualizacji jest jędrność języka, dialektyzmy, charakterystyczny sposób zachowania się w różnych sytuacjach”⁶¹.

W baśniach regionalnych spisanych na przełomie XX i XXI wieku, a związanych z Puszcą Białowieską, widoczna jest indywidualizacja przestrzeni i języka (pojawiają się dosyć liczne dialektyzmy, wpływy języka litewskiego i białoruskiego). Indywidualizacja dotyczy oczywiście w pierwszym rzędzie miejsca akcji utworów baśniowych. Rozgrywają się one, jak w *Białowieskich opowieściach* Mikołaja Hajduka, „nieopodal Puszczy Białowieskiej”⁶², „niedaleko puszczy”, „w niewielkim przysiółku, z którego widać było stromą ścianę Białowieży...”, „w dawnych czasach na Podlasiu...”, „w okolicy, gdzie Puszcza Ładzka styka się z Puszcą Białowieską...”. Występują w nich nazwy miejscowości, położonych w okolicy: Białowieża, Narew, Narewka, Bernacki Most; są też nazwy rzek: Narewka, Pierebiel, a także uroczysk. Te bardziej znane, jak Zamczysko, Żłoty Smog czy Dworny Grądek, wymienia Tomasz Lippoman w *Legendach Podlasia*, opisując przy tym fantastyczne opowieści z nimi związane⁶³.

Z wielu postaci i motywów występujących w baśniach, związanych z Puszcą Białowieską, na uwagę zasługuje charakterystyczny dla tego miejsca motyw ducha puszczy. Był on obecny już w dziewiętnastowiecznych tekstach i przekazach (oczywiście nie tylko polskich⁶⁴), a wyeksponował go i opisał szerzej Mikołaj

⁶¹ G. Skotnicka, *Znaczenie baśni regionalnych na przykładzie tekstów o morzu i wybrzeżu*, w: *Baśń i dziecko*, wstęp, wybór i oprac. H. Skrobiszewska, Warszawa 1978, s. 103.

⁶² M. Hajduk, *Białowieskie opowieści*, Białystok 1990, s. 22. Dalsze cytaty pochodzą z tegoż zbioru.

⁶³ Zob. T. Lippoman, *Legendy Podlasia*, Białystok 2008, s. 33-43.

⁶⁴ Warto podkreślić uniwersalność motywu ducha puszczy, pojawiał się on nie tylko w opowieściach ludowych różnych kręgów kulturowych, ale też w powieściach. Przykładem może być *Duch puszczy* R. M. Birda w opracowaniu W. L. Anczyca z 1872 r.

Mazanowski w powieści młodzieżowej z dwudziestolecia międzywojennego *Duch puszczy podlaskiej*⁶⁵. Duch puszczy budzi respekt i poważanie wśród ludzi zamieszkujących podlaskie pogranicze, ale też jest od wieków postrzegany jako istota magiczna, jako gospodarz białowieskich ostępów, władający mocami nadprzyrodzonymi oraz reprezentujący postaci demoniczne. We współczesnych przekazach przybiera różne wcielenia – występuje między innymi pod postacią koguta, prosiaka, ale przede wszystkim – żubra. Taki wizerunek znajdujemy w *Opowieściach białowieskich* Mikołaja Hajduka. W dziale *Diabelskie figle* zamieścił autor baśń *Duch puszczy*, opowiadającą o niesamowitym spotkaniu „tutejszych” gospodarzy, wracających furmankami z targu w Narewce⁶⁶. Urealnieniu fabuły oraz motywu spotkania z duchem puszczy sprzyjają w tekście detale topograficzne, wskazywane istniejące w okolicy miejsca, miasteczka: Narew, Narewka, Bernancki Most. Odrealnieniu zaś służy wzmianka o tym, iż opisywana gromada gospodarzy, która swą nadmierną wesołością zakłócała spokój białowieskich ostępów, wcześniej „karczmy nie ominęła”⁶⁷. To właśnie w takich okolicznościach dochodzi do spotkania z żubrem – opiekunem, strażnikiem puszczy, który pilnuje porządku, dba o jej spokój, wymierza sprawiedliwość za nieprzestrzeżenie zasad. W omawianej baśni zapędza on frywolnych gospodarzy na drzewa – za karę spędzają na nich całą noc, ogarnięci lękiem i trwogą. Duch Puszczy Białowieskiej jako żubr to zatem swoisty element regionalnej mitologii, którą widać w baśniach regionalnych, ale też we współczesnej poezji, zwłaszcza Franciszka Kobryńczuka. Przypomina się pod tym względem wiersz *Żubr Król*, w którym zwierz ten jawi się jako dobry władca, służący radą

⁶⁵ Pisałam o tym szerzej w poprzednim szkicu. Por. również: Z. Budrewicz, dz. cyt., s. 104-113.

⁶⁶ M. Hajduk, dz. cyt., s. 50-52.

⁶⁷ Tamże, s. 50. Możliwa zatem jest i taka interpretacja, iż przytoczona opowieść ma swe źródło w wyobraźni podsyconej wpływem alkoholu.

i pomocą innym puszczańskim zwierzętom⁶⁸. W aurze impresjonistycznej, na poły realnej, na poły baśniowej i mistycznej, został przedstawiony żubr w liryku *Białowieski bór*. Uwagę zwraca tu sugestywny obraz mroku oraz metaforyczna kreacja drzew, których konary porównywane są do dymu, one same zaś do chóru. Oto wymowny fragment tego utworu:

Szumi dębów chór
tłumem koron spiętrzonych jak dym.
Stoi w mroku żubr,
białowieskich ostępów gospodarz.
Czuje władczą moc,
gdy w królestwie tym,
w księżycową noc,
tętni życiem ogromna przyroda⁶⁹.

To właśnie w poezji z końca XX wieku, autorstwa Kobryńczuka, widzimy ślady motywu ducha Puszczy Białowieskiej jako istoty magicznej, a impresjonistyczna aura zacytowanego we fragmencie wiersza wydobywa dodatkowo potęgę, wielkość i wzniosłość opisywanej postaci.

Ciekawy i wpisany w folklor regionu podlaskiego (ale też w folklor litewski) jest motyw zaskrońca jako „domownika”, pełniącego – niczym krasnoludki, opisywane niegdyś przez Marię Konopnicką – rolę opiekuna, „sprzyjającego domowi i jego mieszkańcom”, któremu „gospodyni po udoju nie omieszkała wlać do skorupy ciepłego mleka, a dziatwa chętnie się z nim bawiła”⁷⁰. W baśni Mikołaja Hajduka *Wężowa wdzięczność*, zaskroniec cechuje się ogromnym

⁶⁸ F. Kobryńczuk, *Żubr Król*, w: tegoż, *Białowieski skrzat królewski*, Białystok 1999, s. 13.

⁶⁹ Tamże, s. 8.

⁷⁰ M. Hajduk, *Wężowa wdzięczność*, w: tegoż, *Białowieskie opowieści*, dz. cyt., s. 41.

przywiązaniem, a nawet bezinteresowną miłością i bohaterstwem wobec podlaskiej chaty i jej mieszkańców. Nie bacząc na krzywdę, wyrządzoną mu przez dzieci (zabrały one jajka złożone przez zaskrońca), ratuje on życie swym gospodarzom. Rozbija dzbany z mlekiem zatrutym przez żmiję, według której zemsta to jedyny sposób zadośćuczynienia za doznaną krzywdę.

Gertruda Skotnicka w swych analizach utworów związanych z morzem i wybrzeżem podkreślała kluczową funkcję baśni regionalnych, która zasadza się przede wszystkim na budowaniu trwałych relacji emocjonalnych z miejscem, regionem⁷¹. Z całą pewnością można stwierdzić, że zasada ta odnosi się także do twórczości baśniowej poświęconej Puszczy Białowieskiej. Widać przy tym dodatkowo, że baśni regionalne bazują na odwiecznych wartościach, prawach, zasadach wpisanych w baśni ludowe. Puszcza Białowieska wykreowana jest w nich bowiem na archetypową przestrzeń ładu aksjologicznego. Niejednokrotnie przypomina „wielką matkę”, matkę-naturę, która, jak w baśniach ludowych sprzyja bohaterowi pozytywnemu, szkodzi zaś złemu. Tak jest choćby w utworze *O leśnych ptakach i królewskiej brodzie*, ze zbioru Mikołaja Hajduka, czy w opowieści *Kobięcy sąd* z antologii *Zapomnianych tajemnic czar* (w baśni tej kluczową rolę odgrywają: Błotna Księżna – symbol natury karzącej za zło rozpustnego, okrutnego mężczyznę oraz matka i jej miłość, ratująca syna od kary)⁷².

Wśród wielu baśni regionalnych, na uwagę zasługuje też wydana w 2014 roku książka Bogdana Dudki⁷³ *Wilczek Milczek*, oparta na zasłyszanej w okolicach Puszczy Białowieskiej opowieści,

⁷¹ G. Skotnicka, *Znaczenie baśni regionalnych*, s. 93.

⁷² *Zapomnianych tajemnic czar. Legendy, podania, opowieści okolic Puszczy Białowieskiej*, red. N. Gierasimiuk, Hajnówka 2006, s. 39-44.

⁷³ Bogdan Dudko to znany poeta, animator kultury, absolwent białostockiej polonistyki, wieloletni redaktor naczelny i animator Pisma Literacko-Artystycznego „Kartki”. *Wilczek Milczek* wydany w 2014 r. w wydawnictwie Białą Wieża to jego debiut w zakresie literatury dla dzieci. Kolejna opowieść, oparta

dotyczącej przyjaźni człowieka (dziewczynki) z osieroconym wilkiem. Można ją określić mianem postmodernistycznej baśni regionalnej, będącej w pewnym sensie intertekstualną grą z tradycją literacką⁷⁴. Punktem wyjścia jest tu bowiem negacja baśniowego, negatywnego obrazu wilka, utrwalonego w baśni *Czerwony Kapturek*, wyrażona przez autora *expressis verbis* na końcu książki: „Pokochajcie wilki, to wspaniałe zwierzęta. Nie bójcie się ich. To one nas boją się znacznie bardziej. I nieprawdą jest, że wilk zjadł Czerwonego Kapturka i jego babcię”⁷⁵. Autor stara się za to pokazać dzieciom prawdziwą naturę tego zwierzęcia. Buduje pozytywną relację między małym czytelnikiem a światem dzikiej, pierwotnej przyrody puszczańskiej. Służą temu dwa plany fabularne. Pierwszy ma charakter baśniowy, oparty na schemacie: sieroctwo – opuszczenie domu – perypetie bohatera – szczęśliwe zakończenie (powrót do domu). *Wilczek Milczek* to w takim kontekście baśń o małym osieroconym wilczku, ocalonym przez dziewczynkę, mieszkającą na skraju Puszczy Białowieskiej. Opowieść ta snuta jest z punktu widzenia zwierzęcego bohatera. Poznajemy jego myśli, drogę inicjacji, dorastania, przyjaźni i pierwszej miłości oraz motywacji powrotu do domu-puszczy. Drugi plan fabularny książeczki Bogdana Dudki ma charakter realistyczny. Zawiera podstawowe zoologiczne informacje na temat miejsc występowania, natury, obyczajów, specjalistycznego nazewnictwa w odniesieniu do wilków. Oba plany – baśniowy i realistyczny – służą modelowaniu nowej proekologicznej wrażliwości wśród dzieci,

na przyjaźni dziecka ze zwierzęciem (sową), umiejscowiona w przestrzeni Puszczy Białowieskiej to *Bubuś Puchaczek*. Interpretacja pierwszego z wymienionych utworów znajduje się także w mojej książce *W przestrzeniach universum i regio. Wiersze dla dzieci współczesnych pisarzy regionu podlaskiego – interpretacje*, Białystok 2015, s. 117-118.

⁷⁴ To odwołanie do książki W. Kosteckiej, *Baśń postmodernistyczna – przeobrażenia gatunku: intertekstualne gry z tradycją literacką*, Warszawa 2014.

⁷⁵ B. Dudko, *Wilczek Milczek*, Białowieża 2014, s. 26.

poszanowania praw natury, dbałości o nią, a zwłaszcza o unikatowe gatunki zwierząt, jakie zachowały się w polskich puszczech. Pokazują też na przykładzie bohaterki, małej dziewczynki, drogę jej dorastania do prawdziwej miłości świata i przyrody, opartej na poszanowaniu prawa do wolności. Wzmacnia to odautorskie przesłanie, zamieszczone na końcu utworu, w którym dodatkowo po raz kolejny uwidacznia się archetypowe wyobrażenie Puszczy Białowieskiej jako domu: „Puszcza jest domem wilków. Ich życiem. Zawsze tak było i tak niechaj zostanie”⁷⁶.

W kręgu opowieści, opowiadań, baśni regionalnych, tzw. białowieskich, sytuuje się *Bubuś puchaczek* z 2017 roku, tego samego autora. Oto początek utworu:

W małej wiosce, na skraju puszczy, mieszkał chłopiec. Do szkoły miał kilka kilometrów, które pokonywał powolnym spacerem. I, o dziwo, nigdy nie marudził. A nawet wydłużał sobie tę drogę. Zaszywał się w lesie, wchodził do starych sadów i nieraz zamoczył buty, podchodząc zbyt blisko rzeki. Po drodze tyle było do oglądania!⁷⁷.

Bogdan Dudko po raz kolejny przenosi czytelnika do Puszczy Białowieskiej, by opowiedzieć nie tylko losy chłopca, zafascynowanego przyrodą, zwłaszcza ornitologią (*porte parole* samego autora), co sugerowałby przytoczony początek. Autor przybliży dzieciom, tym razem inne, mniej baśniowe zwierzę – to znaczny puchacz, będącego rzadką, objętą ochroną, sową, która występuje w rejonie Puszczy Białowieskiej. Tytułowy *Bubuś* odwołuje do łacińskiej nazwy tego ptaka *Bubo bubo*.

Opowieść Bogdana Dudki jest po części baśniowa, ale też realistyczna i autobiograficzna. Pisarz niewątpliwie świadomie po

⁷⁶ Tamże, s. 24.

⁷⁷ B. Dudko, *Bubuś puchaczek*, Białowieża 2017, s. 5.

raz kolejny wykorzystuje schemat baśniowy w tworzeniu fabuły, prezentacji losów małego puchacza Bubusia. Traci on dom, rodzinę (utrata domu czy też sieroctwo głównego bohatera to jeden z podstawowych wyznaczników baśni i fabularny punkt wyjścia). Tragizm sytuacji wstępnej łagodzą dalsze wypadki – dzięki Dudkowi – małemu chłopcu – sowa zyskuje nowy „ludzki” dom. Tak, jak to w baśniach bywa, również i w tej opowieści powtarza się motyw swoistego *happy endu*, to znaczy powrotu dzikiego zwierzęcia do prawdziwego domu, do matki-natury, do puszczy. Powrót ten odbywa się stopniowo, wraz z nauką lataania oraz zdobywania pożywienia: „W końcu, pewnej nocy Bubuś zniknął, bez słowa, bez <<puhu>>”. Bogdan Dudko na tym jednak nie kończy swej opowieści. Pokazuje dalsze losy sowy, a także aranżuje bożonarodzeniowe spotkanie dwóch przyjaciół po latach, prawie dorosłego Dudka i dorosłego Bubusia:

Patrzyli na siebie długo bez słowa, bez „puhu”. Potem szczęśliwi, Bubuś odleciał, a Dudek odszedł, każdy w swoją stronę. Spotykali się jeszcze przez parę lat. Dudek rozumiał, o czym milczy puchacz, i Bubuś rozumiał, o czym milczy bliski mu człowiek. Obaj wiedzieli już, że prawdziwa przyjaźń nie potrzebuje słów⁷⁸.

Bubusia puchaczka można odczytywać jako baśń regionalną, czy może lepiej – opowiadanie o tematyce regionalnej, z elementami baśni, nie tylko ze względu na konkretne, dające się zaznaczyć na mapie, miejsce akcji, ale też szczegóły kulturowe, a nawet architektoniczne tej części Polski: „Rodzina chłopca mieszkała w niewielkim domku z gontowym, czyli wykonanym z drobnych drewnianych łupków, dachem, który zwieńczony był, starannie wykonaną przez dziadka, drewniana wycinanką. Dawno temu

⁷⁸ Tamże, s. 55.

tak zdobiono domy na Podlasiu”⁷⁹. Niejako na marginesie swej opowieści, autor zamieszcza różne ornitologiczne ciekawostki, na temat puchaczy.

Wreszcie *Bubuś puchaczek* to opowieść „podtrzymująca” mit Podlasia jako krainy szczęśliwości, nieskażonej natury, ale też budująca wiarę w moc więzi rodzinnych. To bowiem także historia szczęśliwej, wielopokoleniowej rodziny, przyjaźni małego chłopca ze swym dziadkiem. Rodzina ta żyje w naturze i w zgodzie z naturą. Otacza troską wszelkie, nawet najmniejsze stworzenia, zwłaszcza dzikie zwierzęta, które tu, na obrzeżach puszczy, niekiedy potrzebują ludzkiej pomocy.

Liczne obrazy, ujęcia Puszczy Białowieskiej znaleźć można w poezji dla dzieci takich pisarzy związanych z podlaską *regio*, jak: Tadeusz Golecki (autor tomików *Rozgadany świat i Las uczy nas*), Joanna Myślińska (napisała m.in. *Wierszobajki Mateuszka*), ale nade wszystko Franciszek Kobryńczuk⁸⁰. Jest on autorem wielu wierszy, ale też całych tomików poetyckich, poświęconych puszczańskiej faunie i florze. Najważniejsze z nich to *Białowieski skrzat królewski* (1999), *Nad kołyską skrzatów* (2004) i *Rysowanie żubra* (2009). Autor ten odnowił czy może stworzył w literaturze dziecięcej początku XXI wieku swoisty mit Puszczy Białowieskiej i szerzej – Podlasia, jako krainy pięknej, baśniowej, będącej archetypowym domem, rajem. Centralne miejsce zajmuje w tak wykreowanej przestrzeni *regio* żubr – symbol, emblemat regionu podlaskiego. To, co szczególnie ważne, Franciszek Kobryńczuk, przez swą poezję dla dzieci „osadzoną” w konkretnej, dającej się zlokalizować na mapie Polski przestrzeni lasu, próbuje wprowadzać w świat dziecka jako czytelnika ład i harmonię. Warto odwołać się w tym miejscu do słów Alicji Baluch. W swym szkicu inspi-

⁷⁹ Tamże, s. 10.

⁸⁰ Szerzej na temat Puszczy Białowieskiej i żubra w poezji Franciszka Kobryńczuka pisałam w książce *W przestrzeniach universum i regio*, s. 193-202.

rowanym krytyką mitograficzną (archetypową, a zwłaszcza koncepcjami Northropa Frye’a) *Mitopeje w opowieściach Ewy Szelburg-Zarembiny wprowadzają ład i harmonię*, badaczka podkreślała: „To, czego najbardziej potrzebuje człowiek, nawet małutki człowiek – dziecko – to ład i harmonia. A te podstawowe składniki ludzkiego szczęścia widoczne są przede wszystkim w porządku natury. Jeśli zaś tak pojęta natura staje się treścią sztuki – mamy wtedy do czynienia ze strukturą mitu”⁸¹. Franciszek Kobryńczuk kreuje we współczesnej poezji dla dzieci idealną, archetypową przestrzeń Puszczy Białowieskiej jako lasu-domu, tworzy regionalny wariant utopii. Opisuje poetyckim słowem idealne struktury społeczne, w których władza kojarzy się ze służbą, z dobrocią, opieką, promieniującą na inne stworzenia. W tak rozumianym opiekuńczym społeczeństwie wszystko, co żyje, służy pomocą innym, zwłaszcza słabszym. Uprzywilejowane miejsce ma w nim dziecko (zwłaszcza żubrze), o czym mówi szereg wierszy. Ilustruje to choćby wiersz *Zjadłbym tę gałązkę*. Uwidacznia się w nim pozytywny wymiar toposu matki-natury, jako opiekunki i żywicielki, która posługuje się innymi stworzeniami, by rozracać opiekę nad słabszymi, by zaspokajać wszelkie potrzeby i życzenia dziecka:

Zjadłbym tę gałązkę
lecz jest za wysoko.
– Bardzo proszę, przygnij mi ją,
bardzo piękna sroko!

Sroka rozhuśtała
wierzby gałąź gibką.

⁸¹ A. Baluch, *Od ludus do agora. Rozważania o książkach dla dzieci i młodzieży i o sposobach lektury, które wiodą od zabawy do poważnej rozmowy o literaturze*, Kraków 2003, s. 53.

– Jedz, żubrzątko,
bardzo proszę
i rośnij nam szybko!⁸².

Puszcza Białowieska w poetyckim wyobrażeniu Kobryńczuka to już nie abstrakcyjna, nieznana, nieoswojona, obca przestrzeń, a miejsce. „Miejsce to bezpieczeństwo”⁸³ – pisał amerykański przedstawiciel geografii humanistycznej, miejsce to dom, ale też miejsce to matka i doświadczanie sił opiekuńczych, macierzyńskiej troski i miłości. Idealizacja żubra i Puszczy Białowieskiej, tak typowa w poezji Kobryńczuka, uczy niewątpliwie małego czytelnika nowego, proekologicznego spojrzenia na природę. Uczy miłości i szacunku dla wszelkich stworzeń, pokazuje naturalny odwieczny ład i porządek, godny naśladowania, ale przede wszystkim pełni funkcję terapeutyczną, „wprowadza ład i harmonię”. Słusznie zauważyła Zofia Ożóg-Winiarska (przytaczając przy tym także przykłady z poezji Kobryńczuka, zwłaszcza utwory w których widać więzi rodzinne i czułość wobec dziecka), iż „współczesna biosfera w liryce dla dzieci odnawia archetypowy instynkt istnienia i przywraca świadomości współczesnego dziecka podstawowe doświadczenie bytu ziemskiego – zdomowienia człowieka w naturze”⁸⁴.

Puszcza Białowieska oraz jej mieszkańcy to kluczowy motyw twórczości dla dzieci, autorstwa Tomasza Samojlika (jest badaczem Puszczy Białowieskiej, naukowcem Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży). Wśród szeregu jego opowieści komikso-

⁸² F. Kobryńczuk, *Zjadłbym tę gałązkę*, w: tegoż, *Białowieski skrzat królewski*, dz. cyt., s. 15.

⁸³ Zob. Yi-Fu Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, wstępem opatrzył K. Wojciechowski, Warszawa 1987 (zwłaszcza rozdziały *Przestrzeń, miejsce i dziecko* oraz *Intymne doświadczanie miejsca*).

⁸⁴ Z. Ożóg-Winiarska, *Przyroda w liryce dla dzieci u schyłku XX wieku*, Piotrków Trybunalski 2001, s. 124.

wych można wymienić takie tytuły, jak: *Ostatni żubr* (2009) czy *Żubr Żorż*, (2010), *Ryjówka przeznaczenia* (2012), *Bartnik Ignat i skarb puszczy* (2013), *Norka zagłady* (2013) i inne. Samojlik to również autor wielu zabawnych opowiadań dla dzieci, których fabuła rozgrywa się w Puszczy Białowieskiej. Przykładem może być cykl opowieści o żubrze Pompiku: *Żubr Pompik: tropy na śniegu i inne opowieści* (2009, 2010); *Żubr Pompik: letni zmierzch i inne opowieści* (2010); *Żubr Pompik: zapach wiosny i inne historie* (2010), *Żubr Pompik: kolory jesieni i pozostałe historie* (2011). Również Tomasz Samojlik jako autor zwłaszcza cyklu o Pompiku, jest kontynuatorem „leśnych utopii” w literaturze dla najmłodszych, co potwierdza jednocześnie tezę Joanny Papuzińskiej:

Topos lasu w polskiej literaturze bajecznej stosunkowo najsilniej opiera się próbom modyfikacji. Niczym las prawdziwy zachowuje on zdumiewającą umiejętność trwania, przechowywania swych wartości i znaczeń. Pozostaje lasem-schronieniem, lasem przymierza i zgodnej koegzystencji różnych istnień, lasem-domem⁸⁵.

Puszcza jest wykreowana w twórczości Samojlika na miejsce przyjazne, opiekuńcze, sprzyjające rozwojowi, postrzegana zaś z punktu widzenia zwierząt, wystylizowanych na bawiące się i poznające świat dzieci. Główni bohaterowie zabawnych opowiadań to mały żubr Pompik oraz jego młodsza siostra Polinka, ale też mały ryś, wilk, lis i inne. Jeden ze zbiorów opowiadań zaczyna się następująco: „Pompik miał wszystko, czego potrzeba małemu żuberkowi do szczęścia. Jego domem był las z niezliczonymi polanami, na których rosły najpyszniejsze trawy i zioła”⁸⁶.

⁸⁵ J. Papuzińska, dz cyt., s. 122.

⁸⁶ T. Samojlik, *Żubr Pompik. Kolory jesieni i pozostałe historie*, Kraków 2011, s. 3.

Warto zwrócić uwagę, że również w twórczości tego autora żubr stanowi bardzo ważny, centralny motyw. Samojlik wykorzystuje przy tym w swych literackich i komiksowych prezentacjach żubra atrakcyjne z punktu widzenia dziecka chwytły, takie jak: antropomorfizacja bohatera, niesamowite przygody, w których uczestniczy, elementy humoru w kreacji tej postaci, nośne, zapadające w pamięci dziecka, skonwencjonalizowane już wyobrażenia i hasła, na przykład: „Wszystkiego żubrzego”, „Żubr to król puszczy” czy „Witaj Puszczo Białowieska, kolebko żubrowości!”⁸⁷. Warto zatem podkreślić to, co niewątpliwie stanowi *novum* w polskiej literaturze dziecięcej. Podczas gdy żubr stał się w twórczości przywoływanego wcześniej Franciszka Kobryńczuka pełnoprawnym bohaterem lirycznym (to on na dobre wprowadził go do współczesnej poezji dziecięcej), to w dziełach Tomasza Samojlika jawi się jako atrakcyjny bohater komiksowy. Z drugiej jednak strony, co również wydaje się szczególnie ważne i wartościowe w publikacjach badacza ssaków z Białowieży, stara się on niejako „przemycić” niektóre naukowe informacje na temat „króla Puszczy Białowieskiej”. Dotyczą one sposobu jego odżywiania się czy wielkości (autor zamieszcza na przykład „wiedzę w pigułce” w komiksie *Żubr Żorz* czy przypisy mówiące o historii żubrów w *Ostatnim żubrze*). Szczególny, zasługujący na uwagę pod względem walorów poznawczych, estetycznych i językowych jest zwłaszcza ostatni z wymienionych komiksów, adresowany do starszych dzieci i młodzieży. *Ostatni żubr* to bowiem wciągająca i niejednokrotnie wzruszająca opowieść. Jej tematem są dramatyczne losy Puszczy Białowieskiej, historia populacji żubrów w okresie I wojny światowej (niemal całkowicie wytępionych) oraz dalsze ich dzieje w dwudziestoleciu międzywojennym. Autor przytacza szereg ciekawych postaci i faktów historycznych, które szerzej objaśnia w przypisach. Ale, co

⁸⁷ T. Samojlik, *Żubr Żorz*, Białowieża 2010, s. 3.

najważniejsze, włącza w „komiksową fabułę” wzruszającą, fikcyjną opowieść o ostatnim żubrze, który wystylizowany został bardzo dyskretnie na archetypowego bohatera baśniowego. Jest bowiem sierotą, bohaterem pozytywnym, nad którym czuwają zmarli rodzice oraz matka-natura (Puszcza Białowieska). Przeżywa on chwile grozy, piętrzą się przed nim niebezpieczeństwa, z których ostatecznie wychodzi zwycięsko.

Poszukując motywu Puszczy Białowieskiej w najnowszej literaturze dziecięcej, nie sposób też nie wspomnieć o twórczości dla dzieci znanego dziennikarza, przyrodnika, animatora ochrony przyrody Adam Wajraka. W swych opowieściach i gawędach o roślinach i zwierzętach, w tym – Puszczy Białowieskiej, zachęca dzieci do obserwowania przyrody, tropienia i podpatrywania zwierząt, a także opiekowania się nimi (jego twórczość ma wiele elementów poradnikowych, proekologicznych). W okraszonych humorem historyjkach, Adam Wajrak przybliży też dzieciom postać żubra, historię jego bytności w Białowieży, ale też w zabawny sposób wyjaśnia: „Jak nie pomylić żubra z drzewem?”, „Co to się piętrzy w lesie, czyli poznasz żubra po kupie” oraz „Co zrobić, gdy zdenerwowałeś żubra?”⁸⁸.

Puszcza Białowieska w piśmiennictwie dla młodego czytelnika to niewątpliwie inspirujący, ale wciąż jednak otwarty temat badań. Zwłaszcza, że literatura najnowsza, to znaczy przełomu XX i XXI, wskazuje na jego znaczącą dynamikę. To, co ciekawe – zasadniczo nie zmienia się wartościowanie Puszczy Białowieskiej, w porównaniu z wcześniejszymi tekstami o tej problematyce, pochodzący-

⁸⁸ A. Wajrak, *Puszcza Białowieska*, w: tegoż, *Przewodnik prawdziwych tropicieli. Jesień*, Warszawa 2011, s. 91-114.

mi choćby z początku XX wieku, a nawet jeszcze z międzywojnia. Autorzy piszący dla młodych czytelników jednogłośnie wskazują na jej olbrzymie walory przyrodnicze (podkreślając unikatowość naturalnego ekosystemu), ale przede wszystkim egzystencjalne i aksjologiczne. Przywołują topikę matki-natury, wybierają literackie warianty „leśnych utopii”, arkadii, które z jednej strony mają kształtować pozytywny i odpowiedzialny stosunek małego czytelnika do przyrody, z drugiej zaś pokazywać paradoksalnie również wzory zachowań dla człowieka. Puszcza Białowieska ma też swoich bajorzy i baśniopisarzy, spisujących piękne opowieści, w których obok elementów uniwersalnych, występuje koloryt lokalny utrwalony w języku, ale też w miejscach i typowych dla północno-wschodniej Polski postaciach. Tylko niekiedy w literaturze dla niedorośłych, gdzie występuje motyw białowieskich ostępów, pobrzmiewają echa tragicznej historii, zwłaszcza z czasów I wojny światowej. Dotyczy to na przykład rabunkowej wycinki najpiękniejszych okazów drzew w Puszczy Białowieskiej, czy tępienia zwierząt (zwłaszcza królewskich żubrów).

BIBLIOGRAFIA

Bibliografia podmiotowa

Mazanowski M., *Duch puszczy podlaskiej. Powieść z niedawnej przeszłości dla młodzieży*, Warszawa 1924.

Opracowania, konteksty interpretacyjne

Baluch A., *Od ludus do agora. Rozważania o książkach dla dzieci i młodzieży i o sposobach lektury, które wiodą od zabawy do poważnej rozmowy o literaturze*, Kraków 2003.

Bielak F., *Mikołaj Mazanowski*, „Pamiętnik Literacki” 1946, nr 3-4.

Bird R. M., *Duch puszczy. Opowiadanie z borów amerykańskich*, oprac. Wł. L. Anczyc, Kraków 1990.

Bocheński J. M., *Ku filozoficznemu myśleniu: wprowadzenie do podstawowych pojęć filozoficznych*, przeł. B. Białecki, Warszawa 1986.

Budrewicz Z., *Lekcje polskiego krajobrazu. Międzywojenna proza podróżnicza dla młodzieży*, Kraków 2013.

Dudko B., *Bubuś puchaczek*, Białowieża 2017.

Dudko B., *Wilczek Milczek*, Białowieża 2014.

Dyakowski B., *Z Puszczy Białowieskiej*, Warszawa 1908.

Dyakowski B., *Z Puszczy Białowieskiej*, Warszawa 1926.

Fiut S., *Idea rozwoju zrównoważonego w perspektywie filozofii Henryka Skolimowskiego*, „Problemy Ekorozwoju” 2009, nr 4.

Gloger Z., *Białowieża*, Warszawa 1907.

Hajduk M., *Białowieskie opowieści*, Białystok 1990.

Hussowski M., *Pieśń o żubrze, jego postaci, dzikości i o polowaniu na niego*, Supraśl 2007.

Kobryńczuk F., *Białowieski Król Żubr*, Białystok 2018.

Kobryńczuk F., *Białowieski skrzat królewski*, red. i posłowie T. Zaniewska, Białystok 1999.

- Kobryńczuk F., *Nad kołyską skrzatów*, posłowie A. Roszkowska, Białystok 2004.
- Kobryńczuk F., *Rysowanie żubra*, Białowieża 2009.
- Konopnicka M., *Pan Balcer w Brazylii*, w: tejże, *Poezje*, wydanie zupełne, krytyczne, t. 10, Warszawa 1925, tryb dostępu: https://pl.wikisource.org/wiki/Pan_Balcer_w_Brazylji/V/I (15.02.2019).
- Kopaliński W., *Słownik symboli*, Warszawa 1990.
- Kossak S., *Saga Puszczy Białowieskiej*, Warszawa 2001.
- Kostecka W., *Baśń postmodernistyczna – przeobrażenia gatunku: intertekstualne gry z tradycją literacką*, Warszawa 2014.
- Leszczyński G., hasło: *Dyakowski Bohdan*, [w:] *Słownik literatury dziecięcej i młodzieżowej*, red. B. Tylicka i G. Leszczyński, Wrocław 2002.
- Lippoman T., *Legenda Podlasia*, Białystok 2008.
- Makowski W., *Baśń Puszczy Białowieskiej: poema*, Kraków 1902.
- Mazanowski Mikołaj*, w: *Literatura Polska. Przewodnik encyklopedyczny*, t. 1, red. J. Krzyżanowski, Warszawa 1984.
- Mickiewicz A., *Pan Tadeusz*, Lwów 1882, s. 91(I wyd. Paryż 1834), tryb dostępu: <https://polona.pl/item/pan-tadeusz,MjEwODE0Mj-g/116/#info:metadata>.
- Mickiewicz A., *Powrót taty*, w: tegoż, *Ballady i romanse*, Warszawa 1909.
- Niesporek-Szamburska B., *Baśń*, w: *Literatura dla dzieci i młodzieży (po roku 1980)*, [t. 1], red. K. Heska-Kwaśniewicz, Katowice 2008.
- Nosek A., *Puszcza Białowieska w literaturze dla dzieci i młodzieży do okresu międzywojnia – zarys historii motywu*, „Bibliotekarz Podlaski” 2016 nr 2.
- Nosek A., *Puszcza Białowieska w literaturze dziecięcej przełomu XX/XXI wieku*, „Ars Inter Culturas” 2016, nr 5.
- Nosek A., *W przestrzeniach universum i regio. Wiersze dla dzieci współczesnych pisarzy regionu podlaskiego – interpretacje*, Białystok 2015 (tu: obszerna bibliografia dotycząca literatury regionu podlaskiego, w tym – literatury dziecięcej, związanej z Puszcza Białowieską).

Bibliografia

- Nosek A., *Wędrowki po literaturze dla dzieci i młodzieży XX-XXI wieku. Studia, szkice interpretacyjne*, Białystok 2017.
- Oppman A., *Abecadło polskich dzieci w krajobrazach*, Warszawa 1906.
- Ożóg-Winiarska Z., *Przyroda w liryce dla dzieci u schyłku XX wieku*, Piotrków Trybunalski 2001.
- Papuzińska J., *Zatopione królestwo. O polskiej literaturze fantastycznej XX wieku dla dzieci i młodzieży*, Łódź 2008.
- Poł W., *Obrazy z życia natury. Seria I (Północny wschód Europy)*, Kraków 1869.
- Rousseau J. J., *Emil, czyli o wychowaniu*, t. 1, 2, przeł. W. Husarski, wstęp i komentarz J. Legowicz, Wrocław 1955.
- Ruszała J., *Robinsonada w literaturze polskiej: teoria – typologia – bohater – natura*, Słupsk 2000.
- Samojlik T., *Żubr Pompik. Kolory jesieni i pozostałe historie*, Kraków 2011.
- Samojlik T., *Żubr Żorż*, Białowieża 2010.
- Sienkiewicz H., *Z Puszczy Białowieskiej*, Warszawa 1907.
- Skotnicka G., *Robinsonada*, w: *Słownik literatury dziecięcej i młodzieżowej*, red. B. Tylicka, G. Leszczyński, Wrocław 2002.
- Skotnicka G., *Znaczenie baśni regionalnych na przykładzie tekstów o morzu i wybrzeżu*, w: *Baśń i dziecko*, wstęp, wybór i oprac. H. Skrobiszewska, Warszawa 1978.
- Skręt R., *Mazanowski Mikołaj*, w: *Polski słownik biograficzny*, t. 20, z. 2, red. W. Konopczyński, Kraków-Wrocław 1975; przedr. w: *Internetowy Polski Słownik Biograficzny, tryb dostępu*: <http://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/mikolaj-mazanowski>
- Tuan Yi-Fu, *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, wstępem opatrzył K. Wojciechowski, Warszawa 1987 (zwłaszcza rozdziały *Przestrzeń, miejsce i dziecko* oraz *Intymne doświadczanie miejsca*).
- Wajrak A., *Przewodnik prawdziwych tropicieli. Jesień*, Warszawa 2011.
- Waksmund R., *Od literatury dla dzieci do literatury dziecięcej (tematy – gatunki – konteksty)*, Wrocław 2000.

Anna Nosek, *Mikołaja Mazanowskiego „Duch puszczy podlaskiej”*

Zapomnianych tajemnic czar. Legendy, podania, opowieści okolic Puszczy Białowieskiej, pod red. N. Gierasimiuk, Hajnówka 2006.

Widanow D., *Drzewa puszczy*, Białowieża 2015.

Żabińska A., *Jak białowieskie rysice zostały warszawiankami*, Warszawa 1936.